

B
WF
WV

23408

LEO BELMONT.

Socjalizm
i
Sprawiedliwość

23408

Studjum etyko-ekonomiczne

Miłośnikom prawdy, szermierzom
sprawiedliwości, obrońcom praw pra-
cującego człowieka, ludziom dobrej
woli

poświęca

Autor.



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY U GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1908.

<http://rcin.org.pl>



23408

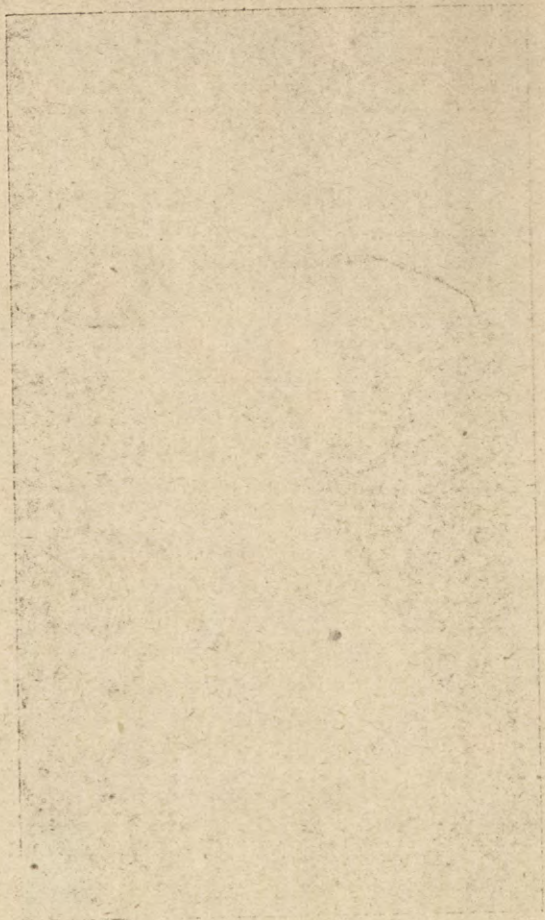
M- 121364

Druk R. Kaniewskiego i W. Waclawowicza, Zielna № 20.

A. 176/61
MS.



NA POMOC!



WSTĘP.

I.

Socjalizm — najczynniejsza idea czasu, najpotężniejsze drgnienie w łonie epoki, najdalej sięgający ruch mas, *i sprawiedliwość* — najszczytniejsze marzenie ludzkości, najgłębsza tęsknota mędrców, najmocniejszy krzyk cierpiących bez winy — oto zaiste tematy wielkiej wagi, godne ze wszechmiar uwagi słuchaczy.

Czy to, co powiem o nich, posiadać będzie wagę odpowiednią — nie wiem. Gdybym miał wam tylko streścić to, co na ten temat wysnuli inni, ludzie autorytetu patentowanego w świecie myśli, powszechnie znani z imienia uczeni, miałbym prawo odrazu powiedzieć: tak. Ale chcąc wam przedstawić rezultaty w znacznym stopniu rozmyślań samodzielnych, nadomiar w sferze najtrudniejszych zagadnień nauki społecznej, mając zamiar poddać krytyce poglądy powag, szeroko uznanych — winienem zachować skromność.

Głównym tematem niniejszego wykładu będzie teoria wartości resp. nadwartości Marksa, stosunek jej do istniejącego systemu gospodarczego i wymarzonego socjalistycznego państwa i ocena jej etyczna z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej. Przedsiębrawszy wykład poglądów własnych, miast informującego streszczenia cudzych, o ile to ostatnie nie stanie się również koniecznym, jako materiał do twórczej krytyki — powoduję się w połowie pobudką, tak świetnie wyra-

zoną w paradoksalnym aforyzmie Bernarda Schav'a: Kto jest zdolny — ten tworzy, kto niezdolny — ten uczy. Najgłębszego przecie zadowolenia duchowego każdy człowiek, poczuwający się do zdolności samodzielnego myślenia, doznaje tylko wówczas, gdy uczy tego, co sam tworzy.

Zamierzając przedstawić poglądy w znacznej mierze nowe, mógłbym narazić się na zarzut, że czynię to wobec publiczności przygodnej, miast areopagu kompetentnego, gdyby nie pewna okoliczność... Okoliczność niezmiernie smutna! Gdzież u nas jest takie uczone gremium, którego wyrokowi krytycznemu wypadło by poddawać naprzód swoje poglądy w dziedzinie wiedzy ekonomicznej? Niestety, nasza myśl ekonomiczna znajduje się dopiero w powijkach. Zaledwie teraz pojawiać się zaczęły, przeważnie tłomaczone, podręczniki ekonomii politycznej. Zaledwie poczynamy się uczyć abecadła tej nauki. Jesteśmy świadkami niewątpliwie potężnego rozwoju ruchu socjalistycznego na naszym gruncie, posiadamy mnóstwo ludzi, przyznających się do programu socjalistycznego — ale z ręką na sercu przyznajmy: socjalistów doskonale świadomych, socjalistów-teoretyków, socjalistów-uczonych u nas można wyliczyć na palcach. A niema w tem nic dziwnego dla tych, co rozumieją, że co innego jest socjalizm — jako teoria naukowa, której każdy punkt podlega rozbirowi krytycznemu, a co innego socjalizm — jako żywiołowy ruch mas robotniczych i ideologów z burżuazji, współczujących tym masom, lub tylko sobie. Nie mogę w obecnej chwili wyjaśnić i głęboko uzasadnić tej różnicy, która sprawia, że ruch socjalistyczny wyprzedził teoretyczne formuły Marksa i że nie ustanie on nawet wówczas, gdy Marksizm ulegnie gruntownej przeróbce, a nawet okaże się w fundamentach swoich mocno fałszywym. Podkreślam tylko z całą mocą, na

jaką mnie stać, że cała moja krytyka będzie miała na celu naukowy rozbiór teorii, ale nie dotyka w tej chwili politycznych programów partii socjalistycznych—nie powinna zatem stać się powodem ani zgrzytów oburzenia w obozie socjalistycznym, ani przedwczesnych okrzyków tryumfu w przeciwnym. Oczywiście istnieje pewien stosunek pomiędzy teorią a praktyką, ale wyświeślenie tego stosunku musi być przedmiotem osobnych, głębokich i subtelnych rozważań, którymi w tej chwili zająć się nie mogę, nie zbaczając od głównego tematu.

Tak jest! posiadamy mnóstwo socjalistów, ale... jeżeli La Rochefoucault powiada, że „miłość jest jak duchy; wszyscy o nich mówią, a któż je widział“, to podobnież rzec można o „Kapitale“ Marksa: „wszyscy o nim mówią, a czy wielu go czytało?“ Socjalizm jest u nas znany najbardziej z popularnych książeczek Kautsky'ego. Umysłowy poziom naszego socjalizmu od strony teorii naukowej jest znacznie niższy, niż poziom nawet socjalizmu rosyjskiego. Tam przynajmniej „Kapitał“ Marksa pojawił się zdawna w przekładach, i to w kilku — tam przynajmniej *Marksa* jest czytany i znany. Co prawda, na gruncie rosyjskim panuje nieznośna ortodoksja Marksistów — ale bądź co bądź ścierają się tam pewne prądy. Nawet na tle Marksizmu spotykamy dwa ostro ścierające się obozy—jeden stojący na gruncie pierwszych dwóch tomów „Kapitału“, drugi, oparty o trzeci tom. Lecz w atmosferze społecznej już dawno przewija się myśl krytyczna w stosunku do ortodoksji Marksistów, są pewne próby samodzielnego tchnięcia w teorię Marksa nowego idealistycznego ducha w rodzaju np. Tuhan-Baranowskiego, zdawna przełożone są i wciąż tłumaczą się ważne dzieła z dziedziny nowej myśli socjalistycznej — Bernsteina i Sombarta, które wraz z przekładami z Böhm-Bawerka i z innych kryty-

ków socjalizmu stają się z wolna czynnikiem, posuwającym naprzód myśl socjalistyczną i uwalniającym ją z pęt ortodoksyi.

Natomiast my jesteśmy ortodoksami Marksizmu bez znajomości Marksa, a cały ruch rewizjonistyczny, tak głęboki na gruncie niemieckim, jest nam niemal zupełnie obcy. Właśnie ścisły stosunek pomiędzy teorią i praktyką, o którym napomknęliśmy wyżej — rewizja krytyczna socjalistycznych założeń Marksa, dokonana przez samych socjalistów, oczywiście w łączni z innymi warunkami politycznymi — bytu parlamentarnego, nadaje socjalizmowi niemieckiemu tyle odrębną fizjonomię od naszego. To, co socjalista niemiecki w teoriach Marksa zdawna uważa za chwiejne, u nas słynie, jako pewnik niezbity.

Nasza rozrzewniająca ignorancja — z nielicznymi a chlubnymi wyjątkami szczerzej wiedzy i sumiennej pracy — ignorancja rzekomo zaciekłych zwolenników socjalizmu, jak i rzekomo zaciekłych jego przeciwników, wywołuje w sercu mojem pewne złośliwe życzenie. Pragnąłbym, aby po zachwaszczonych ugorach naszej myśli społecznej przeszedł się jakiś nowy Sokrates, a postarał się swoją metodą dysputy akuszeryjnej przycisnąć do muru naszych domorosłych polityków. Jestem pewny, że po półgodzinnej rozmowie dowiódłby on niejednemu naszemu socjaliście, że w postępowaniu jest on zajadłym burzujem, więcej jeszcze, że jak tylko spróbuje sobie wyobrazić bliżej i skonstruować w myśli ustrój socjalistyczny, to albo natrafi nieraz na zgoła odmienne formy bytowania, które odepchnie z przerażeniem, albo mimowoli zapełni nowy ustrój zasadami, żywcem przeniesionemi z naszego ustroju kapitalistycznego, że poprostu wyobraźnia jego nie jest w stanie uwolnić się od form istniejących, nie jest w stanie praktycznie skonstruować nowego porządku ekonomicz-

nego. I naodwrot, ów zmartwychwstały Sokrates potrafiłby dowieść naszym domorosłym przeciwnikom socjalizmu, że są oni oburzeni w najwyższym stopniu na niesprawiedliwości istniejącego ustroju, że w głębi duszy marzą o jakimś zupełnie odmiennym układzie, że mimowoli pociąga ich jakaś utopia... socjalistyczna, że, nie wiedząc o tem, wzdychają do niej z utęsknieniem, gdy im wskazać na tle wyobraźni niewyraźne jej kontury...

Wszystko to dowodzi, że u nas socjalizm kocha się, lub nienawidzi, ale mało się o nim myśli. Na pochwałę kochanków socjalizmu mogę powiedzieć jednak to, że po za modą prąd w tym kierunku jest dodatni — jest on normalny u robotnika, bo odpowiada jego potrzebie klasowej, jest piękny u inteligentnego idealisty, bo dowodzi parcia ku jakiemuś ideałowi, jest zrozumiały u każdego, kto cierpi za innych, lub cierpi osobiście pod brzemieniem obecnego ustroju. Naodwrot, o ile instynktowny wstręt przeciw socjalizmowi jest normalny w agrarjuszu i kapitaliście, jest zrozumiały u każdego, kto jest syty i zabezpieczony w warunkach dzisiejszych, o tyle obrzydliwy i podły jest u wszystkich lokai kapitalizmu, którzy, nie posiadając w duszy żadnego ideału socjalnego, nie przekrzykowawszy gruntownie teorii socjalizmu, przeciwstawiają się żywotnym prądom społecznym pro prostu przez tępotę myśli i leniwe przyzwyczajenie do wszystkich anormalności bieżącego ustroju, choćby sami byli w nim pokrzywdzeni..

Wobec przewagi tego rodzaju nikłych nastrojów i tak powszedniej niekompetencji w zawiłych kwestjach ekonomicznych trudno jest występować publicznie z jako tako nowemi poglądami w tej dziedzinie — w obawie, aby się nie było źle rozumianym, aby się nie było potępionym niekrytycznie, albo nawet zyskało aprobatę od głów niekompetentnych. Trudność wzmaga się wo-

wobec konieczności odrzucenia z dowodzeń wszystkiego, co nosi charakter zbyt ciężko-strawny, co w szybkim przemówieniu nie daje się ująć przez przygodnych słuchaczy, a z drugiej strony rośnie wobec konieczności popularnego ich przygotowania, poinformowania o tych teorjach, które prelegent zamierza poddać krytyce, co zabiera drogi czas, potrzebny do wykładu własnych wywodów. Nie wiem, czy i w jakiej mierze uporam się z tylu trudnościami, ale w głębokim przekonaniu, że właśnie określony przezemnie stan wiedzy socjalistycznej u nas wymaga publicznego myślenia o socjalizmie i zakładając sobie w danym wypadku jako jedyny cel — poznanie teoretyczne, uczynię wszystko, co odemnie zależy, aby przynieść słuchaczom zamierzony pożytek. W tym zamiarze i ze względu na trudność, a poniekąd suchość przedmiotu, śmiem prosić o natężoną uwagę!...

II.

Teorja Marksa opiera się na czterech ideach zasadniczych, niby na kolumnach. *Pierwszą* najogólniejszą ideą — jest *materjalizm dziejowy*, wiara w to, że zasadniczymi sprężynami życia społecznego są czynniki ekonomiczne, że technika produkcyi gospodarczej określa charakter kultury, nadaje piętno ideologii swojego czasu, słowem, że cała kultura jest tylko nadbudową na gruncie materjalistycznym. *Drugą* ideą, która wyjaśnia treść tamtej formalnej i rozwija ją szczegółowo, jest twierdzenie, że treścią procesu dziejowego jest *walka klas* — uprzywilejowanych wyzyskiwaczy z upośledzonymi wyzyskiwanymi, że w obecnej dobie dziejowej toczy się taka walka pomiędzy burżuazją a proletariatem, których interesy ekonomiczne znajdują się w sprzeczności zasadniczej, nie dającej się załagodzić w warunkach istniejącej produkcyi kapitalistycznej. *Trzecią* ideą, obok

tamtej, która ma być wyrazem całej historycznej przeszłości i teraźniejszości, jest twierdzenie, ściągające się do przyszłości, jest zasada ewolucyi gospodarczej od starych do nowych form produkcji, jest wiara w to, że nowy porządek społeczny nadejść musi z konieczności rozwoju naturalnego, bowiem mieści się on w zarodku już w ustroju bieżącym, że dokonywująca się w łonie burżuazyjnego systematu koncentracja kapitałów, sama przez się przerodzi się w ustrój socjalistyczny, w którym państwo będzie jedynym kapitalistą. Na drodze tego dyalektycznego rozwoju — rewolucyjne pchnięcia będą tylko wyzwoleniami narastających w określonym kierunku tendencji i sił ewolucyjnych, zmierzających do syntezy socjalistycznej. Wreszcie *czwarta* idea—która zamierza określić treść niesprawiedliwości ustroju bieżącego i sprawiedliwą podstawę przyszłego, socjalistycznego, jest to zasada, że źródłem wszelkiej wartości jest praca, że eksploatacja robotników przez kapitalistów polega na zabieraniu tak zwanej nadwartości, t. j. pewnej ilości dóbr, których twórcami są robotnicy, że przyszły ustrój socjalistyczny wbrew istniejącemu oprze się na zasadzie należności do pracownika całego produktu jego pracy, że podział dóbr dokonywać się będzie na mocy obliczeń wartości pracy przy pomocy jej zasadniczego miernika — przeciętnego czasu produkcji społecznej.

Doskonale świadomym socjalistą, lub poważnym przeciwnikiem socjalizmu może być tylko ten, który uporał się dokładnie z temi czterema ideami, bądź przyjął je po zgłębieniu gruntownem i ma je, że tak powiem, w krwi swego mózgu, bądź też przeanalizował je sumiennie i odrzucił po gruntownej rozwadze, jako fałszywe. Wreszcie świadomym socjalistą może być ten, kto poddawszy te cztery idee analizie krytycznej, ocenił, w jakiej mierze są one błędne, a w jakiej utrzymać

się mogą, kto odrzucając bądź jedną, bądź kilka, bądź wszystkie cztery po dokładnej rewizji, znalazł wszelako inne zastępcze drogi do socjalizmu i potrafi dowieść, że błędność założeń Marksa nie jest jeszcze dostatecznym upoważnieniem do negacyi całego ruchu socjalistycznego i wagi idealnej w rozwoju teoryi socjalistycznej Marksa wbrew jej błędom.

W zamierzonym przez nas cyklu wykładów o socjalizmie innym razem pokażemy, o ile dają się podważyć pierwsze trzy idee Marksizmu — dowiedzimy, że wszystkie one już zachwiane zostały przez rewizję, dokonaną w łonie własnego obozu socjalistycznego, a nawet po części przez końcowe dzieła Marksa, postaramy się ze swojej strony rzucić na te idee samodzielne światło krytyczne. Na razie pracę tę podejmujemy w stosunku tylko do czwartej idei — jako najmniej formalnej, najmniej historycznej i przyrodniczej, najbardziej ekonomicznej i etycznej, najrdzenniejszej i najmocniej powiązanej z kwestją sprawiedliwości społecznej, oraz jako najtrudniejszej do rozbioru krytycznego.

Od stanowiska, jakie zajmiemy w tej sprawie — zależy w najwyższym stopniu nasz pogląd na teorię socjalizmu i na przyszły ustrój socjalny. Rozpocznemy od bardzo poszczególnych i na pozór wązkich kwestyi, ale niebawem otworzą się przed nami szerokie perspektywy ideowe...

Uwaga. Na str. 2 wspominamy o „publiczności przygodnej”, a dalej o „słuchaczach”, ponieważ dzieło niniejsze miało stanowić cykl odczytów. Nie doszły one do skutku z przyczyn niezależnych od autora

ROZDZIAŁ I.

Zagadnienie wartości.

§ 1. Jednym z najzawilszych zagadnień myśli ludzkiej jest *problemat wartości*.

Do tysiąca nieporozumień prowadzi już sam nieokreślony obszar tego pojęcia w mowie potocznej. wyraz „wartość“ używany jest w najróżniejszych znaczeniach — to w nader szerokich, ogólnych, to w wązkich, specjalnych, a w sieci zmiennych znaczeń tego wyrazu uwikłała się myśl największych ekonomistów, pomiędzy innymi — Marksa.

Wprawdzie krytyka naukowa postarała się już o zróżniczkowanie tego pojęcia, różnym jego znaczeniom nadała epitety specjalne, ale nie usystematyzowała dotąd tych rozmaitych „wartości“, nie wskazała ich stosunku wzajemnego, nie wprowadziła do klasyfikacji terminologicznej porządku metodologicznego, a stąd nie dała nam mocnego miernika krytycznego, który pozwoliłby wskazać stanowczo charakter i przyczynę błędu w tak ważnej dla rozwoju myśli ekonomicznej — teorii wartości Marksa.

Podjmijmy to zadanie — na własną rękę.

§ 2. Najogólniejszy charakter pojęcia wartości jest wysoce *filozoficzny*, nawet *metafizyczny* — i z tego względu z góry staje się widoczną zasadniczą nierozwiązal-

ność problemu wartości samej w sobie. Filozoficzny charakter problemu wartości został genialnie oświetlony przez Simmla w I rozdziale „Filozofji pieniądza“ (istniejącej w przekładzie polskim) *). W naturze wszystko jest równowarte, jako równie istniejące. Obojętny porządek zjawisk naturalnych sam przez się nie zna kategorii wartości. Dopiero czująca dusza człowieka wprowadza swoją myślową oceną do tego układu naturalnego nowy układ na mocy swoich pragnień i potrzeb. Ona „wartościuje“, układa rzeczy świata zewnętrznego na szczeblach swojej myślowej drabiny ocen, do świata obiektywnego wnosi ideowo własny subiektywny porządek — stopniowanie obiektów według poczucia wartości. Stwarza niejako w istniejącym świecie nowy świat duchowy—świat ocen wartości. „Byt“ i „wartość“ — są to zatem dwie kategorie odrębne, niezależne od siebie, jednakowo zasadnicze. „Wartość“ nie daje się wyprowadzić z „bytu“, wytłumaczyć przezeń. Jest więc tak samo tajemniczą, jak byt—nierozkładalny, ostateczny element myśli naszej.

§ 3. Od tego metafizycznego ujęcia problemu wartości zejdziemy niżej — na grunt realny życia. Filozoficzne pojęcie wartości rozpadnie się tutaj na dwa pojęcia — wedle różnic *subjektu* i *objektu*, osobnika, oceniającego wartości, i rzeczy, podlegających ocenie.

Jedno z tych pojęć nosi charakter *psychologiczny*. Drugiemu nadaję miano *przyrodniczego* wobec trudności znalezienia nazwy odpowiedniejszej, oczywiście z zastrzeżeniem, już nam znanem, o zasadniczej obojętności natury względem wartości: zasypie ona lawą wulkanu kwitnący gród stuletniej kultury z całym jego życiem, a uniesie z wiatrem i ocali od zguby szkodliwego owadu.

*) Przekład L. Belmonta. Nakład „Prawdy“.

Wartość subiektywna, czyli psychologiczna — to *pożądalność*. Wartość obiektywna, albo przyrodnicza — to *użyteczność*.

§ 4. Właściwie zdawałoby się, że idea wartości najszerszej i w pełni ujmuje się w wyrazie psychologicznym. Toć źródło wszelkiej oceny wartości tkwi w subiekcie—*w ścieżce pożądań ludzkich*. Tylko to, czego pożądam, ma wartość dla mnie. To, czego nie pożądam, nie ma dla mnie zgoła wartości. Rzecz zyskuje wartość w miarę tego, im żywiej jej pożądam. Gdy pożądanie słabnie, przedmiot traci wartość dla mnie, jakkolwiek innym, co go pożądają, może wydawać się niezmiernie wartościowym. Świat pożądań osobistych—czy są one stałe, czy kapryśne, rozumne, czy śmieszne, właściwe, czy niewłaściwe z punktu jakiejś oceny racjonalnej lub etycznej—to właściwy świat wartości. Jakaś zużyta marka, rzadka moneta starożytna, stary szpargał, zjedzony na poły przez szczury — w oczach amatora-zbieracza posiadają cenę niezmierną, gdy może na genialne dzieło nowego pisarza, albo na rzecz niewątpliwego użytku powszedniego, nie zwróci on żadnej uwagi.

Stan subiektywny jedną i tę samą rzecz to wynosi na szczyt wartości, to zrzuca do punktu zera. To, co się posiada w ilości obfitej, zdaje się nie posiadać żadnej wartości. Tak w zwykłych warunkach woda zdaje się dobrem bez wartości. Lecz umierającemu z pragnienia na znojnym piaskach Sahary kropla wody wyda się wartością bezcenną. Jak garść śmiecia, odda za nią wór złota, który przedtem wydawał mu się wymarzonem bogactwem.

Wobec olbrzymiej różnicy natur indywidualnych i wiecznie zmiennych nastrojów duszy osobniczej—problem wartości wydawać się musi od strony psychologicznej nierozwiązalnym. W każdym razie w takim sformułowaniu należy on raczej do *dziedziny psychologii*,

niż do ekonomii politycznej. Miarą wartości jest tu jedynie stopień pożądania. Wartość rodzi się wraz z pożądaniem i przepada, gdy ono ginie.

§ 5. Od bieguna subiektywno-psychologicznego przerzucamy się na przeciwny, obiektywno-przyrodniczy, i szukamy w nim dopełnienia i kontroli idei wartości na mocy następujących zasad. Przedewszystkiem obserwacja poucza nas, że prócz różnic indywidualnych istnieją zasadnicze podobieństwa natur ludzkich, prócz upodobań rozmaitych są jednakowe potrzeby nieodzowne. Są wspólne wszystkim potrzeby fizjologiczne, np. potrzeba pożywienia. O ile nie jest zaspokojoną, pożądanie wystąpić musi. Już tu widać, że są pewne czynniki obiektywne w naturze, które ograniczają kapryśność subiektywnego świata pożądań, regulują go, przynajmniej od pewnej strony — potrzeb pierwszorzędnych. Tu okazuje się jeszcze, że pewne potrzeby zaspokojone być mogą tylko w pewien sposób: potrzeba pożywienia zadawalnia się tylko tem, co pobudza przemianę materii w organizmie, zastępuje jego tkanki zużyte, podtrzymuje życie. Jest więc coś we własnościach obiektu, co stanowi o możliwości lub niemożliwości zaspokojenia danego pożądania. Jakkolwiek kapryśnie oceniałby subiekt wartość rzeczy w stosunku do swych pożądań, dozna zadowolenia dopiero po natrafieniu na rzecz, która służy potrzebie—odpowiada jej, jak środek celowi, t. j. wykaże swoją względną użyteczność. Każdy środek, mylnie przeceniony — po doświadczeniu jego nieużyteczności, musi tracić na przyszłość swoją wartość w oczach subiektu. Porównanie mnóstwa rzeczy w stosunku do naszych pożądań, odkrycie w nich mniejszej lub większej zdolności zaspokojenia potrzeb, da nam miarę większej lub mniejszej odpowiedniości środków do celu, czyli mniejszej lub większej *wartości użytkowej*. Na tej drodze odkrywa się oczom naszym

objektywna wartość wody w chwili straszliwego pragnienia na znoej Saharze, gdy mogliśmy nie zgadywać jej olbrzymiej wartości, nie znając cierpień pragnienia, mając zawsze obfity zapas wody pod ręką. I naodwrot, objektywna bezwartościowość złota w warunkach akulturalnych odkryje się oczom poszukiwacza złota wśród złotych piasków Alaski, w miejscowości bezludnej, gdy umierając z głodu nie znajdzie dokoła nikogo, kto wzięłby odeń wory złotego piasku, a dał mu wzamian kęs chleba. Złoto tylko jako środek, służący celom wymiany, lub potrzebom estetycznym, posiada wartość. Traci ją, gdy nie może być odpowiednio użyte.

Tak oto zyskaliśmy nowe pojęcie o wartości, ideę wartości objektywnej, wynikającej z własności materialnych, z użyteczności przedmiotów względem potrzeb naszych. Zasadą jej będzie — odpowiedniość środków do celów; miarą — stopień tej odpowiedniości.

Ta objektywna wartość rzeczy, podobnie jak i subiektywna, właściwie nie należy do dziedziny ekonomii politycznej. Jest ona przedmiotem *całego szeregu nauk*, pouczających nas, jakimi środkami osiągają się najlepiej pewne cele — więc pouczy nas o niej fizjologia, higiena, technika, agronomia i t. d. i t. d. słowem, każda gałąź wiedzy, która wskazuje celowość pewnych środków, objektywną ich odpowiedniość do zamierzonych rezultatów. Aby wyrokować cokolwiek o tej wartości, t. j. o użyteczności rzeczy w stosunku do celów, jakie może stawiać subjekt, należałoby objąć cały obszar wiedzy ludzkiej, a zarazem uwzględnić jej nigdy niewykończony stan, gdyż co dnia nowa lepsza wiedza daje nam nową lepszą znajomość wartości środków w stosunku do pewnych celów, które zakładamy sobie w stosunku do innych, stanowiących potrzeby ostateczne i najwyższe ideały ludzkości.

§ 6. Nie sądźmy aby pomiędzy obiema ideami wartości tak ustalonej istniała jakaś sprzeczność zasadnicza, przepaść niezgłębiona. Takiej przepaści niema—bo i niema jej, jak nas poucza filozofja i psychologia nowożytna, pomiędzy subjektem a obiektem. Podział na subjekt i na obiekt jest tylko sposobem pojmnowania przez nas bytu, będącego jednością jaźni i natury, jest abstrahowaniem „ja“ osobistego od nierozzerwalnego z niem „ja“ społecznego *).

A zatem tylko z pozoru słuszną będzie myśl, że wartość celów określa się wyłącznie przez nasz subjekt, a wartość środków wyłącznie daną jest przez świat obiektywny. Głębsze wniknięcie w naturę człowieka i rzeczy pokaże nam, że są cele, które niejako z musu obiektywnego będą akcentowane najwyżej przez każdego ludzkiego osobnika, np. nasycenie głodu, gdy natomiast środki, napozór obiektywnie jednakowo służące potrzebom, będą oceniane rozmaicie przez kapryśne gusty indywidualne i zmienne usposobienia chwili, np. odzież, oceniana, jako strój.

Co prawda, potęga subjektu stwierdza się tam, gdzie ktoś głodową śmierć przenosi nad wyrzeczenie się idei, stawiając wartość jej wyżej nad wartość życia, jak z drugiej strony moc obiektywna otoczenia społecznego stwierdza się w powszechnem naśladowaniu mody, zagłuszającym indywidualne gusty estetyczne na korzyść oceny pospolitej.

§ 7. Subiektywna i obiektywna wartość wiążą się ideowo za pośrednictwem kategorii *jakościowej*: na nasze „czego pożądam“ w świecie subiektywnym — odpowiada świat obiektywny przez swoje „*jak* zadowolnić pożądanie“, albo inaczej jeszcze, na nasze: „*jak* pragniemy być zadowoleni“—odpowiada zzewnątrz: „*co* nas zaspokoi“.

*) Por. Baldwin „Życie społeczne i moralne“.

§ 8. Lecz istnieje inny jeszcze most między światem subiektywnej i obiektywnej wartości — mianowicie: *ilościowy*. Ilość jest niewątpliwie jednym z regulatorów naszych ocen wartościowych — potęguje lub obniża stopień wartości. Obfitość pewnych rzeczy, czyli łatwa ich osiągalność, t. j. rychła możność zaspokojenia potrzeby, musi wpłynąć na zmniejszenie wartości. Nadmiar przedmiotów niszczy w nas poczucie ich wartości. Przeciwnie, rzadkość danych rzeczy, a ztąd trudność osiągnięcia ich, gdy są potrzebne, natęża pożądanie i podnosi przez to wartość przedmiotu. Wreszcie brak pewnych rzeczy niezbędnego użytku wywoła bolesne uczucie pożądania nieukojonego i nada poszukiwanej rzeczy wartość olbrzymią. Poprzedni wykład wskazał nam odnośne przykłady.

Jeżeli zatem nie wszystkie rzeczy, obiektywnie niezmiernie użyteczne, mają wysoką dla nas wartość, to dlatego, że są w ilości nader obfitej, np. woda; jeżeli zaś pewne rzeczy wątpliwej użyteczności, raczej zbytkowne, są cenione znacznie wyżej od najużyteczniejszych, to pochodzi to ztąd, że są rzadkie. Poszukują ich ci, co zaspokoili wszystkie potrzeby pierwszego rzędu, a teraz — na mocy pewnych czynników psychologicznych — wygórowały w nich inne pożądania dalszego rzędu, a w stosunku do nich podniecająco oddziaływa sama rzadkość przedmiotów. Tak na tle bogactwa biedna dusza w spasionem ciele bankierowej może cierpieć na ataki głodu brylantowych kolii.

§ 9. Na pierwszy rzut oka ilość wydaje się czynnikiem wartości o charakterze bezwzględnie obiektywnym. Jest tyle a tyle — w świecie po za nami — oto fakt obiektywny, wobec którego staje nasze pożądanie. Z tego punktu widzenia mielibyśmy w świecie obiektywnym — oprócz „jak“, zależnego od własności przedmiotu, jakies „ile“, zależne od bogactwa świata otacza-

jącego, oddziaływujące na subiektywny świat ocen wartościowych.

Lecz po wglębeniu się w tę sprawę przyjdziemy do wniosku, że „ilość“ posiada swój biegun własny w świecie subiektywnym. Niepodobna mówić o ilości rzeczy pożądaných bez stosunku do ilości pożądań osobistych, do miary naszego pożądanía, a i bez stosunku do ilości pożądających. Wprawdzie cudze pożądanía w stosunku do mnie stanowią świat obiektywny, lecz w masie, jako przeciwstawność do rzeczy, są światem subiektywnym, duszą zbiorową.

Otóż coś jest obfite wówczas, gdy jest tego więcej, niż pożądam, rzadkie, gdy mam tego mniej, niż pragnę. Gdy jest wielu pożądających wraz ze mną, to stosunkowo do naszych potrzeb wspólnych, ilość pożądaných rzeczy maleje. Pożądanie moje spotyka się z pożądaniami innych, konkuruje z nimi, a na tem tle rodzi się obawa, że inni ubiegną mnie i zabiorą cały zapas pożądaných rzeczy. Ztąd pożądanie osobiste różnie i wartość przedmiotów wygórowuje. Niewielka miara pożądanía przedstawi mi natychmiast nawet skromną obiektywnie ilość w charakterze obfitości, bo nawet rzadkie przedmioty, gdy spotykają niewielu poszukujących, mogą aż nadto starczyć na moje potrzeby osobiste. Słowem ilość rozważaną może być, jako stosunek pożądanía do zaofiarowania: przerost pierwszego nad drugie stanowi o względnej rzadkości przedmiotów, przerost drugiego o względnej obfitości. Na tem tle podjęto interesującą próbę rozwiązania problemu wartości przez teorię „użyteczności krańcowej“. Niewystarczalność tej teorii, acz nie jest przedmiotem niniejszych krytycznych rozważań, łącno da się wykazać na podstawie naszej analizy.

§ 10. Streśćmy poprzednie wywody:

Wartość występuje na tle *psychologicznem* — w charakterze subiektywnego pożądanego, potrzeby. Bez pożądanego niema wartości.

Objektywnie określa się przez stosunek przedmiotu pożądanego do celu pożądanego — przez jego odpowiedniość do pożądanego, jako środka zaspakajającego potrzebę, t. j. przez użyteczność rzeczową, ocenianą znowu przez subiekt, ale mniej lub więcej zgodnie z naturą rzeczy. Miarą wartości staje się tu stopień odpowiedniości środków do celów. Użyteczność w najszerszem znaczeniu tego słowa jest jakościowym (*kwalitatywnym*) momentem wartości.

Objektywnie wartość określa się jeszcze przez stosunek ilości przedmiotów poświadanych do celu pożądanego i pożądanego miary, acz i tu w ocenie ilości gra rolę trafna lub mniej trafna świadomość subiektu. Obfitość, nie dając utrzymać się napiętemu pożądanemu i nie wymagając wielkich ofiar w celu zaspokojenia potrzeby — obniża wartość, gdy rzadkość, potęgując niezaspokojone pożądanie i wymagając wysiłków w celu zaspokojenia potrzeby — podnosi wartość poświadanych przedmiotów. Oto drugi, olbrzymiej wagi, moment wartości — ilościowy (*kwantytatywny*). Właściwą dziedziną jego odbicia w nauce będzie — statystyka dóbr, produkcji i konsumpcji.

§ 11. Pożądalność, czyli potrzeba, użyteczność, czyli przydatność, i ilość, czyli wystarczalność, są to trzy czynniki, które we wzajemnym stosunku do siebie stanowią źródło ocen wartościowych. Wszystkie inne czynniki, które znajdziemy, wkraczając w dziedzinę ekonomii politycznej, będą tylko pochodniami.

Bowiem, czem-że będą *popyt* i *podaż*, podawane przez ekonomistów-klasyków, jako wytyczne określniki wartości? *Popyt* będzie to zbiorowe pożądanie wszystkich rzeczy, tak lub inaczej uważanych za użyteczne,

t. j. zdolne do zaspokojenia pewnych pożądań. *Podaż* będzie ilością zaofiarowanych pożądanym rzeczy, przypuszczalnie użytecznych, t. j. służących do zaspokojenia wszelkich potrzeb, poczynając od najniezbędniejszych i najnaturalniejszych, a kończąc na najzbytkowniejszych i najwymyślniejszych.

A czem-że będzie tak zwana *wartość wymienna* produktów—to pojęcie *par excellence* ekonomiczne?

W każdym pojedynczym akcie wymiany między dwiema osobami jest ona stosunkiem ocen subiektywnych dwu stron—mianowicie oceny przez każdą rzeczy własnej i cudzej. Każda ze stron porównywa tu pożądanie swoje zachowania nadal swojego przedmiotu z pożądaniami otrzymania raczej cudzego. Jest to, że tak powiem, porównanie wewnątrz własnej jaźni. Lecz nie dość na tem, doświadczenie uczy nas dokonywać oceny z innego jeszcze punktu widzenia. Każda ze stron porównywa tu jeszcze odgadywane w innej osobie pożądanie zachowania własnego przedmiotu z jej pożądaniami otrzymania cudzego

Albowiem jasną jest rzeczą, że, aby nie oddać rzeczy zbyt łatwo, muszę ocenić swoją ofiarę z własnej rzeczy i swoją potrzebę cudzej. Ale aby nie przecenić czegoś nazbyt i nie stawiać żądań niemożliwych, winienem też psychologicznie odgadywać stopień ofiary, odczuwanej przez inną osobę w stosunku do własnej i stopień jej potrzeby w stosunku do mojej rzeczy. Lub ódwrotnie — ta zdolność do rozumienia cudzych potrzeb, pozwala nam drożyć się ze swoją ofiarą i podnosić jej wartość, a przez to osiągać przy wymianie pewien zysk, korzystając z pilniejszej potrzeby kontrahenta.

Subiektywna wartość wymienna okazuje się zjawiskiem psychologicznem nader złożonem. A czem-że będzie *objektywna wartość wymienna*?

Będzie ona sumą wszystkich ocen subiektywnych z jednej i wszystkich ocen subiektywnych z drugiej strony i wypadkową ze skrzyżowania się tych ocen w całym szeregu wymian — będzie wzajemnym stosunkiem całego popytu z jednej i całej podaży z drugiej strony — będzie hypotetyczną przeciętną z hypotetycznych przeciętnych ocen po stronie zapotrzebowania i po stronie zaofiarowania po zestawieniu obojga.

Otrzymana mechanicznie, omackiem, mniej lub więcej trafnie, przez przystosowanie się sprzedawców i nabywców, zresztą ulegająca bezustannym wahaniom, bądź na korzyść jednej, bądź na korzyść drugiej strony, ze stratą lub z zyskiem tej lub owej — obiektywna wartość wymienna, gdy zamiana odbywa się na pieniądzu — nazywa się *ceną*.

Ceną jest wartość towarów na rynku, wyrażona w sumie pieniędzy.

Zyskowna cena stanowi o wzroście majątku przemysłowca i kupca, o nagromadzeniu kapitału, o charakterze podziału dóbr; ztąd ważne znaczenie ceny targowej.

Regulatorem jej zdają się być — popyt i podaż. One wydają się mechanicznymi czynnikami ceny, sprężynami mechanizmu gospodarczego. Wartość towaru waży się niejako na szalach popytu i podaży.

Lecz jak określić podaż i popyt? Czy są to pojęcia ściśle, posiadające jakąś miarę obiektywą?

Stanowczo nie! Na popycie, jak wiemy, ciąży niejako grzech pierworodny jego pochodzenia psychologicznego — kapryśnej natury pożądań subiektywnych. Poniżej wykażemy szczegółowo, że oba pojęcia, podaż i popytu, są niezmiernie trudne do określenia, że złudzeniem jest przypuszczać, iż stanowią one czynnik mechaniczny ceny, występujący na gruncie ekonomicznym w roli samoistnej, oderwanej zupełnie od gruntu

psychologicznego, że mylnem jest także uzależnianie zupełne ceny od nich.

Zdawałoby się, że jakiś miernik obiektywny dla ceny otrzymujemy w pojęciu tak zwanej *wartości normalnej*, t. j. w kosztach produkcji. Lecz z jednej strony wartość kosztów produkcji sama przez się domagać się będzie wyjaśnienia — wartość surowców, maszyn, pracy tak samo waha się na rynku w zmiennych warunkach podaży i popytu. Z drugiej strony wartość normalna stanowić będzie tylko punkt, od którego poaż rozpoczyna swoją ocenę, aby nie stracić na sprzedaży niżej kosztów, lecz ani wysokość zysku, który liczy sobie przemysł i handel w naddatku do wartości normalnej, ani wielkość straty, spowodowanej przez niedogodne konjunktury na rynku, obniżające cenę poniżej wartości normalnej — tą drogą nie daje się określić. Innemi słowy, cena, pozytywna wartość wymienna towarów na rynku, pozostają nadal tajemnicą.

§ 12. Zatrzymajmy się na chwilę w naszej analizie, aby ocenić te trudności, wobec których stanął Marks, podejmując zagadnienie wartości.

Widzieliśmy, że wartość, jako pożądanie, należy do dziedziny psychologii, że wartość, jako użyteczność, należy do niewykończonego szeregu najprzeróżniejszych nauk, że wartość, jako ilość, jest sprawą statystyczną — że w pierwszym i w drugim wypadku stanowi zagadnienie nieskończenie złożone, nierozwiązalne, że w trzecim jest również nierozwiązalną, bo może podlegać obliczeniu *ex post*, t. j. następczemu, jako fakt byłego stosunku podaży do popytu, lecz nie poddaje się obliczeniom *a priori*. Bo i któż przewidzieć może stosunek podaży do popytu, całą sumę pożądań i całą sumę zaofiarowania, nie znając wszystkich pragnień i całej możliwości nabywczej z jednej strony, ani wszystkich kosztów produkcji i całej konieczności pozbyczej —

z drugiej strony, nie znając wszystkich warunków psychologicznych, w których zajdzie wahanie się popytu i podaży. Właściwie ekonomiczną wartością jest dopiero wartość wymienna — wartość obiektywna, targowa—wartość na rynku. Ona tylko wchodzi w dziedzinę ekonomii politycznej — ale na nią, jak widzieliśmy, oddziałują wszystkie czynniki nierozwiązalne z innych dziedzin. Jakgdyby parując na nią, kształtują ją promienie potęg psychologicznych—pożądania i materialne czynniki — użyteczności i statystyczne dane — ilości. A nieobliczalność tych wpływów ciężkiem brzemieniem kładzie się na dziedzinie ekonomicznej — i swój cień nierozwiązalności rzuca na całe zagadnienie wartości wymiennej, paraliżując, zda się, z góry wszystkie wysiłki myśli badawczej.

§ 13. Nadomiar, podjęta w tym porządku analiza idei wartości odrazu okazuje swoją odporność wobec narzucenia jej w charakterze jedyne go regulatora—wartości pracy, a jako jedyne go miernika tej-że — czasu, t. j. rozwiązania zagadki w duchu Marksa.

W samej rzeczy—co uczynić, aby rzecz była wartościową, t. j. pożądaną, gdy nikt jej nie pożąda, choćby wymagała największych wysiłków pracowniczych? Przypuśćmy, że pewne stroje wyszły z mody, pewne rzeczy wyszły z użycia — tracą one na wartości, bo będą mniej pożądane, choć nie zmniejszy się ilość pracy włożona w nie ongi, gdy były mocno cenione przez ogół.

I co począć, aby rzecz była wartościową, t. j. użyteczną, gdy zatracony na nią olbrzymi wydatek energii i ogromny nakład czasu dał w rezultacie wyrób niedołączny, stojący pod względem użyteczności na nader niskim szczeblu w porównaniu z innymi rzeczami, doskonale służącymi do celu, a cenionymi, jakkolwiek

kosztowały niewiele energii i niewiele czasu pracownika?

Wreszcie, jak przeciwdziałać spadkowi wartości, gdy ilość rzeczy pożądaných i użytecznych wzrosła nad miarę, przerosła potrzeby ogółu, chociażby warunki produkcji nie zmieniły się zupełnie i dane wyroby wymagały tyleż pracy, co dawniej? I jak przeciwdziałać wzrostowi wartości, gdy w miarę wzrostu zaludnienia pewne dobra, np. grunta miejskie, stają się coraz bardziej pożądanymi, gdy dobijają się o nie coraz nowi konkurenci, chociaż ziemia w obrębie miasta nie jest przedmiotem pracy, przez pracę nie może być pomnożona, a staje się rzadszą wartością tylko przez wzrost zapotrzebowania? I gdy woda, ustępując, obnaży ziemię urodzajną, albo pomnoży ją, przybijając muł do brzegu, albo wytryśnie gdzieś źródło mineralne — czy ta nowa ilość dóbr, nie zrodzonych przez pracę ludzką, nie będzie miała żadnej wartości, lub tylko zastosuje się do wartości podobnych dóbr, opracowanych ręką ludzką — czy nie wpłynie ona sama na wartość tamtych, choćby zmianą przeciętnej wartości dóbr danego gatunku?

Praca niewątpliwie zwiększa ilość przedmiotów i o tyle znajduje się w pewnym stosunku do wartości — ale właśnie może ją zniżyć, miast zwiększać, gdy przerośnie miarę potrzeby i konkuruje w dostarczaniu dóbr z żywymi źródłami natury. Praca kieruje się w stronę stwarzania rzeczy użytecznych, lecz prócz pracy użytecznej istnieć może i będzie istniała zawsze praca nieużyteczna — energja, skierowana błędnie, czas, stracony bezplodnie. Praca stara się tworzyć rzeczy pożądanę, lecz sama przez się pożądaną nie wytwarza.

§ 14. A dalej: w pracy odnajdujemy dwa składniki — natężenie, czyli trud, wysiłek, zużycie *energii* i trwanie, czyli zużytkowany *czas*.

Te dwie funkcje: energia i czas, nie pokrywają się wzajem i nie znajdują się w żadnym stałym stosunku do siebie

Jeden z tych składników — energia, nie daje się wymierzyć, ponieważ nie posiadamy mierników psychofizjologicznych, zdolnych wymierzyć wydatek energii. Zresztą, gdybyśmy mogli wymierzyć wydatek energii, pozostawałoby jeszcze otwartem pytanie o stosunku wydatkowanej energii do całego zapasu sił subiektywnych. Boć tylko na pozór wymiar energii, zawartej w pracy, daje nam miarę do oceny wydatku pracownika; oczywistą jest rzeczą, że wydatek tej samej ilości energii subiektywnie stanowić będzie nader rozmaitą wartość: — dla jednych będzie ofiarą olbrzymią, dla drugich — drobnostką, zależnie od tego, jaki zapas energii posiadają w swojej naturze. I gdyby chodziło o ocenę wysiłków pracy dwóch pracowników, wypadłoby rozstrzygnąć kwestję, czy sprawiedliwość nakazuje brać pod uwagę wewnętrzne, czy zewnętrzne stosunki, subiektywne, czy obiektywne wydatek, albo w jakim stosunku do wcielenia sprawiedliwości będzie ocena według przeciętnego wysiłku, o ile możliwem byłoby dokonać jej w rzeczywistości.

Wymiernym — jeżeli chodzi o daną pracę — jest tylko czas jej trwania. Ale czyż jest on wykładnikiem wydatkowanej energii w stosunku jej do zapasu sił? Oczywiście, że nie. Niemożliwość przełożenia energii na język czasu chyba najgenialniej wytłumaczył Simmel w rozdziale o „Pieniądzu roboczym“ w swojej „Filozofii pieniądza“. Przystąpił do analizy z najlepszą wolą, sam wynalazł najsubtelniejsze i najgłębsze argumenty na korzyść przełożenia energii na czas — i dowiódł wreszcie, że naukowo, teoretycznie, przyrodniczo przekład taki jest niewykonalny i doprowadza do rezultatów fałszywych.

Wreszcie dodać należy, że wartość pracy nie może być uważaną za ostateczny miernik wszelkiej wartości na rynku, bo sama praca jest wartością, która posiada cenę targową. Sama siła robocza jest towarem na rynku—mierzy się pożądaniami jej, mierzy się użytecznością w danych warunkach, mierzy się ilością rąk roboczych, t. j. stosunkiem podaży siły roboczej do popytu na nią. Wartość pracy spada i podnosi się na rynku, jak wartość każdego innego towaru, acz nie może spaść mocno i na długo niżej kosztów utrzymania. Lecz wartość tych kosztów stanowi nową zagadkę. Probując wymierzyć ją wysiłkiem czy czasem pracy, otrzymujemy błędne koło—*circulus vitiosus*, wyjaśniamy coś przez to, co właśnie wymaga wyjaśnienia. Fatalna zawilgość zagadnienia, poczętego na ruchomych piaskach filozofii i psychologii, znowu jawi się przed nami.

§ 15. I Marks ją odczuł — a dlatego, że ją odczuł, wziął się do zagadnienia z innej strony—że tak powiem, od strony odwrotnej, niż ta, z której myśmy rozważali tu dotąd ideę wartości.

A zdaje się, że to przyszedł naraz mocarz wielki i odrazu ujął opornego byka za rogi. Odepchnął wszystkie widma metafizyki, potężnym swoim: „chcę rozwiązać zagadkę“ zdmuchnął całą nieokreśloność pojęć psychologicznych, przeskoczył jednym susem przez górę drobiazgowych odcieni użyteczności technicznej, przebiegł skrzydlatą myślą nad morzem cyfr statystycznych popytu i podaży—a mocną stopą stanął wprost i odrazu na gruncie ekonomicznym. Jakby rozumował tak: ponieważ tylko wartość wymienna jest wartością ekonomiczną, tylko ona wchodzi w zakres nauki ekonomii politycznej — należy rozpocząć analizę wartości odrazu od niej—od wartości wymiennej.

To też jakiś podmuch świeży i potężny, podmuch myśli realistycznej wieje z pierwszych kart „Kapitału“,

na których Marks odrazu rozważa akty wymiany. Rozpoczyna od przykładu: za tyle a tyle łokci płótna dostaje się taki a taki inny przedmiot, np. za 20 łokci płótna dają nam surdut. .

Niestety, cały olbrzymi wysiłek geniuszu, skierowany ku pozytywnemu ujęciu kwestyi, która ma głębokie korzenie metafizyczne, ku oświeceniu jednostajnem światłem ekonomicznem sprawy, która rozwija się w różnobarwnych blaskach psychologii, ku odnalezieniu jedyne go czynnika zasadniczego w zjawisku, będącem wypadkową mnóstwa zmiennych żywiołów — acz mówi o potędze umysłu, który jął się zagadnienia w sposób tak oryginalny, a tak prosty zarazem, i wykazał cudowną zdolność djalektyczną w konstruowaniu swojej teorii—wysiłek ten, mówię, zakończył się i musiał zakończyć się krachem.

Marks zajął się tylko kwestją wartości wymiennej — pomijając wszelkie jej źródła pierwotne — i mógł też w rezultacie swoich rozważań otrzymać tylko to, czego szukał, t. j. tylko wartość wymienną. Wartość zaś wymienna nie jest niczem innym, jak tylko ceną — ordynarną ceną targową, czemś, co jest takie, jakie jest, ale nie mówi nic o tem, jakim być powinno.

Przez całe dwa tomy piętrzy Marks gmachy misternych wywodów, aby w wartości wymiennej nie dopatrzeć się zwyczajnej ceny, aby cenę odsunąć gdzieś na plan tylny, wysunąć na plan przedni jakąś inną wartość wymienną, różną od ceny, różną zarazem od wartości normalnej, tkwiącą po za pierwszą i po za drugą, stanowiącą podstawę ceny kosztów i ceny produktów na rynku—cały swój geniusz zużytkowuje na dowiedzenie, że tą wartością wymienną, tą podstawą ceny jest sama tylko praca, a miarą jej jest przeciętny czas produkcji — i oto po tych dwóch tomach, które rozpałyły wyobraźnię jego uczniów, zmuszony jest napisać trzeci

tom, który, jak to dziś odczuwają przedniejsi wyznawcy socjalizmu, w znacznej części przekreśla wywody pierwszych dwóch tomów, bo nie daje się z nimi powiązać.

W tym trzecim tomie Marks przychodzi do wniosku, że cena towarów znajduje się w najściślejszym związku z kapitałem, włożonym w przedsiębiorstwo, że składa się ona z pozytywnych kosztów produkcji, t. j. z wyłożonego kapitału i z zysku, który znajduje się w prostym stosunku do kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo. Stawia on hipotezę, że wszystkie kapitały na rynku automatycznie dążą do pewnego jednostajnego procentu, ponieważ przyływają do tych przedsiębiorstw, gdzie kapitał daje wyższy procent t. j. obiecuje większy zysk, a odpływają od tych, w których procent spada t. j. w rezultacie dalszego spadku grozi stratą. Pod wpływem tej ciągłej fluktuacji kapitałów zbyt wysokie zyski w nierozwiniętych gałęziach przemysłu obniżone zostają przez konkurencję nowych przybyszów, zbyt wielkie straty w już rozwiniętych powodują zamknięcie zbankrutowanych przedsiębiorstw i odpływ kapitałów, co przywraca normalną konkurencję — a tak w jednym i w drugim wypadku kapitały podążają mechanicznie do pewnej średniej normy procentu. Ta przeciętna norma zysku z dodatkiem kosztów produkcji stanowi o cenie.

A skoro tak jest, to zachodzi pytanie, w jakim stosunku znajduje się ona do wartości pracy? Nie może być przecie jednocześnie zależną tylko od pracy, jako wartość wymienna — i tylko od kapitału, jako cena, boć wartość wymienna i cena są ostatecznie jednym i tem samem.

Przyjmując teorię ceny z III tomu zmuszeni jesteśmy odrzucić wyjaśnienia pierwszych dwóch tomów, że wartością towarów jest wartość zawartej w nich pracy.

Wprawdzie Marks twierdzi, że zasada wartości pracy nie przestaje oddziaływać skrycie na cenę, ale wiążąc mostu pomiędzy dwoma różnymi poglądami na wartość wymienną — przed progiem rynku i na rynku — nie potrafił wskazać. Powiada on, że wartość pracy jest niby tą normą, od której konkurencja na rynku odchyła cenę, ale skoro z własnych jego wywodów okazuje się, że przychyła ją zawsze do normy pewnego stosunku procentowego do kapitału, to raczej ten ostatni musi być uznany za regulatora ceny; tamten zaś czynnik — praca — okazuje się bezwplywowym. Ten pogląd wydawać się musi tem słuszniejszy, że, jak się okazuje z wyjaśnień Marksa, cena waha się w dół i w górę około owej normy procentowej w stosunku do kapitału, zależnie od warunków podaży i popytu. Nie może więc wahać się równocześnie około innej normy — wartości pracy i to w zależności od jej technicznych warunków!

I oto socjalista Bernstein zmuszony jest wyznać, że Marksowska wartość towarów „traci wszelki sens konkretny, staje się poprostu konstrukcją myślową.“ A odkąd wartość pracy — dodaje on śmiało — może mieć pretensję do znaczenia tylko jako formuła teoretyczna, albo hipoteza naukowa, odtąd „sama nadwartość przemienia się w formułę, przytem taką, która z kolei opiera się na hipotezie.“ Sombart, znakomity historyk ruchu socjalnego i wielbiciel Marksa, jeszcze dawniej uznał jego formuły za abstrakcje, udogadniające jeno myślenie ekonomiczne, ale nie odpowiadające rzeczywistości. Ostatecznie Bernsteinowi mimowoli wyrzywa się wyznanie: „Kwestja o tworzącej wartość wymienną pracy, a zrazem o wartości i o nadwartości była tak samo *ciemną* w dawniejszych okresach gospodarstwa, jak jest nią dzisiaj!“...

Była ciemną i pozostała ciemną -- bo droga, na

której wartość użytkowa staje się wartością wymienną nie jest jakimś jedynym mostem przez przepaść, po którym rzekomo przechodzi „rzecz do użytku,“ aby stać się „rzeczą do wymiany.“

Nie jest to żadna jedna droga, ale splot tysiącznych zgygzakowatych dróg, zawiłych linii świata psycho-socjalnego: są tu żywioly darowizny, odpłacanej przez wdzięczność inną darowizną i grabieżczej zamiany przypadkowej, gdy silniejszy zabiera rzecz lepszą, a słabszy podnosi porzuconą przezeń gorszą, i podziału rezultatów wspólnej pracy w komunie rozdrobnionej na różne zajęcia—słowem wszystkich okoliczności, które sprawiały, że przedmioty „zamieniane“ przechodziły z rąk do rąk naprzód w różnych czasach, potem wspólnie.

Niema też żadnej absolutnej sprzeczności pomiędzy wartością użytkową i wymienną—bo to samo, co w pewnej mierze jest użytkowem dla właściciela, w nadmiarze staje się towarem; co jest z subiektywnego punktu widzenia kupującego wartością użytkową, dla sprzedawcy jest towarem.

Marksowi wydało się, że pierwszy rzucił snop światła na tę zawiłą sprawę, rozwarłszy przepaść abstrakcyjną pomiędzy wartością użytkową i wartością wymienną i rzuciwszy przez nią abstrakcyjny most—z pracy, z oderwanej siły roboczej, wymiernej przez czas.

Tak pomiędzy wartość użytkową a wartość wymienną wciska się niejako wartość pośrednia—wartość pracy w czasie, dla której Marks chce zatrzymać prawo do honorowego tytułu „wartość,“ a wartości wymiennej wyznacza posledniejsze miejsce tylko etykiety tej wartości, mianując ją „formą wartości“

Ale ekonomicznie biorąc rzeczy ta osobliwa „wartość,“ przyznawana towarom przy wejściu na rynek, nie jest niczem innym tylko znaną nam wartością wymienną, a o ile ma być treścią tej ostatniej, jako formy, po-

zostanie tylko konstrukcją tautologiczną: „wartość pracy w czasie jest wartością pracy w czasie“ — nic więcej, nie dającą oparcia dla zrozumienia ruchu towarów na rynku po rozkołysanych falach popytu i podaży.

Nie twierdzimy bynajmniej, że formuła Marksowska z III tomu o dążności wszystkich kapitałów do jednej procentowej normy może być przyjętą bez zastrzeżeń, że nie mamy tu znowu do czynienia z abstrakcją, ułatwiającą myślenie ekonomiczne, że rzeczywistość daje nam kiedykolwiek taki widok zidentyfikowanego procentu od wszystkich kapitałów. Bodaj wszystkie kapitały dążą do najwyższego procentu, a im mniejszy kapitał wymagalny jest przez pewien rodzaj przedsiębiorstwa, tem do wyższego musi dążyć procentu w celach utrzymania właściciela. Więc słuszność Marksowskiej abstrakcyi daje się wyobrazić tylko dla jakiegoś hypotetycznego kapitału średniej wielkości w hypotetycznym momencie równowagi ekonomicznej, który nigdy w rzeczywistości nie istnieje. Formuła Marksa z III tomu narażoną jest na ostre zarzuty krytyczne, między innymi Böhm-Bawerka, ale ten subtelny krytyk Marksa, a zarazem entuzjastyczny wielbiciel jego dialektycznego geniuszu, znacznie ostrzejsze zarzuty stawia teorjom pierwszych dwóch tomów. W każdym razie, idee Marksa z III tomu są znacznie głębsze, są owocem dojrzałego przemyślenia sprawy ekonomicznej, są najdalszym etapem jego myśli, są najpozytywniejszem ujęciem zagadnienia ceny, są najbardziej blizkie życia i najmocniej dają się pogodzić z tem, co obserwujemy na rynku — są najdalszym wnioskiem, do którego Marks dojść musiał, zajmąwszy się kwestją wartości wymiennej. Nie może zatem być mowy o daniu pierwszeństwa formułom z pierwszych dwóch tomów przed poglądami z III tomu. Raczej możnaby zakwestjonować słuszność rozwiązań i tu i tam — i uznać nierozwiązalność zagadnienia w jakim-

kolwiek sensie, gdy pragnie się cenę objaśnić przez jakikolwiek jeden czynnik: czy przez mechanizm podaży i popytu zgodnie z Bastiatem, czy przez wartość kosztów produkcji ze Smithem i Ricardem, czy przez kosztta reprodukcji wraz z Careyem, czy przez pracę wraz z Marksem na mocy pierwszych dwóch tomów „Kapitału,” czy przez kapitał — na mocy trzeciego, czy przez „użyteczność krańcową“ *) wraz z Karolem Gid'em. Właściwie każdy z tych ekonomistów — więc nie tylko Marks — odczuwał tę niemożliwość rozwiązania ceny przez jeden czynnik i każdy, mniej lub więcej świadomie, dodatkowo szukał drugiego czynnika. Ale w tej skomplikowanej sprawie dwa czynniki były też niedostateczne. Błędem zaś było prócz tego stawianie górującego akcentu na jakimś jednym czynniku. Ten błąd popełnił Marks w stosunku do pracy — i z konieczności został następnie przyciśnięty własną myślą do muru, gdy w charakterze regulatora ceny narzucił mu się z ogromną mocą inny czynnik: kapitał.

§ 16. Tu występuje nadomiar jedno z największych zamieszkań teorii Marksowskiej, nieporozumienie, które czerwoną nicią przechodzi przez wszystkie trzy tomy „Kapitału.” To bolesne nieporozumienie — bo bolesnym jest zawsze błąd geniuszu — jest to *pomieszanie dwóch spraw: tego, co jest, z tem, co być powinno.*

Kiedy Marks mówi w pierwszych dwóch tomach o wartości pracy, jako podstawie wartości wymiennej — to zdaje się mówi o tem, co jest, co ma znaczenie faktyczne w aktach wymiany. Kiedy następnie w 3-im tomie dochodzi do wniosku, że cena na rynku faktycznie odchyła się wbrew sprawiedliwym stosunkom od war-

*) „Użyteczność krańcowa” — jak wskazuje analiza — właściwie mieści w sobie dwa czynniki: użyteczność i ilość.

tości pracy - to owa podstawa wartości, praca, okazuje się tem, co być powinno.

Aby pogodzić faktyczność z powinnością Marks stara się dowieść, że to, co być powinno, tak być powinno, bo tak było, dopóki nie nastąpił ustrój kapitalistyczny i nie wykrzywił normalnego stanu rzeczy, odchylając cenę od wartości pracy i naginając ją do stosunku procentowego z kapitałem.

Nader znamienym jest fakt, że komentatorzy Marksa w rodzaju Engelsa, który był jego teoretycznym współpracownikiem, starają się dowieść, że „prawo wartości Marksa posiadało wagę powszechnego prawa ekonomicznego w ciągu pięciu lub siedmiu tysiącleci od początku wymiany (w Babilonie, Egipcie) aż do nastania produkcji kapitalistycznej.“ Jest to przyznanie, że obecnie prawo wartości Marksa nie rządzi już ruchami ekonomicznymi. Czy rządziło kiedyś, przez całe tysiącelecie? Niektórzy ekonomiści, jak np. Purvus, wykazali, że i w przeszłości istniał cały szereg przyczyn, przeszkadzających wcieleniu się prawa Marksa (stosunki feudalne, cechowe monopole i t. p.)—jak przeszkadza temu obecnie ustrój kapitalistyczny.

Otóż jest rzeczą konieczną zdecydować się na to, czy wartość pracy jest wartością wymienną, czy tylko nią być powinna.

Boć jeżeli wartość pracy jest podstawą naszych ocen wartościowych w obecnych warunkach ekonomicznych, to niezrozumiałym byłby cały gwałt przeciw społecznym niesprawiedliwościom, cały protest przeciw naszemu ustrojowi: toć istnieje to, czego życzy sobie socjalizm.

A jeżeli wartość pracy nie jest podstawą naszych ocen wartościowych, ale dopiero być nią *powinna* — to niepodobna twierdzić, że Marks odkrył w naszym ustro-

ju ekonomicznym to, co *jest*, ale że wskazuje to, co być *powinno*.

Wówczas jednak przepada obiektywny mus prawa wartości Marksa — wówczas cały Marksizm, cały socjalizm staje się dezyderatem — może tylko *pium desiderium* moralisty, nie jest już wnioskiem z badań nad strukturą gospodarczą, indukcją uczonego, zasadą pozytywną, staje się tylko etyczną wskazówką, hipotezą o kierunku, w którym przyszłość ma podążyć, pragnieniem myśliciela — a co do życzeń i etycznych wskazówek, co do poglądów na to, jak powinna ułożyć się przyszłość, możliwe są najróżniejsze zdania!

Tego właśnie *nie chciał* Marks. Nie chciał, bo chciał czegoś innego. Bo — jak dowiedzimy niżej — cała jego teoria była dedukcją, nie wynikała bynajmniej z analizy faktów. Marks chciał, aby *praca* była miernikiem wartości. On sądził, że tak być powinno, że to jest sprawiedliwym. Sądził tak, jako moralista. Pozytywnego uczonego analiza faktów doprowadziła wreszcie do uznania inego regulatora ceny — kapitału. Marks — moralnie nie chciał się poddać. Uparcie utrzymywał wbrew własnemu pozytywnemu wnioskowi, że wartość pracy skrycie nie przestaje oddziaływać na cenę — to, co być powinno, podawał za to, co jest.

Dlaczego Marks, a za nim inni socjaliści, starali się wmówić światu, że praca jest skrytym regulatorem wartości wymiennej? Bo chcieli dowieść, że to jest mus obiektywnym, jest koniecznością naturalną. Naturalnem zaś i koniecznem jest tylko to, co istnieje musowo w samej naturze rzeczy. Dowodząc, że coś istnieć powinno, ponieważ istnieje, jako fakt naturalny — unikali sporu etycznego o to, czy dobrze zrozumieli powinność, bo rozumieli, że przeniesienie sprawy na grunt etyczny otwiera szerokie szranki sprzecznym opiniom.

Lecz przez to mimowoli wpadli w inną sprzeczność.

Oto narażali się na zarzut już przez nas wskazany: jakże można żądać nastąpienia tego, co już jest? a jeżeli coś z jakichkolwiek względów nie jest zupełnie tak, jak pragną, jak można uważać za naturalną konieczność to, co nie istnieje, a tylko rzekomo istnieć powinno?

Aby uniknąć tej sprzeczności, Marks, a bardziej jeszcze jego następcy wprowadzali poprawkę: to, co być powinno, jest naturalne, bo istniało ongi, przez całe wieki, a tylko czasowo, przez nienormalność ustroju kapitalistycznego, przez warunki produkcji kapitalistycznej, zmienione zostało.

Ale tu socjalizm naraża się na nowy zarzut. Trudno uważać pewien okres gospodarczy za anomalję, za coś przypadkowego, za wynaturzenie życia ekonomicznego. Kapitalistyczny okres produkcji jest tak samo naturalnym etapem rozwoju, jak każdy inny: rozumie to przecie dobrze sam materializm dziejowy. Powstaje kwestja, czy i kiedy zakończyć się musi, a jeżeli musi się skończyć, to czy musi powrócić do poprzedniej oceny, której przemiana okazała się koniecznością historyczną, czy znajdzie inne jeszcze nieznanie nam drogi rozwojowe—oceny?

Lecz tu siła zarzutu nie wyczerpuje się. Wspominaliśmy, że niektórzy ekonomiści powątpiewają, czy prawo wartości Marksa działało i w poprzednich okresach gospodarczych.

Otóż dowiedzimy poniżej, że wartość pracy nie tylko dziś nie jest podstawą ocen wartościowych — że nie była nią nigdy. Dowiedzimy jednak zarazem — i tu staniemy zupełnie po stronie Marksa, że nasz ustrój ekonomiczny jest ustrojem w najwyższym stopniu niesprawiedliwym; dowiedzimy, że był niesprawiedliwym i w epokach poprzednich — wbrew przypuszczeniom Marksizmu.

A potem, oddzielając kwestję tego, co jest, i co

być powinno—postawimy pytanie, czy zbudowanie nowego ustroju na zasadzie prawa wartości Marksa—pracy i jej czasu, zapowiada nam wyższą sprawiedliwość w przyszłości i czy ewolucja ekonomiczna w tym kierunku podąża.

I tu może okaże się to, co rzekł Lassalle, że „podczas, gdy dogmatyczne uznawanie marksizmu jest kompromitacją tej teorii, krytyka Marksa jest najlepszą obroną Marksa przeciw niemu samemu.“

ROZDZIAŁ II.

Prawa podaży i popytu.

§ 17. Nie możemy jednak w wywodach naszych posunąć się dalej, nie zdawszy sobie dokładnie sprawy ze stosunku podaży i popytu do siebie wzajem i do ceny. Musimy zrozumieć dobrze, czemu próba oparcia ceny na stosunku podaży i popytu — która klasykom-ekonomistom wydawała się uwolnieniem kwestyi ekonomicznej od wpływu czynników psychologicznych i rozstrzygnięciem jej zupełnem w duchu doskonale obiektywnym—zakończyła się niepowodzeniem. Dopiero wówczas ukaże się nam w całej pełni zawilość zagadnienia wartości, dopiero wówczas wyjaśni się, czemu Marks, niezadowolony z prób ekonomii klasycznej, poszukał rozwiązania na nowej drodze.

Otóż wypada nam dowieść zgodnie z naszym przyrzeczeniem, że przedewszystkiem oba pojęcia — popytu i podaży są mocno nieokreślone.

Wspominaliśmy, że na popycie ciąży grzech pierworodny jego pochodzenia psychologicznego—kapryśnej natury subyektu. Można by zarzucić temu twierdzeniu, że przeocza ono istnienie potrzeb niezbędnych. Zarzut niesłuszny: potrzeby niezbędne w stosunku do innych i do całej produkcyi rynku są częścią minimalną wszystkich potrzeb, które potęgują się i rozszerzają w stanie

kultury przez naśladownictwo społeczne. A nawet owe potrzeby niezbędne dają się zadowolnić najróżnorodniejszymi przedmiotami względnie do upodobań i możliwości konsumentów. Olbrzymia część popytu przypada na potrzeby nie pierwszej konieczności, a tu pożądanie reguluje się przez możliwość nabywczą, czyli przez *siłę kupną* konsumentów.

Zdawać się może, że w owej sile kupnej zyskujemy nakoniec pewien miernik obiektywny — stan majątkowy — który ogranicza siłę czynników psychologicznych, kapryśność pożądań subjektu i pozwala nam oderwać się od dziedziny psychologii, a nie turbując się o nią postawić sprawę śmiało na gruncie wyłącznie ekonomicznym. Jest to pozór. Obliczenie indywidualne własnego majątku, t. j. określenie ilości, która może być wydatkowana, stanowi dla każdego miarę osobistego popytu — a rozstrzygać tu będzie w przełożeniu jednych zakupów nad drugie siła gustów, jakość przyzwyczajień, temperamentów, większy lub mniejszy rozsądek, większa lub mniejsza oszczędność i rozrzutność. Popyt społeczny, na który składają się te różnorakie popyty osobiste, stanowi zjawisko psychosocjologiczne, którego złożoność wzrasta nieskończenie w miarę zwiększenia ludności i podniesienia się poziomu kultury. Czy podobna tu wyobrazić sobie jakąś przeciętną, która byłaby czemś więcej, niż nic nie mówiącą abstrakcją — i jak ją odszukać w tem skrzyżowaniu się niezmiernie różnorodnych stopni majątków osobistych z niezmiernie różnorodnymi ocenami ich części nabywczych t. j. przeznaczonych na wydatkowanie, oraz kierunków najpożądaniejszego nabycia, w tem falowaniu ocen indywidualnych wśród niezmiernie odległych biegunów?

Jakże wymierzyć ów popyt, w którym na „chęć“ wpływa ograniczająco w olbrzymiej ilości wypadków „nie mogę“, a „mogę“ w mnóstwie okazyi życiowych

oddziaływa pobudzająco na „chcę“; oba zaś czynniki „chcę“ i „mogę“ jednakowo nie dają się obliczyć, jednakowo nie dają się oderwać od gruntu psychologicznego.

Dotykamy tu niezmiernie ważnego punktu, którego znaczenia nie ocenia często naiwny socjalizm. Wywłaszcza on w marzeniu kapitalistów, zrównywa stopnie majątków osobistych—i wyobraża sobie dziecinnie, że popyt pozostanie ten sam. Ba! ten sam błąd popełnia uczoney francuzki socjalista—Renard. Popełnia na tym gruncie aż dwa błędy, które dowodzą, jak trudno jest wyobraźni naszej konstruować przyszły ustrój socjalistyczny w oderwaniu od warunków bieżącego ustroju. Po pierwsze, Renard wierzy, że produkcja w ustroju socjalistycznym może być zupełnie pozbawioną elementu przymusu, jakgdyby sama natura postarała się o to, aby społeczność wydała tylu ludzi z upodobaniami do każdego zawodu, ilu akurat wymagać będą potrzeby produkcyi w każdej gałęzi—co jest wyraźnym absurdem. Powtóre, rozumiejąc dobrze, że niemożliwym jest taki stopień produkcyjności, który każdemu członkowi społeczności dostarczałby wszystkiego, co społeczność wytwarza—(absurdem jest myśleć, że wszyscy mogą mieć wszystko) — rozumiejąc, że istnieje granica tak dla siły potrzeb indywidualnych, jak i dla siły produkcyi społecznej, stara się je pogodzić wskazówką, że po określeniu przez statystykę dziś istniejącego popytu zastosuje się doń produkcję w ustroju socjalistycznym. Jakgdyby dziś istniejący popyt, będący wynikiem istniejących stopni majątkowych, wynikiem nierówności socjalnych, mógł być jakąkolwiek miarą dla produkcyi socjalistycznej! Jakgdyby zmiana stanu majątkowego obywateli nie musiała wpłynąć radykalnie na zmiany w charakterze podaży, przede wszystkim deprecjonując te gałęzie produkcyi, które dziś służą potrzebom najzamożniejszych warstw społecznych...

Wszystko, cośmy rzekli, dowodzi, że pojęcie popytu jest pojęciem skomplikowanym i podwójnie nieokreślonym: w swoim „chcę“ i „mogę.“ Kiedy mowa jest o popycie, trudno określić, czy ma się na myśli wszystkich, którzy poszukują pewnego towaru t. j. popyt ewentualny, czy tylko tych, którzy są zarazem z góry przygotowani zapłacić zań wszelką cenę żądaną na rynku t. j. popyt realny.

Z drugiej strony — i podaż jest również pojęciem nieokreślonym. Natężenie podaży na rynku może się zmieniać w dwóch kierunkach zależnie od mniejszej lub większej dogodności sprzedaży. Z jednej strony nie cała ilość towarów, znajdujących się w rękach sprzedawców, stanowi o sile podaży t. j. nie całe *esse*. Albowiem sprzedawcy wystawiają zazwyczaj tylko część towarów na rynek, aby nie obniżyć ich wartości, że tak rzeke, konkurencją ze sobą samymi t. j. z podaży wyklucza się czasowo część towarów, będącą na składzie, tuż pod ręką, w obrębie rynku. Z drugiej strony obfitość towarów na rynkach pobliskich, łatwość sięgnięcia po nie dla każdego sprzedawcy, który dogodnie wyprzedaje cały swój towar, oraz dla każdego konsumenta, który przy drożyźnie gotów jest zwrócić się do sąsiedniego rynku, czyli podaż wyczuwalna w możliwości — *in posse*, jakgdyby dopełnia faktycznie istniejącą podaż i wpływa na niższość cen towarów na danym rynku.

§ 18. Mówiliśmy, że popyt i podaż są czynnikami mechanicznymi wymiany, że wartość rzeczy waży się niejako na szalach popytu i podaży.

Ekonomia klasyczna wyprowadzała stąd wniosek, że ze stosunku podaży i popytu daje się wyprowadzić wartość, że cena jest wypadkową tego stosunku.

Twierdzenie to okazało się niewystarczalnem. Jak już wiemy, jest ono spowodowaniem jednej niewiadomej — ceny, do innych niewiadomych — do nieokreśloności po-

pytu i podaży. Ale nadomiar twierdzenie to jest fałszywym, a oto dlaczego:

Naiwny pogląd ekonomiczny twierdzi zazwyczaj, że wzrastający popyt podnosi cenę towaru, wzrastająca podaż obniża ją i naodwrot—malejący popyt obniża cenę, malejąca podaż podnosi ją. Zasada, że tym sposobem popyt znajduje się w prostym stosunku do ceny, podaż w stosunku odwrotnym—wydaje się kwintesencją mądrości ekonomicznej. Klasykom wydało się, że w tej zasadzie odnaleźli przyrodnicze prawo, automatycznie na wieki regulujące cenę, prawo, któremu wola społeczna nie jest w stanie nic przeciwstawić, którego zmienić nie może żadną zasadą moralną.

A jednak prawo takie okazuje się złudzeniem.

Nie dość, że ów prosty stosunek popytu i podaży nie nosi charakteru matematycznej odpowiedniości, właściwego prawom istotnym, bo popyt podwójny nie podniesie ceny do miary podwójnej, ani podwójna podaż nie obniży ceny do połowy: rynek nie posiada automatycznej sprężystości, nie podąży tak szybko za zmianami popytu i podaży, choćby dlatego że nie uwidoczniają się one w pełni oczom konsumentów i producentów.

Na domiar obserwacja poucza nas o tem, że na rynku zachodzi prócz skonstatowanego zjawiska odwrotne. Nie tylko podaż i popyt wpływają na ceny; z drugiej strony cena oddziałuje na podaż i popyt. Spadająca wartość—t. j. niższa cena towarów, odpowiadając lepiej sile nabywczej konsumentów, pomnoży ich szeregi t. j. podniesie popyt. Naodwrot podnosząca się wartość—t. j. cena zbyt wysoka zmusi wielu do odmówienia sobie nabytku, czyli zmniejszy popyt. Z drugiej strony, obniżka ceny na rynku wywoła wycofanie się wielu producentów, liczących na sprzedaż dogodniejszą w przyszłości t. j. zmniejszy podaż, a podniesienie ceny skłoni sprzedawców do rzucenia na rynek towarów,

przechowanych w składach i do ponownych transportów zdaleka, czyli do rozszerzenia podaży.

Inaczej mówiąc, jeżeli wzrastający popyt podwyższa cenę, to naodwrot podwyżka ceny zmniejsza popyt; jeżeli malejący popyt obniża ją, to naodwrot obniżka ceny zwiększa popyt. A podobnie, rosnąca podaż zmniejsza cenę, lecz z kolei zmniejszona cena obniży podaż; malejąca podaż zwiększa cenę, lecz z kolei zwiększona cena podnosi podaż.

Z punktu widzenia wpływu ceny na popyt i podaż otrzymujemy zasadę wprost przeciwną tej, którą konstatuje zwykły pogląd ekonomiczny; mianowicie popyt okazuje się w odwrotnym stosunku do zmian ceny, podaż—w prostym.

I nie masz żadnej zasady twierdzić, że jeden z czynników jest tu pierwotnym, drugi pochodnym, t. j. że naprzód regulujące stanowisko obejmuje stosunek popytu do podaży, później cena, lub naodwrot, bo cofając się w tył po nieskończonej linii, gdzież możemy znaleźć jakiś punkt początkowy?

Okazuje się, że cena na rynku jest jednocześnie ujściem i źródłem. Za ledwie popyt czy podaż w zmiennym stosunku do siebie popchną ją w pewnym kierunku, natychmiast ona oddziałuje na nie, zmieniając ich stosunek. Powstaje niby nieskończony łańcuch falowań: wzrastający popyt podbija cenę, podbita cena zmniejsza popyt, zmniejszony popyt obniża cenę, obniżona cena zwiększa popyt i t. d.; albo wzrastająca podaż zniża cenę, zniżona cena zmniejsza podaż, zmniejszona podaż podbija cenę, podbita cena zwiększa podaż i t. d. *da capo*.

Zdawałoby się na pozór, że tego rodzaju konstrukcja sił ekonomicznych daje nam wreszcie w rękę nieć jakiegos prawa, obiektywnie regulującego zmiany, zachodzące na rynku, że na mocy tego prawa cena nie

może ani górować bez końca, ani spadać nieograniczenie, że ciąży ona zawsze do normy pierwotnej po każdym oddaleniu się w tę lub ową stronę. Ale jakkolwiek coś podobnego do tej konstrukcji zachodzi na rynku, tylko naiwność mogła by twierdzić, że prawo to odpowiada stanowi rzeczywistemu, bo w życiu nie widzimy ani powrotu ceny do jakiejś stałej normy i wahań się jej tylko w określonych granicach, ani nie spostrzegamy powrotu podaży i popytu do norm pierwotnych. Pochodzi to bodaj po części ztąd, że na cenę wpływają zmiany wartości złota i srebra, ale jeszcze bardziej ztąd, że zmiany w gęstości zaludnienia i w stanie kultury, zawisłym od czynników technicznych i psychologicznych, wpływają samoistnie na zmiany fizjonomii popytu i podaży i komplikują nieobliczalnie mechanizm sił ekonomicznych na rynku.

Wszystko więc, co wolno nam twierdzić, sprowadza się do ogólnika, że przerost popytu nad podaż podniesie cenę, a przerost podaży nad popyt obniży ją; lecz z kolei wypadnie uwzględnić zjawisko wpływu odwrotnego, t. j. obniżenie się popytu pod wpływem wzrostu ceny i obniżenie się podaży pod wpływem jej spadku, o ile z jednej strony popyt nie wygórjuje pod wpływem wzrostu zaludnienia i podniesienia się stanu majątkowego konsumentów, a podaż nie wygórjuje pod wpływem hyperprodukcji i konieczności spieniężenia zapasów przez producentów.

Ten stosunek pomiędzy podażą i popytem z jednej, a ceną z drugiej strony, stosunek wzajemnego wpływu na siebie, oddziaływania odwrotnego czynników, stosunek, na mocy którego skutek przeobraża się w przyczynę, zmieniającą skutek pierwotny — tłumaczy dosadnie, czemu próba wyjaśnienia ceny przez regulatory popytu i podaży, jako jednostronna, okazała się chybioną.

§ 19. Zresztą nawet przyjęcie za regulatory popytu i podaży nie uwalniało od intrygującego pytania, czym jest owa ekonomiczna *Ding an sich*, rzecz sama w sobie, która podlega wahaniom pod wpływem zmiennego stosunku popytu i podaży i przeobraża się w cenę. Taką *Ding an sich* niektórzy ekonomiści znaleźli w wartości *normalnej*, w kosztach. Znaleźli przez to niby ów punkt oparcia, od którego rozpoczyna się cena, *primum movens*, a raczej *primum motum* rynku ekonomicznego, owo coś, co umiejscowić się daje na linii podaży i przesuwają się po niej, zależnie od jej długości i stosunku do przeciwległej linii popytu, z której wychodzą siły poruszające, pasujące się z siłami na linii podaży i przesuwające ów punkt bądź wyżej, bądź niżej—do wyższej lub niższej ceny.

Istotnie, w owym łańcuchu, w którym każde ogniwo może być przyczyną i może być skutkiem — myśl ekonomiczna szukać musi jakiegoś oparcia, aby znaleźć punkt odbicia i możliwość dalszego teoretycznego rozwoju. Inaczej musi uznać zagadnienie za nierozwiązalne i poddać się.

Na pozór nadaje się po temu zupełnie wartość normalna — jako fakt pozytywny. Przeciętna wartość normalna wobec różnicy pomiędzy kosztami różnych producentów będzie hypotetycznie podstawą ceny od strony podaży; stosunek do ilości podaźnej od strony popytu zadecyduje, czy cena podniesie się w górę, czy spadnie, t. j. czy wyrośnie mocno po nad przeciętną wartość normalną przez naddatek zysku, czy spadnie mocno poniżej przeciętnej wartości normalnej przez ujęcie straty.

Niestety, ta ponętna prostotą teoria nie rozwiązuje zadania. Sama wartość normalna, jak już wiemy, acz jest faktem pozytywnym w stosunku do danego fabrykatu, jako koszt surowców, maszyn, pracy — jest rów-

nież towarem, żąda wyjaśnienia, jest sama czemś, co ważyło się na szalach podaży i popytu przed nabyciem przez fabrykanta. Mamy więc tu tylko zamianę x ceny towaru na y ceny jego składników + zysk, lub — strata.

Oto, czemu Marks czuł się upoważnionym pogłębić zagadnienie, nie poprzestawać na zamianie jednej niewiadomej na drugą, szukać po za ceną, po za wartością normalną, jakiejś tajemniczej wartości wymiennej, właściwszej *Ding an Sich* — i zdawało mu się, że do tej roli najbardziej pasuje praca, oceniona w jednostkach przeciętnego, t. j. według terminologii Marksa społecznie-niezbędnego czasu.

Krytyczna ocena tego poglądu wymaga od nas dalszej, głębszej jeszcze analizy stosunku podaży i popytu, mianowicie w związku z ideą o wartości normalnej.

§ 20. W akcie wymiany spostrzegamy jakgdyby przeciwstawienie się, a następnie zbliżenie przez zawarcie umowy popytu i podaży, zapotrzebowania i zaofiarowania, nabywcy i sprzedawcy.

Po stronie popytu występuje subiektywna ocena *ofiary*, którą nabywca ponieść musi, jeżeli pragnie ku swojemu zadowoleniu dokonać wymiany na rzecz bardziej pożądaną. Po stronie podaży występuje natomiast subiektywna ocena *wartości normalnej*, t. j. kosztów, które sprzedawca powetować sobie musi, oraz zysku, na który rachuje, skoro pragnie dokonać aktu wymiany bez straty i osiągnąć zadowolenie z podjęcia interesu.

Gdy chodzi o wyobrażenie sobie całej zbiorowości aktów wymiany, zachodzących w gospodarstwie społecznym, rzecz ta nie okazuje się tak prostą, jak można sądzić z powyższego przedstawienia sobie jednego nabywcy i jednego sprzedawcy, pierwszego, ponoszącego ofiarę pieniężną, drugiego, starającego się zyskać coś po nad wartość normalną towaru.

Wymiana pieniężna zastąpiła historycznie wymianę w naturze — towarów na towary. Zastępuje ją ideowo w dalszym ciągu. Każda wymiana towaru na pieniądze ma na widoku późniejszą wymianę pieniądza na inne towary dla potrzeby osobistej; każda zaś wymiana pieniądza na towar przypuszcza uprzednią wymianę towaru własnego na obecnie puszczone w obieg pieniądze. Czyli mówiąc inaczej: każdy człowiek pieniężny stanie się z kolei spożywcą (konsumentem) cudzych towarów, lub usług; każdy człowiek pieniężny był uprzednio twórcą (producentem) pewnych towarów lub usług.

Ztąd okazuje się, że na każdy akt wymienny można patrzeć, jako na przeciwstawienie się sobie dwóch odmiennych podaży, albo dwóch odmiennych popytów, że cała masa wymian na rynku jest przeciwstawieniem się sobie wszystkich podaży albo wszystkich popytów, bo obie strony są jednakowo producentami i wystawcami na sprzedaż własnych towarów lub usług i równocześnie konsumentami i odbiorcami cudzych towarów i usług—tylko, że wymiana to po jednej, to po drugiej stronie odbywa się za pomocą pośrednika pieniężnego, wspólnego dla wszystkich, jako miernik rachuby.

A z tego niezmiernej wagi stanowiska okazuje się dalej, że ofiara i wartość normalna nie są pojęciami różnemi, że na propozycję każdej strony możemy zapatrywać się do woli, jako na ofiarę, lub jako na odstąpienie pewnej wartości normalnej. Innemi słowy każdy sprzedawca jest równocześnie nabywcą: każdy liczy się z wartością normalną, którą ustępuje, w charakterze ofiary, którą ponosi. A nabywca, który płaci gotówką, domyślnie oblicza wartość swoich pieniędzy w charakterze rezultatów ze swoich operacji sprzedażnych i ztąd czerpie miarę swojej ofiary.

Szczegółowiej analizując akty wymiany, możemy zapatrywać się na podaż każdego rodzaju towarów, ja-

ko na popyt na wszystkie inne towary, jakich pożądamy sprzedawcy pod postacią poszukiwanej gotówki; zaś w popycie na pewien rodzaj towarów możemy upatrywać wynik z dokonanych operacji podaży celem zaspokojenia między innymi danej kategorii pożądaniami.

Wszystko to zaś dowodzi, że rozwiązywanie zagadnienia ekonomicznego przez upatrywanie punktu odbicia — w wartości normalnej na linii podaży musi być mocno powierzchownem, bo jednocześnie wartość normalna, w charakterze ofiary, ukazuje się po drugiej stronie, na linii popytu, która jest tak samo podażą, tylko innego gatunku. Złudzeniem jest upatrywać początek aktu wymiany od strony podaży towaru, dlatego, że po tej stronie występuje towar, a po drugiej gotówka, bo wymianę na pieniądze możemy uważać nie tylko zastępczo za wymianę towarów, ale poprostu zapatrywać się na nią, jako na wymianę towarów różnego rodzaju. Albowiem złoto niewątpliwie jest także rodzajem towaru, który ofiaruje się odpowiedniemu popytowi.

Straszliwa zawilość zagadnienia ekonomicznego dopiero teraz ujawnia się w pełnym świetle, gdy okazuje się, że dla wymiany nie masz punktu odbicia, nie masz pierwotnej propozycji, oceny wcześniejszej po jednej stronie, że to, co się kupuje i sprzedaje, nabywa i oddaje, występuje odrazu i równocześnie po obu stronach, występuje tu i tam, jako subiektywna ocena tylko w innym porządku — tu od strony towaru ku pieniądzu, tam od strony pieniądza ku towarowi, tu jako ocena swojego towaru, tam jako ocena pieniądza. A w tem świetle cena okazuje się czemś, co tryska z dwóch zmieszanych źródeł — *cena rodzi się odrazu, jako stosunek.*

Teraz jeszcze jawniej okazuje się, jak słusznie Marks nie zadowolnił się teorią ceny, opartą na warto-

ści normalnej, t. j. na punkcie odbicia od strony podaży jeszcze zrozumiałsem jest czemu szukał owego *tertium* pomiędzy liniami podaży i popytu. Dopatrzył się go w pracy: ów stosunek podaży do popytu wytłumaczył, jako wzajemne mierzenie się dwóch różnorodnych wysiłków pracy.

Niestety, to rozwiązanie zagadnienia, podźwigniętego genialnie i w trafnem poczuciu błędności wcześniejszych teoryi, okazuje się fałszywem w świetle bieżącego życia ekonomicznego, okazuje się fałszywem w świetle historyi. Cena—naszem zdaniem—musi być tłumaczona ewolucyjnie, jak postąpiliśmy ze wszystkimi innymi zjawiskami społecznymi; nie jest ona dziś stosunkiem wymiaru dwóch wysiłków energii pracownej, nie była nim wczoraj, nie urodziła się w tym charakterze.

Zanim wyświetlimy to bliżej, musimy jeszcze przez chwilę zatrzymać się na popycie i podaży, aby wyczerpać stosunek ich do dna, oświetlić je ostatecznie i zyskać przez to nowe wytyczne do dalszej analizy przedmiotu—mianowicie kwestyi wahanja się ceny.

§ 21. Obaczmy z kolei, jak komplikuje się stosunek podaży i popytu z powodu wielobarwnej i wielokształtnej fizjonomii obojga. Jeżeli wyobrazimy sobie przypuszczalnych kontrahentów w dwóch szeregach, przeciwstawiających się sobie nawzajem, lub w postaci dwu linii, to okaże się, że każdy kontrahent przy obliczeniach dogodności wymiany dla siebie dokonywać musi dwojakiego rodzaju ocen porównawczych, (albo też dokonywują się one na rynku — wbrew jego woli): primo — na całej linii swego szeregu, secundo — na całej linii równoległej przeciwnego szeregu.

Albowiem tylko w naiwnem wyobrażeniu popyt jest jedynie ilością wszelakich pożądających, a podaż ilością jednorodnych producentów.

W rzeczywistości linia popytu wspina się niejako w górę od najniższej do najwyższej oceny pożądanego towaru — i posiada swoje regiony podnoszącej się siły kupnej. O podniesieniu się ceny przy podaży niewystarczającej dla wszystkich chcących i mogących kupić decydować będzie największa ilość przypuszczalnego nabytku w sferze danej oceny, w stosunku do innych. Słowem, nie przeciętna ze wszystkich ocen, ale z iloczynów ilości zażądań konsumentów na ich oceny. Tu jeszcze należy mieć na uwadze, że siła kupna posiada pewną elastyczność, czyli, że przy większej konieczności zrobienia nabytku, przy większej konkurencji z innymi nabywcami, przy mniejszej podaży — siła kupna podnosi się z niższych o parę stopni sąsiednich wyżej. Granica podnoszenia się nie daje się przecie określić: zależy ona od całości majątku osobnika i od siły danej potrzeby. Tu właśnie ekonomia polityczna szczepia się nierozzerwalnie z dziedziną psychologiczną i pograża się w jej tajemniczym cieniu.

Podobnie dzieje się z linią podaży. I tu trzeba mieć na uwadze nie tylko ogólną ilość podaży i rozmaitość ocen sprzedawców, ale ilość podaży po każdej proponowanej cenie, a przeciętną dla obiektywnej ceny targowej wyprowadzać z iloczynów ilości towarów i ich cen subiektywnych. Wówczas okaże się, że wzrost przeciętnej znajduje się w zależności nie tylko od wzrostu ceny, żądanej przez sprzedawców, ale od ilości towaru, reprezentowanej przez każdą z cen, że przy obfitej podaży po cenach najniższych przeciętna zbliżać się będzie do nich, rosnąć zaś będzie jeno wówczas, gdy za najwyższą ceną stać będzie równocześnie największa ilość podaży, a zarazem sprostą jej popyt — ilością potrzeby i siłą kupną.

Widzimy tedy, że wytwarzanie się ceny rynkowej pod wpływem popytu i podaży jest sprawą niezmiernie

zawią—odbywa się tu porównanie wszystkich punktów na linii podaży pomiędzy sobą i znajduje się ono ciągle pod wpływem porównania wszystkich punktów na linii popytu. To samo dzieje się ze strony odwrotnej. Przytem w tem porównaniu uwzględnia się nie tylko rozmaitość oszacowań, ale i ilość za każdym stojącą.

Sprawa wikła się jeszcze mocniej przez to, że linię podaży w jej napięciach możemy sobie wyobrazić dwójako: albo w miarę wzrostu cen żądanych, albo w miarę wzrostu kosztów, czyli wartości normalnych produkcji. Nie będą one sobie bynajmniej równoległe, bo norma zysku w stosunku do wartości normalnej, t. j. naddatek do kosztów, fiksujący cenę żadaną, subiektywną, bynajmniej nie jest jednakowy, znajdując się w pewnej zależności od subiektywnych ocen sprzedawców.

Dobiero biorąc pod uwagę fakt, że *minimum* pożądanego przy sprzedaży dla każdego producenta to zwrot kosztów, że naddatek może być liczony dopiero od tej granicy, zyskujemy teoretyczne prawo układu linii podaży według narastania wartości normalnej. Różnice kosztów produkcji wytłomaczą nam wówczas elastyczność oceny sprzedawców, będącą podłożem kształtowania się ceny od strony podaży: sprzedawca może podnieść cenę, spostrzegłszy, że drożsi producenci wystawili z musu znacznie droższe ceny od niego, natomiast może być zmuszony do obniżenia swoich żądań przez konkurencję tańszych producentów, mogących wystawiać niższe ceny. Będzie to porównanie na własnej linii. Warunki rynku, t. j. stosunek do podaży popytu, czyli porównanie z linią przeciwną zadecyduje z kolei, w jakim kierunku i jak daleko postąpi cena: wprawdzie sprzedawca zawsze będzie poszukiwał tych, co najmocniej pożąдают jego produktu i najwyższą ofiarują zań cenę, lecz w obawie, że nie sprzeda swego towaru,

zmuszony będzie liczyć się z oceną najoszczędniejszych, lub najbiedniejszych konsumentów, zwłaszcza, gdy tacy przeważać będą na rynku.

§ 22. Obiektywna cena targowa wahać się tedy będzie pomiędzy czterema punktami: najwyższą oceną i najniższą oceną od strony popytu, oraz najwyższą oceną i najniższą oceną od strony podaży. Wszelako przy ocenie tych punktów krańcowych okaże się, że nie każdy popyt jest popytem na serio; za taki uważany być może tylko popyt, stojący na równi z najniższą wartością normalną: żądający, którzy ceną towar niżej—odpadną. Podobnie od strony podaży odpadną ci, którzy ceną towar wyżej najwyższej siły kupnej konsumentów: zmuszeni będą wycofać się z rynku, aby nie stracić. Tym sposobem zadanie niejako ułatwia się: otrzymujemy tylko dwa krańce — najwyższej siły kupnej i najniższej wartości normalnej, pomiędzy którymi znaleźć się winna *cena przeciętna* — przez konkurencję sprzedawców, zniżających cenę, aby pozbyć się towaru przed innymi, i przez konkurencję nabywców, pragnących zaopatrzyć się w towar przed innymi. Ofiarujący towar po cenie najniższej będzie ją ściągał w dół od oceny najdroższego producenta, byle sprzedać towar, ale na jego szczęście i szczęście jego konkurentów nie spadnie ona tak nisko, bowiem ofiarujący droższą cenę będą ją podnosili w kierunku najwyższej oceny, aby zaopatrzyć się w towar przed innymi. Z powodu sprzeczności tych dwóch prądów — podaży, zmniejszającej cenę do punktu najniższej wartości normalnej, i popytu, zwiększającego ją do punktu najwyższej siły kupnej — cena nie może spaść do najniższego, ani podnieść się do najwyższego punktu, a zatrzyma się gdzieś w pośrodku, jako *przeciętna*, bliżej lub dalej od tego lub owego krańca, stosownie do tego, czy nagromadzi się ilość wielka konsumentów najwyżej oceniających towar,

czy przeciwnie, ilość wielka producentów wytwarzających go najtaniej.

Tak działać się będzie w warunkach normalnych. W tych warunkach siła potrzeby sprawia, że dzięki elastyczności siły kupnej, najniżej ceniący towar zmuszeni będą poddać się cenie przeciętnej — i dadzą ją, o ile będą w stanie, acz z wysiłkiem, uszczuplając swój majątek, oraz że ci, co cenią towar za wysoko, będą zmuszeni zgodzić się na cenę przeciętną, acz tracąc na swoim towarze, o ile zmusi ich potrzeba gotówki na razie.

W warunkach anormalnych—przy hyperprodukcji, cena spaść może poniżej najniższej wartości normalnej, aż do punktu najsłabszej siły kupnej, oraz przy wielkim popycie, któremu podaż nie jest w stanie sprostać, cena wyrosnąć może znacznie powyżej najwyższej wartości normalnej, aż do punktu najwyższej siły kupnej. Pierwszy wypadek ma miejsce w stosunku do przedmiotów zbytku przy krachu przemysłowym, drugi w stosunku do przedmiotów nieodzownych, w rodzaju chleba, w czasie głodu.

Skala wahań ceny rozszerza się tym sposobem — w górę do najwyższej siły kupnej i wietrzącej ją żądzy zysku i w dół do najniższej siły kupnej i ustępującego przed nią musu spieniężenia towaru.

Tak zdarza się, że konsumenci, stojący po za rynkiem, pojawiają się na nim, korzystając z hyperprodukcji i święcą tryumf — a równocześnie producenci, chowający się ostrożnie za rynkiem, powracają nań, utraciwszy nadzieję i zmuszeni poddać się złej chwili. Tak też zdarza się, że konsumenci, którzy dotychczas byli na rynku, naraz pozostają z próżnemi rękoma, ubiegnięci przez zamożniejszych — a równocześnie producenci, którzy dotąd stali po za rynkiem ze swojemi wysokimi żądaniami, ciągną olbrzymie zyski.

§ 23. Z tego wszystkiego, zdaje się, możnaby wyprowadzić następujące prawa wpływu popytu i podaży na cenę.

a) Przy *hypotetycznej równości popytu i podaży*—w granicach tych samych, t. j. równości najwyższej siły kupnej z najwyższą wartością normalną i równości najniższej wartości normalnej z najniższą siłą kupną (bowiem najdrożsi producenci i najtańsi konsumenci, o ile elastyczność ich oceny nie pozwoli pierwszym zniżyć się, drugim podnieść się w oszacowaniu, zawsze odpadną)—podaż tańszych wytwórców zniżyć będzie cenę, popyt droższych nabywców będzie ją podnosić, a ztąd cena targowa znajdzie się gdzieś w pośrodku. Znajdzie się bliżej najwyższej wartości normalnej, o ile przeważa zaofiarowanie drogich wytwórców, bliżej najniższej siły kupnej, o ile przeważa zapotrzebowanie najmniej zamężnych nabywców. Przeciętną ceną będzie przeciętna z przeciętnych po stronie podaży i popytu, otrzymana przez pomnożenie oszacowań na ilości. Ten wynik pochodzi ze sprzeczności dwu prądów — podaży konkurującej o nabywców i popytu, konkurującego o sprzedawców, — krzyżujących się gdzieś w środku.

Ale ten-że sam wynik daje się równolegle objaśnić jeszcze w dwojaki sposób: sprzecznością dwóch prądów popytu, albo dwóch prądów podaży. Tak na linii popytu — najwyższa siła kupna swoją drogą stara się o najtańszy towar, a najniższa wygórowuje, konkurując w swoim regionie. Dwa te prądy zdążają gdzieś do środka. Podobnie na linii podaży — najniższa wartość normalna swoją drogą stara się o najdroższych nabywców, a najwyższa obniża ceny, konkurując w swoim regionie. I dwa te prądy także zdążają gdzieś do środka.

b) Jeżeli *popyt przeważa podaż* — w granicach przez nas wskazanych równych ocen od dołu i od gó-

ry — to popyt podnosi cenę, dążąc do najwyższej oceny podaźnej. Ale w tej dążności ku górze doznaje zahamowania, o ile przeważa zapotrzebowanie o niskiej sile kupnej.

c) Jeżeli *podaż przeważa po nad popyt*, cena podaży ku najniższej wartości normalnej, ale w tej dążności do spadku doznaje zahamowania, o ile przeważa na rynku ilość drogich wytwórców.

d) *Spotęgowanie popytu* — kiedy chodzi o przedmioty potrzeb pierwszorzędných — podnieść może cenę do najwyższej wartości normalnej, a nawet cena może podnieść się niezmiernie wysoko po nad nią do punktu najwyższej siły kupnej. Jest to moment braku.

e) *Spotęgowanie podaży* — kiedy chodzi o przedmioty nie pierwszej potrzeby — może zniżyć cenę do najniższego punktu wartości normalnej, a nawet znacznie poniżej takowej, ku najniższej sile kupnej. Jest to wypadek hyperprodukcji.

Ostatnie dwa wypadki (*d* i *e*) zdarzają się w okresach nienormalnych.

Przypuszczenie o wytwarzaniu się na rynku ceny przeciętnej, nie wygórowującej do punktu najwyższej siły kupnej, ani też nie spadającej do punktu najniższej wartości normalnej, opiera się na hipotezie, że w warunkach normalnych największa ilość podaży gromadzi się w regionie przeciętnej wartości normalnej przez upodobnienie technicznych i ekonomicznych warunków gospodarczych, oraz że największa ilość zaofiarowania pieniądza za towar gromadzi się w regionie średniej siły kupnej *).

*) Algebraiczna formuła *ceny przeciętnej* według naszej teorii mieć będzie następujący wyraz:

$$\frac{Aa + Bb + Cc + \dots}{A + B + C + \dots} + \frac{Ll + Mm + Nn + Oo + \dots}{L + M + N + O + \dots}$$

§ 24. Do tego obrazu należy dołączyć jeszcze inny — należy uwzględnić różnicę pomiędzy podażą przemysłowców dla popytu handlowców, a podażą handlowców dla bezpośrednich spożywców, t. j. różnicę w pierwszym wypadku między kapitałem *przemysłowym* i *handlowym*, a w drugim pomiędzy kapitałem *handlowym* i zwyczajnym pieniężnym — *spożywczym*.

Kapitał przemysłowy wobec kapitału handlowego, zmuszony dążyć do wyprzedzący całej produkcji — zniża cenę bardzo mocno i doznaje niewielkiego w tem zahamowania ze strony konkurencyi handlowców o towar. Cena przemysłowców zatem ma poniekąd tendencję do spadku. Natomiast kapitał handlowy, licząc z góry na dogodnych dla siebie spożywców, stara się ceny podnosić; w tym celu przetrzymuje, o ile możliwości, towar na swoich składach, nie ryzykując nim zbyt, aby z czasem jaknajwięcej zarobić. Cena handlowa ma zatem tendencję do wzrostu.

gdzie A, B, C... są ilościami podaży różnych sprzedawców, a, b, c... ich indywidualnymi ocenami (wartość normalna + hypotetyczne zyski). L, M, N, O... ilościami popytu różnych kupujących, l, m, n, o... ich ocenami indywidualnymi. Pierwsza część formuły jest przeciętną ceną sprzedawców, druga — kupujących. Przy podziale przez dwa sumy cen, spodziewanych przez obie strony, otrzymujemy ową *przeciętną cenę* kupna-sprzedaży na rynku, która sprawi usunięcie się od sprzedaży o wiele drożej ceniących swój towar sprzedawców i usunięcie się od kupna ceniących go o wiele niżej. Rozumie się o tyle, o ile pierwsi, dzięki elastyczności siły kupnej, aż do granic straty, drudzy, dzięki elastyczności siły kupnej, nie nagną się (owi — spuszczeniem z ceny, ci — podniesieniem jej) do ceny przeciętnej, lub nie uskuteczniają wymian mniej więcej lub zupełnie wedle swoich ocen, korzystając z istnienia na rynku wielu cen równocześnie. Jasną bowiem jest rzeczą, iż przeciętna cena ma tylko teoretyczne znaczenie, nie jest w żadnym momencie jedyną ceną wszystkich wymian, lecz tylko osią, około której fluktuuje mnóstwo cen, w miarę zwiększania się ilości wymian ciążących coraz mocniej do centrum — ceny przeciętnej.

§ 25. Powstaje pytanie, w jaki sposób kapitał staje się owym potężnym czynnikiem ceny — za jaki uznaje go nawet Marks w III tomie „Kapitału“ — skoro sam ze sobą konkuruje i posiada różne tendencje, przeciwstawiając się, jako handlowy, raz przemysłowemu — przy kupnie, drugi raz spożywcemu — przy sprzedaży *).

A oto, jak się to dzieje:

Przemysłowy kapitał, zmuszony do tendencji niżkowej, do trzymania się cen, istniejących już na rynku — stara się obniżyć wartość normalną, czyli koszt produkcji. W tym charakterze obniża on, między innymi, w najwyższym stopniu wartość pracy, aby wycisnąć jaknajwięcej zysku przy najniższych cenach. W przemyśle — panuje on w charakterze deprecjatora pracy najemnej, jako najmniej odpornej, mniej odpornej, niż maszyny i surowce, o których podniesienie w cenie dba kapitał handlowy. Natomiast kapitał handlowy jest panem na rynku, ponieważ może świdrować ceny, wychekując z natury swego powołania szczęśliwszych momentów i ograniczając ilości towarów, wystawiane na sprzedaż. Wreszcie kapitał spożywczy panuje w życiu poprostu, ponieważ najłatwiej przystosuje się do najwyższych cen; pracująca nędza tej zdolności nie posiada.

§ 25a. Ostatecznie w tej walce o byt wszystkich kapitałów pomiędzy sobą — utrzymują się na powierzchni te, które najwięcej zarobić mogą w przemyśle, mając największy obrót, t. j. przy najniższych cenach, czyli

*) Prócz tego wynika tu jeszcze kwestja konkurencji pomiędzy kapitałem *przemysłowo-handlowym*, a *rolnym*, gdyż oba przeciwstawiają się sobie. Pierwszy pragnie największej taniości środków żywności na utrzymanie robotnika fabrycznego, drugi — naodwrot, w pożądaniu zysków pragnie podwyższyć cenę produktów rolnych.

największe kapitały — te, które najwięcej zarobić mogą w handlu, będąc w stanie najdłużej czekać na realizację, przy największym obrocie i przy zapasie gotówki na potrzeby codzienne, t. j. znowu największe — wreszcie te, które, jako spożywcze, najbardziej mogą przystosować się do najwyższych cen handlowych i najwięcej zyskują przy puszczeniu w obrót przemysłowy na swojej masie, t. j. znowu największe.

Słowem, w tej walce o byt ostają się największe kapitały. W warunkach mniej więcej normalnych—gdy kapitały średnie wyżyć mogą, one to są typem najczęstszym w przemyśle i handlu—one ustalą pewien procent średni. Cena utworzy się praktycznie w ten sposób, że wszystkie kapitały, które sprzedają zbyt nisko, zbankrutują, a najwyższe nie zdołają jej zbyt wyśrubować, dążąc do zmonopolizowania przemysłu lub handlu, bowiem wypada im konkurować z olbrzymią w sumie masą kapitałów średnich, z kąd w walce stosować muszą raczej tendencję zniżkową, zanim zostałyby panami absolutnymi na rynku.

§ 26. Każde przedsiębiorstwo, zdaniem naszym, daje się traktować, jako pewien systemat ekonomiczny — więcej powiem, jako pewien organizm. Osią tego systematu—pacierzową kością tego organizmu, jest cena jego produktów.

Systematy takie posiadają w sobie dwa prądy, znajdujące się w stanie nierównowagi stałej same w sobie. Ztąd to jeden, to drugi prąd bierze górę. Najczęściej przecie pierwszy, t. j. dążność do przecenienia produktów po nad wartość normalną, aby zyskać jak najwięcej.

Lecz istnieje też — jakkolwiek wyda się to paradoksalnem — dążność w kierunku przeciwnym, nieświadoma. Tą dążnością jest obniżanie wartości, celem wyprzedzaży całego towaru i w przypuszczeniu, że zyska

się najwięcej na największym obrocie — a obniżanie to zmierza niebezpiecznie w dół pod punkt wartości normalnej. Ta prężność w kierunku tak niebezpiecznym dla kapitału, spowodowana jest potrzebą wyprzedania towaru, celem najszybszego powrotu gotówki, włożonej w interes, i pragnieniem wymiany jej na produkty osobistego użytku — normalnego i zbytkownego.

Ale niebezpieczeństwo grozi kapitałowi i na innej drodze — w hardem przecenieniu wartości normalnej, w wyczekiwaniu ciąglem na zysk najwyższy, w zatamowaniu sprzedaży przez chciwie wygórowaną cenę, co skończyć się musi nagromadzeniem bezużytecznem mas towaru i w następstwie krachem w godzinie koniecznych wypłat za kredyt lub niepowstrzymanych potrzeb osobistych.

Ztąd wypada, że na rynku giną zarówno te kapitały, co egoistycznie przeceniają nad miarę wartość normalną produktów sprzedażnych, jako i te, które lekkomyślnie jej niedoceniają. Przeżywają zatem te tylko, które przystosowują się dwojako, unikając ryzyka *maximum* i ryzyka *minimum*.

§ 27. Próbowaliśmy w powyższym przykładzie nakreślić samodzielnie pewne prawa mechanizmu podaży i popytu. W tak zawilej sprawie i na nowej poniekąd ścieżce analizy zjawisk ekonomicznych, nie śmiemy w zarozumieniu twierdzić, abyśmy znaleźli tak mocno wymykającą się badaczom nić prawdy niewątpliwej, lubo natrafili na drogę, która odkryje odtąd pewne horyzonty myśli ekonomicznej. Nie wiemy nawet, jak się daje ustosunkować to, co stwierdziliśmy, do całokształtu systematu Marksowskiego, zwłaszcza w jego skomplikowanej niezmiernie przez poprawki rewizjonistów postaci, bo rzecz ta wymagałaby dodatkowej, a zawilej analizy, która ciążyć będzie na obiektywnej krytyce naszych założeń. Z góry przygotowani jesteśmy na wsze-

lacie zarzuty, które może znicują nasze zasady, byle opierały się na sumiennym rozbiórce. Przeciw jednemu tylko zarzutowi protestujemy z góry: mianowicie, gdyby ktoś odwrócił się od naszych zapatrywań, zarzucając im nadmierną zawilłość. Sądzymy, że ten zarzut spotkać nas może jedynie ze strony tych, co myślą leniwie, co znają Marksizm tylko w jego uproszczonej w popularnych broszurkach postaci, co powtarzają za panią matką pacierz, a nigdy nie tknęli olbrzymich tomów „Kapitału“, lub choćby „Nędzy filozofii“ Marksa. Istotnie, zetknięcie się z niezliczonymi formułami algebraicznymi Marksa, z setkami kart, przepełnionych zawilami rozumowaniami, otworzyć musi oczy każdemu, kto nie kontentuje się dogmatyczną wiarą w nieomyślność autora „Kapitału“, że stosunki ekonomiczne są milionkroć zawilsze, niż przypuszcza ordynaryjna myśl dogmatyków. Boć gdyby krótkie streszczenia Kautsky'ego, chociażby najdoskonalsze, wystarczać mogły, nie potrzebowałby autor „Kapitału“ analizować zjawisk ekonomicznych w grubych tomach i tworzyć niezmiernie zawile formuły matematyczne, których nasz skromny wykład bynajmniej nie dorasta. Przeciwnie, my obawiamy się jeszcze, że nasze „prawa“ są zbyt uproszczeniem zjawisk ekonomicznych, że nasz schemat nie dorównywa rzeczywistości. Możliwą jest bowiem rzeczą, że rzeczywistość ekonomiczna na drodze ewolucyi nabrała złożoności nieskończonej, która drwi ze wszystkich wysiłków teoretycznej myśli, pragnącej wynaleźć jakikolwiek schemat praw, jakikolwiek system uproszczonych formuł, że najzawilsze jeszcze będą zdaleka od ujęcia prawdy. Przekrzytkowanie w pełni Marksa na jego zawilych drogach dialektycznych, na których mógł znaleźć się i podążać tak daleko jedynie umysł genialny, jest właśnie dlatego tak trudnem, że wymaga równego mu geniuszu, który dotąd się nie urodził — a tak owa

praca krytyczna dokonywa się tylko zbiorowym wysiłkiem mnóstwa umysłów, ogarniających tę lub ową stronę teorii Marksa. A naszym pragnieniem jest do tej roboty dołączyć wedle naszych sił — jedną cegielkę. Dalsza krytyka może ją przyjąć, lub odrzucić — poddawszy ją analizie *).

*) Kto chce przekonać się, jak trudnem jest ujęcie zjawisk ekonomicznych w formuły, niechaj przyjrzy się teorii Leona von Bucha („Intensywność pracy, wartość i cena towarów“), który — według Bernsteina — dał interesującą próbę napelnienia wartości pracy treścią konkretną, t. j. przemiany jej na teoretycznie wymierną wielkość, na podstawie fizjologicznej — wydatkowania energii. Dzieło Bucha uważa Bernstein za „owoc znacznej zdolności analitycznej i godny uwagi przyczynek do sprawy wcale jeszcze niewyjaśnionej“. U nas analogiczną pracę podejmował w „Logice ekonomii“ Zygmunt Heryng, którego dziełu wielkie hołdy oddawał J. Potocki.

ROZDZIAŁ III.

Praca a czas.

§ 28. Tak określiwszy nasze zadanie, przystąpmy teraz do rozważenia zasadniczego postulatu Marksa—do kwestyi mierzenia wartości przez pracę w jej określniku czasowym.

Zbadajmy, czy przeciętny, społecznie-konieczny czas, t. j. czas, którego wymaga przeciętna technika, czyli domyślny najczęstszy środek pomiędzy rzadką, bo ustępującą zastarzałą techniką i rzadką, bo nieupowszechnioną jeszcze techniką najnowszego wynalazku chwili, oraz przeciętna zdolność robotnicza, czyli środek pomiędzy usuwanem od roboty niewątpliwem niedołęztwem, a przypadkową wysoką zdolnością rzadkich indywidualności, czy ów przeciętny czas jest dokładnym miernikiem wartości pracy.

A w tej analizie spróbujemy przedewszystkiem na chwilę samodzielnego wejrzenia na zjawiska świata ekonomicznego, aby zyskać zdolność skontrolowania tych wniosków, do których zkądinąd świetna djalektyka Marksovska chce nas doprowadzić, wymagając przyjęcia pewnych aksjomatycznych założeń i swojej metody, jako jedynej. Później policzymy się z temi założeniami i z tą metodą.

Do tego metodycznego odchylenia mamy prawo, bo jeżeli teoria Marksa jest prawdziwą, to musi nią być na każdym punkcie swojego przebiegu, z każdego punktu oglądu zjawisk rzeczywistości.

§ 29. Weźmy przykład najordynarniejszy.

Przypuszczenie, że dwa ciastka dziesięciogroszowe, z czegokolwiek są zrobione, jakiegokolwiek są kształtu i układu, zawierają w sobie jednakową ilość pracy, czy to w znaczeniu energii rękoczynów cukierniczych, czy to w znaczeniu czasu, zużytego na ich przyrządzenie—każdemu odrazu jawi swoją śmieszność. Równie śmiesznem wyda się odrazu twierdzenie, że po odliczeniu nierównych kosztów materiału na ciastka kremowe i konfiturowe—tam, gdzie materiał jest droższy, praca cukiernicza musi być stosunkowo mniejsza i naodwrot, a w obu wypadkach dopełnia ona koszt materiału do ceny 10-groszowej. Tak samo śmiesznem będzie twierdzenie, że ilość pracy zużytej na zebranie materiału — w jednym wypadku: na wydojenie krowy, przewiezenie mleka, ubicie zeń kremu i t. d. *plus* praca ostateczna cukiernika, w drugim:—na zebranie jagód, przygotowanie z nich konfitur+praca ostateczna cukiernika — t. j. obie sumy pracy są sobie co do czasu równe.

Tego też nikt na serjo nie twierdzi. A przecież wyobrażenie sobie jakiegoś przeciętnego ciastka, którego wypracowanie w czasie wyraża się ceną 10 groszy, właściwie mówiąc, nie będzie śmiesznością mniejszą od tamtych. Będzie to abstrakcja, nie posiadająca nawet cienia odpowiednika w życiu—bo cóż to jest przeciętne ciastko!—co gorsza napozór tylko ułatwiająca myślenie ekonomiczne w kierunku prawidłowym.

Odrazu bowiem rzuca się w oczy, że w ocenie ciastka *okrągłość* cyfry 10—dogodność rachuby w monecie 5-kopiejkowej—największy wywarła wpływ na wysokość ceny. Jedynym po za tem regulatorem było to,

że naogół ciastko kosztem materiału i pracy nie dorasta wartości 5 kopiejek t. j., że sprzedaż ciastek po tej cenie, jak dowiodła praktyka, nie przynosi cukiernikowi przy pewnej sumie obrotu — strat pieniężnych. Przeciętna wartość ciastek może tu grać rolę w tem znaczeniu, że nawet przerost wartości pewnych ciastek po nad 10 groszy kompensuje się znaczną stosunkowo taniością t. j. niską wartością normalną innych.

Naogół zaś należy mieć na względzie, że w rachuby cukiernika, stanowiącego cenę, wchodzi nie same ciastka, lecz oraz wszystkie inne produkty, które sprzedaje w swoim zakładzie, mające ceny najrozmaitsze, zdwojone, potrojone 10-groszówki, słowem cały obrót towaru.

Wyobrażać sobie jakiś abstrakcyjny wytwór cukierniczy, będący przeciętną częścią ciastka, przeciętną kroplą kawy, herbaty, limoniady i t. d., zawierający wartość normalną pracy, określającej się na rynku przez 5 kopiejek będzie to nowy nonsens.

Możliwość utrzymywania się jednakowych cen na pewne wyroby cukiernicze tego samego rodzaju w dwóch różnych cukierniach — w jednej nader podrzędnej i w drugiej nader eleganckiej — daje się wytłomaczyć tylko nierównością zysków obu cukierni, ale nie różnicami pracy. Jeżeli zaś większy zysk przypada właśnie na cukiernię elegancką, w której nakład na wynajem lokalu i personelu służbowego jest większy, to pochodzi to z tego, że po części nadwyżka dochodu przypada na przedmioty droższej ceny, po części na znaczniejszy obrót, po części na większą taniość materiałów, zakupowanych *en gros* — a ostatecznie odpowie większej ilości kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo.

Taż sama okrągłość ceny i dogodność obliczeń przy obrocie 5-kopiejekówką sprawia, że w handlu istnieje mnogość przedmiotów, jak ołówek, kajet, pudeł-

ko papierosów i t. d. po cenie 5 kop. przyczem jedyną normą dla ustalenia tej ceny jest — albo że wszystkie przedmioty, sprzedawane w jednym handlu po 5 kop. mają wartość normalną niższą od 5 kopiejek, lub że możliwa przewyżka takiej wartości co do jakiegoś szeregu przedmiotów w danym handlu kompensuje się przez znacznie niższą od ceny kupnej wartość normalną (koszt) innych przedmiotów, kupowanych obok tamtych, a w większej ilości, przez ogół konsumentów.

W podobny sposób dowieść można, że od jakiegokolwiek danej praktycznie ceny zejdziemy w głąb wyobraźnią abstrahującą, nie otrzymamy nic innego w retorcie analizy prócz stosunku jej do innych, poszczególnych cen praktycznych (materjału, obsługi etc.), a podnosząc się wzwyż ku całokształtowi gospodarstwa, nie znajdziemy w syntezie nic, prócz stosunku jej do ogólnego kapitału przedsiębiorstwa, obrachowanego na przynoszenie zysku.

Relacja wszystkich cen, jako podstawa każdej ceny pojedynczej — to jest zrozumiałe, to jest naturalne, a kto uważałby się na niedostateczność takiego rezultatu, niechaj-że próbuje śmiesznie konstruować cenę absolutną, niech zapomni, że sama idea ceny jest relacją towaru do pieniądza.

§ 30. Ale któż zechce uwierzyć w jakąkolwiek wartość realną warunków ekonomicznych, opartych rzekomo na tego rodzaju domyslniej abstrakcyi, że, przeciętnie biorąc, czas potrzebny na wydobywanie sztyftu w kopalniach, przeniesienie go do fabryki i obrobienie, oraz na drzewo i jego obróbkę w ilości, odpowiadającej jednemu ołówkowi (za 5 kop.) równy jest czasowi, zużytemu na pracę około przeciętnego ciastka, równy jest czasowi, potrzebnemu na wynalezienie szmat lnianych przez gąlganiarza, przywiezieniu ich do fabryki, na tysiąc manipulacji przy przeróbce na papier, na sporzą-

dzenie okładki, nici i zeszyte całego kajetu (5 kopiejkowego), że czas ten jest równy dalej wszystkim manipulacjom pracowniczym w mierze potrzebnej do sporządzenia małego pudełka i zawartych w niem 5 papierosów, poczynając od czasu na zebranie odpowiedniej ilości tytoniu i kończąc we wszystkich tych wypadkach na dodatkowym czasie, poświęconym przez przekupnia przeciętnie na sprzedaż przedmiotu w cenie 5 kopiejek — oraz że każdy z tych czasów równy jest przeciętnemu czasowi zużytemu na wydobywanie miedzi w ilości potrzebnej do monety 5-kopiejkowej oraz na pracę meniczną około sporządzenia tej monety.

Gdyby istniała jakakolwiek możliwość obliczenia już nie w sekundach, ale w miliardowych cząstkach tercyi czasu, pochłoniętego przez wszystkie manipulacje około sporządzenia przedmiotu 5-kopiejkowego, to okazałoby się z pewnością, że różnice czasu, zużywanego na przedmioty odmiennego charakteru produkcji a identycznej ceny, są kolosalne—że wahają się w olbrzymich granicach, nie mówiąc już o tem, że różnice czasu produkcji, zużywanego w różnych fabrykach na te same przedmioty, również są ogromne, znajdują się w zależności od urządzeń fabrycznych, od charakteru maszyn i zdolności robotników—słowem, że poszukiwana przez twórców przyszłego ustroju—dotąd tylko w obietnicy—przeciętna czasu społecznego ma tysiączne wahania w tysiącznych kierunkach między niezmiernie odległemi biegunami.

Nawiasem mówiąc, odrazu wpada w oczy niesłuszność całej tej hipotezy o stosunku czasu produkcji towarów do wartości wskazanych w naszym przykładzie 5 kopiejek wobec tego, że wiemy, iż moneta miedziana jest właściwie bilonem, pełniącym swoją rolę zdawkową, ale co do wartości bynajmniej nie odpowiadającym tejże wartości nominalnej w srebrze lub w złocie.

§ 31. Kruszy się ta hipoteza w rękach samego Marksa, wobec wyraźnej jego wskazówki, że „tylko złoto uchyla się od tej zasady — wartości na mocy czasu wyszukania i wydobywania, że bodaj w tej mierze nie było ono nigdy opłacone.“ Bo i z jakiej racji mielibyśmy nastawać na tem, że to, co się nie stosuje do towaru — złota, stosować się musi do wszystkich innych towarów, bez wyjątku, zwłaszcza, że ten jeden wyjątek podważa z gruntu całą teorię, gdyż dotyczy on właśnie miernika wszystkich towarów.

Nawiasem mówiąc, zdaje mi się, że Marks myli się, sądząc, iż złoto nie było dotąd nigdy należycie oszacowane; prawdopodobnie szacuje je tak wysoko, wliczając w tym wypadku, wbrew sobie samemu, w wartość złota czas zużyty bezpłodnie przez poszukiwaczy, którzy nic nie znaleźli t. j. czas bezwartościowy, bezużyteczny, bo nic nie wytwarzający. Ten czas nie może być brany w rachubę, bo w tym wypadku wypadłoby i w stosunku do innych towarów wliczyć całą energię, zużywaną niedość przez wszystkich, co coś probowali wytwarzać, a nie doszli do żadnych rezultatów — przeciw czemu Marks zastrzega się w I rozdziale Kapitału, mówiąc o pracy bezużytecznej.

Przy uwzględnieniu tej poprawki, mam głębokie przekonanie, że naogół czas, potrzebny do wszelkiego rodzaju produkcji przeciętnie będzie większy niżli czas, potrzebny do wydobywania i sprowadzenia oraz przekucia na monetę odpowiadającej jej ceną ilości srebra i złota — że po jednej stronie musi okazać się zdeprecjonowanie straszliwe czasu pracy przy wszelkiego rodzaju produkcji w miejscach, gdzie istnieje obfitość odpowiednich surowców i gęste zaludnienie t. j. mnogość rąk, poszukujących pracy, jak to się dzieje w naszych centrach przemysłowych, a z drugiej strony praca dostawców złota w swoim charakterze czasowym musi być

niezmiernie przecenioną poprostu dlatego, że złoto jest rzadkie, istnieje tylko w pewnych miejscowościach, nadmiar nie posiadających gęstego zaludnienia, wydobywa się na ziemiach zawłaszczonych przez szczęśliwych zbieraczy renty, że wreszcie pożądanem jest wszędzie nader mocno, jako wyborny środek wymiany, a już najmocniej pożądanem być musi w wielkich handlowych i przemysłowych centrach, gdzie zachodzi żywa cyrkulacja towarów. Słowem, drożyzna złota stoi na równi z jego olbrzymiem pożądanem przez wszystkich producentów i wszystkich konsumentów, gdy popyt na każdy rodzaj produktów jest ograniczony w obrębie jego spożywców; a większa łatwość mnożenia pracy przemysłowej, niż wydobywania złota ze skąpych źródeł natury, jeszcze mocniej deprecjonuje czas, zużywany na produkcję towarów w stosunku do czasu potrzebnego na otrzymanie złota.

Tu jeszcze dodać wypada, że przeciętna czasu na otrzymanie złota—gdyby można było ją wyliczyć—nosiłaby, jako przeciętna wartości, jeszcze mniej sprawiedliwy charakter, niż wszystkie inne rodzaje pracy, szacowane na miarę czasu, a to dlatego, że wahałaby się w szalenie szerokich granicach i to nie na korzyść niewielkiej liczby najzdolniejszych i na niekorzyść niewielkiej liczby mniej zdolnych—bo o jakich zdolnościach możnaby tu mówić?—ale na korzyść nieokreślonej przez żaden stosunek ilości szczęśliwców, którzy bez trudu znajdują złote bryły i na niekorzyść ogromnej ilości tych, którzy przesypują przez całe lata grudy piasku i nic nie znajdują. Być może, jest to jedyna sfera pracy, w której na średni wysiłek przypada znacznie mniej pracowników produkcyjnych, niż na wysiłek absolutnie nieprodukcyjny—zawiedzionych.

§ 32. Wyobraźmy sobie rezultat pewnego rodzaju pracy w kształcie wierzchołka góry—a wysiłki w ce-

lu osiągnięcia tego rezultatu w kształcie wielorakich dróg prowadzących na szczyt. Ta góra okaże się różnokształtną z każdej strony — ówdzie niech będą strome zbocza, cierniste i gęste zarośla, przepaście, ówdzie stopniowe gładkie podniesienia, miłe panoramy, źródła orzeźwiające podróznika. Pamiętajmy, że podróż rozpoczynaną jest z rozmaitych punktów, ze szczęśliwszych lub mniej szczęśliwych pozycji, z większą lub mniejszą zdolnością oceny najlepszej drogi, z rozmaitym zapasem sił. Więc jedni będą zdążali na szczyt po drogach stromych i niezmiernie niebezpiecznych, a czasem zapadną się w przepaść przed dojściem do celu. Inni wejdą na drogi znacznie dogodniejsze, już uitorowane przez poprzedników. Ci znajdą się na drogach najdłuższych co do czasu przebycia, ale najmniej wymagających wysiłku przy wchodzeniu, owi na najkrótszych, ale wymagających największego natężenia energii. Jedni natrafiają może na drogi i najdłuższe i najtrudniejsze zarazem, po których ludzie ze straszliwym móżolem i nader późno docierają wierzchołka, drudzy szczęśliwie odszukają drogi i najkrótsze i najmniej wymagające energii. Zresztą jak znajdą się niedołęgi, co na najkrótszych i najlżejszych drogach jeszcze padać będą, iub błędzić, a do celu nie trafią, tak znajdą się i tacy, których sama natura—przypuśćmy zdolności odziedziczone—postawiła najbliżej celu, a jakby uskrzydliła ich, pozwalając im z najmniejszym wysiłkiem i w najkrótszym czasie dopiąć wierzchołka.

Im bardziej praca posiadać będzie charakter artystyczny, im więcej wymagać będzie talentu, tem bliższym symbolicznie okaże się obraz tej różnokształtnej góry, tem więcej będzie zmiennych dróg, prowadzących na szczyt, tem więcej stopniowań w wysiłkach i czasach potrzebnych do przebycia drogi, więcej różnic w charakterze podróży i podrózników.

Jakie znaczenie w takich warunkach—powiedzcie—mogłaby mieć dla nas jakaś abstrakcja przeciętnej drogi? Czy wyobraźnia jest w stanie skonstruować jej najbardziej mglisty zarys, czy umysł dotyka tu w istocie jakiegoś pojęcia, a nie próżnych słów bez treści?

A przypuśćmy, że udałoby się nam wywiedzieć, ile każdy z podróżników zużył czasu na podróż, nim dotarł do szczytu — co taka jednostka abstrakcyjna z samych czasów mogłaby nam powiedzieć? Wszakże właściwa przeciętna powinna stanowić wywód z mnożstwa funkcji. Musiałaby to być równocześnie przeciętna z uzdolnień turystycznych, przeciętna z zapasu sił, z którymi wyruszano w podróż, przeciętna z energii zużytej, ze znużenia w podróży; musiałaby ta przeciętna uwzględnić średnią z odległości od szczytu, bo cóż znaczy czas potrzebny do wejścia, gdy punkt wyjścia dla różnych podróżników był różny; wreszcie dla sprawiedliwej oceny trudów podróży należałoby wciągnąć w rachubę ilość nie tylko tych, co się wdarli na szczyt, lecz i tych niewiadomych i niepoliczonych, którzy legli na drogach, zginęli w gąszczach, znikli w przepaściach.

Jasną jest rzeczą, że przeciętna oparta na samym czasie — gdyby nawet dała się ująć—będzie zupełnie dowolnym przełożeniem wszystkich warunków zadania na jedną tylko z funkcji, na czas, i zupełnie dowolnym wyrzuceniem z zadania wszystkich tych warunków, które żadną miarą nie dają się na czas przełożyć, lub pozostają niewiadomymi, zgoła nieobliczalnymi.

Wyobraźcie sobie teraz, że takich gór jest tysiące—odpowiednio do tysiąca zawodów i gałęzi pracy — że stosunek ich wysokości nie jest nam dany, bo nie mamy dlań żadnej miary, że te góry posiadają rozmaitą stromość i różną ilość dróg dogodnych, i zapytajmy, co nam powiedzieć może o trudach drogi i o wysokości szczytów samo tylko gołe porównanie odszukanych dla

każdej góry przeciętnych—z czasu, potrzebnego na dotarcie do wierzchołka dowolnej ilości podróżnych, znajdujących się w niewiadomym dla nas stosunku uzdolnień do podróży, przedsiębranej nieraz raczej z przypadku niż z właściwej skłonności.

Przeciętna miara czasu — bodaj dlatego jeszcze nie pouczy nas o wysokości danej góry, że przypuszczalnie nader wysokie szczyty na bardzo stromych górach osią-gane są stosunkowo niezmiernie szybko, gdyż do zapasów stają najbardziej szczęśliwe pod względem uzdolnienia jednostki, albo rozkochane najmocniej w wierzchołku, a ztąd wydatkują bez żalu i prędko ogromne zapasy energii. Sam czas podróży może tu być krótki, bo podróż odbywa się tutaj z hazardem talentów, po drogach nie krętych, lecz stromych oraz z olbrzymim wydatkiem energii w najkrótszych momentach.

Biorąc zatem cały kompleks prac społecznych i zadań gospodarczych, całą zbiorowość uzdolnień i talentów — a zbliżając się do nich z jedynym miernikiem, z łokciem czasu, poczukujemy natychmiast, że pomiar doprowadzi do rezultatów fałszywych, bezwartościowych, negatywnych...

§ 33. Wszelako jedno daje się powiedzieć: że czynnik czasu poczyna odgrywać tem większą rolę, im mniej wagi mają wszystkie inne czynniki. Im praca jest bardziej *mechaniczna*, im bardziej *każdy* może jej dokonywać, im mniej różnic energii umysłowej i fizycznej wymaga każdy jej gatunek, im równiejszy jest poziom przystępujących do roboty, t. j. im jest niższy, im mniej indywidualny jest wybór dróg do szczytu, (jeśli wolno użyć nadal naszego symbolu)—tem bardziej gra rolę sam czas, tem więcej przeciętna będzie wymowną, bo tem łatwiej tworzyć się będzie utorowana, wydeptana przez wielu, jedna dla wszystkich droga, tem mniej ludzi będzie na innych drogach, na których pozostaną chyba wyjątkowe

niedołęgi, nie oceniające większej trudności podróży, albo niezwykle uzdolnieni, rzadcy awanturnicy, kochający się w drogach niezwykłych; słowem na polu pracy mechanicznej, abstrakcyjna przeciętna jednostka z czasu otrzymuje niejako zdolność do realizacji.

Istnienie mnóstwa takich zawodów mechanicznych obok siebie—t. j. przejście do produkcji fabrycznej towarów—pozwoli tym zawodom porównywać się istotnie za pomocą czasu pracy i przezeń mierzyć jej rezultaty.

W ten sposób rozwój ekonomiczny w kierunku produkcji fabrycznej stwarza i rozszerza pole, na którym miernik Marksa — czas przeciętny zdaje się zyskiwać moc wszechwładnego zapanowania, ale po za tem polem pozostają, i zda się, pozostaną na zawsze całe obszary pracy, do których stosowanie jednostronnego miernika etycznego wydawać się musi najmniej uprzedzonemu oku nonsensem i niesprawiedliwością.

Odczuwa to Kautsky, przyznając, że w stosunkach socjalistycznych systemy zapłaty za pracę przez długie czasy będą rozmaite, że pozostaną na długo niektóre obecne systemy, bo-ć akcent teorii socjalistycznej pada właściwie na organizację produkcji, a nie — jak myśli tłum — na sprawę podziału dochodów. Wszelako w takim postawieniu kwestyi Kautsky psuje sam mierną architekturę gmachu socjalistycznego, a pozwalając się nam domyślać całych obszarów pracy, płatnej według innego, niżli czas, miernika, nie wskazując nadomiar stosunku ich do pola płacy socjalistycznej — niszczy pod gmachem na nieokreślonym obszarze ustawionny przez Marksa z takim mazołem powszechny fundament.

§ 34. Ale i sam Marks wstrząsa potężnie własnym swoim gmachem, uznając istnienie rozmaitych co do wartości ekonomicznej godzin pracowniczych, a każąc godzinie jednego zawodu stanowić koncentrację kilku

godzin innego. Przypuściwszy abstrakcyjną jednostkę pomiaru—godzinę najprostszej pracy, twierdzi on, że inne rodzaje pracy stanowią złożenie z owej jednostki, a mechanizmowi popytu i podaży nadaje rolę określania stosunków pomiędzy społecznie niezbędną godziną pracy prostej i złożonej.

Takie postawienie kwestyi odrazu przerzuca akcent w ocenie pracy na sam mechanizm podaży i popytu, t. j. pcha socjalistyczną teorię z powrotem na opuszczone i wydrwione pola teoryi klasycznej, boć ani nie mamy pewności, że owa konkurencja wymierza sprawiedliwie stosunek pomiędzy godziną zwyczajną a skoncentrowaną, ani nie znajdujemy sposobu do ustalenia sprawiedliwego stosunku, gdyż sam czas, jako miernik, wyrwał się nam z ręki. Kto godzi się na to, że godzina bywa nierówną godzinie — ten przyznaje domyślnie, iż po za godzinami różnej pracy tkwi jakaś inna miara ich wartości, niżli ów czas niezbędny—społecznie. Pragnąc zaś wydobyć miarę z praktycznych obliczeń dzisiejszego życia ku ocenie tych godzin, prowadziłby społeczność chyba—raczej ku ustaleniu istniejącej niesprawiedliwości, niż ku stanowieniu nowej sprawiedliwości.

Nadomiar takie postawienie kwestyi wydać się musi z innej jeszcze strony prowadzeniem społeczeństwa od jednej nierówności ku drugiej — bo albo nierówność majątkowa wyrastać będzie na gruncie lepszej zapłaty jednego pracownika, niżli drugiego, gdy obaj pracować będą jednakową ilość godzin w odmiennych zawodach; albo powstanie innego rodzaju nierówność, która bynajmniej nie zrównoważy szal szczęścia w społeczeństwie i nie postawi tamy ostrej socjalnej zawiści, mianowicie, że jedni pracować będą znacznie dłużej, niż drudzy: będzie to zatem rodzaj bogactwa w formie wywczasu, przeciwstawiający się niedoli w formie zaję-

tego przymusowo czasu upośledzonych od natury lub przez brak wykształcenia. Rozdłużcie w wyobraźni granicę między jednymi a drugimi, pomylcie się w ocenie stosunku pracy skoncentrowanej i prostej, pomyślcie, że dziś fabrykant swoją pracę organizacyjną i wyszukującą rynki zbytu uważa właśnie za taką skoncentrowaną pracę mnóstwa godzin fizycznej pracy swoich robotników— a obaczycie nasze piekło socjalne, powracające pod inną formą: bogaczy odpoczynku, mających wiele czasu dla siebie, i biedaków pracy przedłużonej, mających czas tylko dla innych. Od tak srogiemu wniosku możemy się powstrzymać, atoli tylko pod warunkiem poprawek o charakterze czysto-moralnym, nie zaś ekonomicznym, odgadując we mgle przeobrażeń społeczność, w której nikt nie pracuje nad siły, w której ustaje poczucie przymusu przez przystosowanie się miary uzdolnień do miary czasu roboczego, a wywczas nawet używany jest dla rozwoju indywidualnego, zgodnego z dobrem całej społeczności.

Ale tu przechodzimy już na pole marzeń, gdy na razie wypada li tylko skonstatować, że idea prostego i skoncentrowanego czasu podważa w teorii Marksowskiej rolę czasu, jako jedyne miernika wartości wszelkiej pracy ekonomicznej i wpycha całą teorię w mury fabryczne, w stosunki pracy najmniej indywidualnej, której wykładnikiem być ma ów czas przeciętny, społecznie-niezbędny, a prosty.

ROZDZIAŁ IV.

Konstrukcja nadwartości.

§ 35. Wobec tak mocno bijącej w oczy sprzeczności pomiędzy teorią Marksa, a zadającą jej kłam rzeczywistością życia ekonomicznego epoki obecnej — zadajmy pytanie, w jaki sposób tak wielki umysł skonstruować mógł tak opaczną na pozór teorię.

Przedewszystkiem jakgdyby skonstruował ją uczuciem i szlachetną wyobraźnią, biegnącą w wymarzony świat przyszłości idealnej.

Wszedł on do wnętrza fabryki i z okien jej wyjrzał na świat — w tem miejscu, gdzie, jak daleko sięgał horyzont, wznosiły się same kominy fabryczne — wcielił się on w spracowany, udręczony pracą bezmierną czasu najhaniebniejszej eksploatacyi organizm robotnika — przejął się jego niejasnem uczuciem krzywdy — ale spotęgował je wszystkimi tętnami swego gorącego serca, całą delikatnością swoich kulturalnych nerwów — spojrzął na świat oczyma robotnika, ale wzrokowi jego nadał siłę geniuszu, potężnej logiki, która mówiła: „oto dowiodę rozumowo, matematycznie, że dzieje mi się krzywda straszna, że jestem oszukany; ponieważ niesprawiedliwy świat przyznał mi tak mało, dowiodę, że wszystko, co biorą inni, jest moje, jest owocem tylko mojej pracy, z punktu widzenia sprawiedliwości mnie się należy; gdy

dokoła pracodawcy sądzą, że mnie świadczą jakąś przysługę, dowiodę przeciwnie, że to ja jestem pracodawcą-dobroczyńcą, oni mojami pracobiorcami, że ograbili mnie bez litości; zgodzę się na 8-godzinny dzień czasowo i dowiodę, że i w tym wypadku jeszcze będę eksploatowany, że i to, co dam w tych warunkach, będzie dobrodziejstwem z moich rąk“.

I Marks tego... dowiódł.

Jak?

Co wypadalo zrobić, aby tego wszystkiego dowieść w tak pełnej mierze, wbrew wszystkim istniejącym poglądom i mocom, chciwie uczezionym swojej zyskowej przewagi nad robotnikiem?

1) Należało podzielić kapitał na składowe części— część przypadającą na *maszyny*, część na *surowce*, część na *placę robotniczą*.

2) Należało w części, przypadającej na *maszyny* odłączyć część, która *nie zużywa się* w danym okresie produkcji i unieważnić znaczenie wkładu, dokonanego z góry przez kapitalistę, niesłychanie zręcznym dowodem, że ta wartość w postaci maszyn pozostaje i nadal w rękach kapitalisty. A przecie mieć maszynę i mieć gotówkę są to dwie rzeczy w obliczu produkcji społecznej i wymiany nader różne, jak różniejszymi jeszcze są dwie: mieć gotówkę na maszyny i nie mieć jej... t.j. być lub nie być kapitalistą, zaryzykować kapitał lub nie zaryzykować.

3) Trzeba było tedy wyłączyć, jako mającą wagę, tylko tę *część kapitału z kosztów maszyny, która przypada na jej zużywanie się* — i która musi amortyzować się i kompensować przez dochód brutto, a w ten sposób mocno odeprzeć pretensje kapitalisty z tytułu niszczenia się jego majątku w maszynach w okresie produkcji.

4) Należało dalej z części, przypadającej na *surow-*

ce, wyłączyć część produktów, *niesprzedanych na rynku* i unieważnić jej znaczenie niezmiernie zręcznym dowodem, że przecie posiadają one dalej swoją wartość w rękach kapitalisty. A przecie nigdy nie daje się przewidzieć, czy cała pozostałość produkcji, nie sprzedana w danym okresie, będzie z czasem sprzedaną, czy nie będzie sprzedaną w warunkach złej konjunktury po cenie nawet niższej od surowego materiału, co przy krachach ekonomicznych nieraz ma miejsce. Należało tedy wyrzucić za nawias teorii kapitały, pracujące niefortunnie i okresy przesileni ekonomicznych, kiedy kapitał pokutuje za ryzyko.

5) Trzeba było zatem wyłączyć tylko *tę część opracowanych surowców*, która występuje na rynek i sprzedaje się, a zostaje *pokrytą* w dochodzie brutto.

6) Trzeba było, nawiasem mówiąc, podobnie podzielić *surowce opracowane i nieopracowane* w danym okresie produkcji — pozostawiając drugim rzekomo niezmienną wartość, kompensującą się następnie w sprzedaży po opracowaniu, a wciągając w register teorii tylko tę część, która weszła na warsztat, jakkolwiek dla kapitalisty gra rolę fakt, że posiada czasowo martwy kapitał w zbytku surowców, o ile nie nadaży im w należytej proporcji obróbka i sprzedaż.

Tak wyłączwszy koszty zużycia maszyn i zużytych surowców na daną ilość produktów, a słusznie rozumując, że nikt nie zechce sprzedać swoich wyrobów niżej kosztów, że każdy starać się będzie sprzedać je wyżej wszystkich swych kosztów, t. j. wyżej wartości normalnej produktu, czyli z zyskiem—należało sobie wyobrazić, że w dochodzie *brutto* tamte koszty zostały pokryte.

Oczywiście cała pozostała część przypaść musiała na pracę — i wydać się musiała sumą kosztów samej pracy i sumą zysków z tej pracy.

W tem miejscu należało jeszcze zniwelować kwestję pracy w produktach jeszcze nie sprzedanych różową hipotezą, że cała produkcja sprzedaną będzie w swoim czasie, w odpowiednim tempie, aby nie stracić na procentach za kapitał zakredytowany, i że nie spadnie nigdy poniżej wartości normalnej.

Skoro w biegu czasu zwracają się koszty zużytych maszyn + opracowanych surowców + zapłaconej robocizny, t. j. każde $M + S + R$ zwraca się w ilości $M + S + R$, czyli zwraca się cały wyłożony kapitał, to wydaje się niezbitym pewnikiem, absolutnie obowiązującym wnioskiem logicznym, że zysk w całości przypada na pracę, boć kapitał sam nie jest w stanie nic urodzić i cały się zwrócił. Cała zatem nadwyżka przy zwrocie kapitału, cały zysk przypisany być musi wynikiem pracy.

A jeżeli cofnąć się wstecz po za wrota danej fabryki i po za obręb danej produkcji i przyjrzeć się, jak zjawily się maszyny i surowce — to widzimy, że są one znowu wynikiem pracy, że praca urobiła maszyny na odnośnych fabrykach i praca zasiała, zebrała i przewiozła surowce z łona natury, darmo oddającej się swoim dzieciom, ale wymagającej od nich pracownego potu — a tak teoria zysków jedynie z pracy zdaje się otrzymywać fundamenty żelazne.

Tak przedstawiają się podwaliny teorii Marksa w świetle analizy, taką jest metoda jego rozumowania na drodze do wniosku ostatecznego o narastaniu kapitałów przez eksploatację robotnika, opłacanego tylko częściowo za czas pracy — o tworzeniu się nadwartości, czyli zysku od kapitałów, który fabrykanci pobierają w formie nieopłaconej przez nich części pracy robotnika.

§ 36. Obaczmy, czy tej metodzie nic zarzucić niepodobna.

Nie zamierzamy bynajmniej dowodzić śmiesznie, że kapitał jest twórczym. Niewątpliwie worek złota, leżący na miejscu, nigdy nie urósł ani o jeden atom. Niewątpliwie twórczą mocą życia jest praca: ona sieje, zbiera, przerabia — czyni surowce, materiały naturalne, przedmiotami użytku powszedniego. Ale gdyby chodziło tylko o taki ogólnik, nie trzeba-ć by było chyba tomych dedukcyi i indukcyi Marksa. Jeżeli Marks *dowodzi*, że praca jest podstawą zysku od kapitału, to widąc ta myśl wymaga udowodnienia, to nie leży ona na wierzchu, to nie wolno jej brać z góry; bo inaczej, nie dowodzi się, ale otrzymuje się to, co się zakłada, jako aksjomat.

Nie myślimy też dowodzić, że nie istnieje żadna eksploatacja w stosunku fabrykantów do robotników — byłby to absurd. Tu chodzi o coś innego, niż o pojęcie kazuistycznej eksploatacyi. Tu chodzi o sprawę eksploatacyi z teoretycznego punktu widzenia, o to, czy eksploatacja pracy przez kapitał ma miejsce zawsze, ilekolwiek pracowałby robotnik, jeżeli tylko pracuje choćby o sekundę dłużej po nad czas, hypotetycznie odpowiadający środkiem jego utrzymania, czy eksploatacja zachodzi w każdym wypadku, kiedy kapitalista dokłada choćby atom zysku do swojego kapitału. Kwestja jest jeszcze poważniejszą. Chodzi o to, czy eksploatacja ta nosi charakter niemoralny, jest bogaceniem się jednych na koszt drugich,—boć jeżeli rozumieć wyrazy „eksploatacja pracy robotniczej“, jako poprostu określenie ekonomiczne, jako miano stosunku kapitału do pracy, w rodzaju np. eksploatacyi ziemi (korzystania z jej wydajności), to staje się niezrozumiałym cały zgłębł agitacyjny ulicy przeciwko rzekomej *niemoralności* kapitału. Pewne delikatne cofanie się przed moralnemi oskarżeniami pod adresem faktów naturalnych, już spostrzegać się daje w pracach Sombarta i Bernsteina

w przeniesieniu odpowiedzialności za wyzysk z kapitalistów pojedynczych na kapitał powszechny, na abstrakcyjne pojęcie *kapitalizmu*, co zresztą tu i owdzie prześwieca z poglądów samego Marksa, zaznaczone jest w przedmowie do „Kapitału“ i zdaje się spoczywać pod zgodą na eksploatację w granicach 8-godzinnego dnia roboczego.

Słowem, jeżeli chodzi tu o tak określoną przez Bernsteina „idealną“ eksploatację, to kapitalizm zostaje bądź co bądź zwolniony z zarzutu niemoralnego bogacenia się na cudzy koszt, a tym sposobem kwestja konieczności zreformowania ustroju socjalnego stanąć może pod większym, niż obecnie, znakiem zapytania, jakoby tracąc całkowicie swoje tło moralne.

Wszelako będąc stanowczymi zwolennikami konieczności reform, sięgających jaknajdalej w trzewia kapitalizmu, nie wahamy się — gdy chodzi o sprawę naukową — poddać zimnemu rozbiorowi całą metodę rozumowania Marksowskiego.

Jeżeli ktoś rozłoży czynniki produkcji na trzy elementy $M + S + R$ (maszyny, surowce, płaca robocza), a otrzymując w rezultacie produkcji wydatek + zysk, t. j. $M + S + R + Z$, — zechce dowodzić na tej zasadzie, iż $M + S$ zwróciło się, że w pozostałym $R + Z$, zysk (Z) oczywiście jest przyrostem R , to spostrzeżemy natychmiast, że zwodzi nas, korzystając z dowolnie dobranej tautologii $M + S$ w dwu okresach przed produkcją i po produkcji.

Bowiem nic nie przeszkadza nam inaczej ukształtować ogniwa podobne i inaczej ustosunkować otrzymaną różnicę. Mianowicie nastawać możemy na tem, że skoro zwracają się $S + R$, to w pozostałym $M + Z$ mamy prawo upatrywać przyrost Z dzięki ogniwu M . Wyrażając formułę naszą słowami, niewątpliwie moglibyśmy dowodzić, że cała nadwyżka zysku utworzyła się

dzięki wprowadzeniu do akcji fabrycznej maszyn. Skoro bowiem surowce zostały opłacone, zgodnie z żądaniem sprzedawców, robotnicy zostali opłaceni uczciwie, na mocy umowy z nimi i bez sarkania z ich strony na rozmiar płacy — to powstałą nadwyżkę przypisywać możemy czynności maszyn. Niepodobna temu rozumowaniu zarzucić, że maszyny nie są w stanie pracować bez dozoru ludzi, bo z drugiej strony jest też pewną rzeczą, że ludzie nie są w stanie *tak* pracować, *tylę* wytwarzać bez udziału maszyn. Niepodobna też wskazywać w charakterze zarzutu przeciw temu rozumowaniu, że ludzie nie zostali dostatecznie opłaceni, że są wyzysskani — bo to właśnie jest kwestją sporu, to powinno być udowodnionem, tego zakładać nie wolno z góry, chcąc uniknąć *petitio principii* — przyjmowania za prawdę tego, co się udowodnić zamierza.

Właściwie spór kapitału z pracą w obronie słuszności swoich zysków prócz zwykłego ekonomicznego argumentu, że korzysta z sumy nadwyżek, które w podzieleniu na wszystkie głowy podniosłyby ich poziom ekonomiczny bardzo nieznacznie — zazwyczaj opiera się na analogicznym do powyższego rozumowaniu. Mianowicie nadwyżkę z produkcji — zysk uważa on całkowicie za dochód ze swojej własnej pracy, z pracy organizowania pracowników i z pracy wyszukiwania rynków zbytu. Można drwić bezlitośnie z przesadnych apetytów organizatora-kapitalisty, można wskazywać, że przecenia on swoją pracę, której często dokonywa zań zdolny dyrektor lub agent, ale odrzucać teoretycznie w pełni stosunek zysku do pracy organizatorskiej kapitału i do pracy wyszukania rynku zbytu — niepodobna. Daje się stwierdzić, że z postępem czasu, który coraz bardziej wprowadza podział pracy, trud kapitalisty przechodzi na cudze barki, przybiera cechy coraz mniej indywidualne, coraz bardziej społeczne (towarzystwa

akcyjne, instytucje ogłoszeniowe i t. p.), ale rezultatów produkcji (do których wliczyć wypada i rezultaty operacji ze sprzedaży produktów) zupełnie uniezależnić od pracy organizacyjnej niepodobna.

Kiedy teoretycy Marksizmu stawiają akcent na samym produkcie, który wychodzi z rąk robotnika i powiadają: „oto jest właściwy rezultat pracy — nikt inny nie zmienił surowców na produkt, tylko robotnik swojemi rękoma“—to konstatują oni fakt naturalny, ale nie ekonomiczny, a przeto nie dający żadnej podstawy do wniosków o charakterze ekonomicznym. Boć tu nie o sam produkt chodzi, jako o rzecz, ale o pewną wartość, mającą cenę na rynku, cena zaś owa może być tą lub inną, zależnie od sprawności fabrykanta lub jego agentów przy wyborze rynków zbytu, i na tę stronę życia ekonomicznego, na której rysują się zyski lub straty, robotnik nie posiada żadnego wpływu.

Nam wszelako w tej chwili nie chodzi o przerzucenie całej wagi zysku na stronę kapitału. Bynajmniej, nawiązując raczej nić przerwanego wyżej rozumowania, pragniemy tu udowodnić, że owa tajemnicza nadwartość, którą pobiera fabrykant, wybornie daje się odnieść, jako do źródła swojego, do maszyn — i to nie w charakterze kapitału, wydatkowanego na nie, ale w charakterze idei wynalazcy. Bowiem doprawdy, wobec cudownego podniesienia się produkcji dzięki technice maszynowej, wobec coraz większej złożoności i „inteligencji“ maszyn, a coraz większego uproszczenia i automatyzmu pracy robotnika—nie widzę najmniejszego powodu do tego, aby twierdzić, że idea wynalazcy była kiedykolwiek dostatecznie zapłacona, że nie wynalazca jest tu właśnie najmocniej wyeksploatowany przez kapitalistów, że rachunki za ideę zostały uregulowane, podobnie, jak rachunki z dostawcami maszyn i surowców. Boć łatwo jest stwierdzać ordynaryjny fakt, że

bez materialnej pracy robotnika nie masz realnej maszyny. Niewątpliwym jest również i inny fakt, że bez duchowej pracy wynalazcy-technika, bez jego planu, również nie masz maszyny, oraz inny fakt jeszcze, że zastępczość w pracy fizycznej jest bez porównania łatwiejszą, niż w pracy duchowej — geniuszów. Z tego punktu widzenia okazuje się, że kapitalizm pomówiony być może raczej o eksploatację geniuszów, ludzi idei, niż o wyzyskiwanie pracy fizycznej. Kapitalizm uczynił siebie spadkobiercą wszystkich wynalazców i pobiera zyski od idei.

Wszelako wobec tego, że wynalazcy nie mają pretensyi do kapitału, bądź dla tego, że dobroczyńcy ludzkości, którzy, obdarowawszy świat, zginęli z głodu, nie mają głosu, bądź dlatego, że jednostka, wynagrodzona jednorazowo sumą znaczną, nie może ciągnąć pełnych i nieograniczonych zysków za wszystkie zastosowania swojej idei, gdyż wówczas nikt nie chciałby z nich korzystać, bądź dlatego, że wynalazczość rozdrabnia się dzisiaj w pracy zbiorowej ulepszczy głównego wynalazku i łatwiej daje się skwitować, — słowem z mnóstwa powodów, uchylających ekonomiczny proces pomiędzy własnością kapitału, a własnością idei—pierwszy dotąd ciągnie wszystkie korzyści z ostatniej w charakterze pierwszego, który płaci i płaci odrazu. Przecie w stosunku do tego, co zyskuje na wszystkich polach przez lata i dziesiątki lat, płaci tak niewiele, że możemy śmiało rzec, iż korzysta z cudzego i że niema zasady stawać w poprzek klasie robotniczej, kiedy zgłasza się po udział w tym zysku kapitalistów z idei. Bo to, co wyrasta z ducha ludzkości, nie może być własnością jednostek, które żadnych innych nie posiadają danych na nieograniczone ciągnięcie zysków ze skarbów ducha, jeno to, że mają pieniądze, nagromadzone właśnie dzięki brakowi tamy w tej eksploatacyi wyższej techniki.

Wszelako jedno musimy zrobić omówienie: na pełną eksploatację idei wynalazczych jednakowo nie posiada prawa klasa kapitalistów, jak i klasa robotników, wzięta w wązkim znaczeniu tego słowa — pracowników fabrycznych. Ma ona prawo do tej eksploatacji tylko w znaczeniu mas — bo prawo to należy do ogółu, społeczeństwa, do całej ludzkości.

Musi być uczynione wszystko ku poprawie bytu klasy robotniczej, ku zmniejszeniu dnia roboczego, ku podniesieniu płacy, ale wyłącznemu zawłaszczeniu całego produktu pracy maszynowej przez robotników stanie na przeszkodzie sprawiedliwość nie w formie sentymentu moralnego, lecz w formie twardych praw ekonomicznych. Takie podniesienie płacy robotników, zwłaszcza w warunkach istniejących, które odbije się niezmiernym podniesieniem cen na produkty fabryczne, odbierając ogółowi możliwość korzystania z tych produktów, obniży skalę kulturalnego życia, obniży popyt, zrujnuje kapitalistów i w otwartą przed nimi przepaść pociągnie zarazem robotników, czyniąc ich produkty zbyt drożymi wobec ich drożyzny. Albo też podrożeniu wartości przemysłowych przeciwstawi się za każdym razem odnośne podrożenie produktów żywności, oraz wszystkich przedmiotów pracy pozafabrycznej, których wytwórcy zmuszeni będą gonić za większym zyskiem w celach nabycia produktów fabrycznych; czyli innymi słowy podrożeje wszystko na całej szerokości rynku, podrożeje stopa życiowa, spadnie w wartości jeden tylko pieniądz, a tym sposobem klasa robotnicza posiadać tylko nominalnie wyższą płacę bez żadnych korzyści realnych.

Tak się przedstawia w swoich zasadach i skutkach walka klasowa, rozważana przez nas w symbolicznej formie — walki o prawo korzystania z idei wynalazczych.

§ 37. Jeżeli w tej walce na korzyść robotników przemawia ta okoliczność, że kapitał bez pomocy robotnika, budującego maszynę i wprawiającego ją w ruch, nie byłby w stanie ciągnąć żadnych zysków, to i na korzyść dzisiejszego kapitalisty przemawia także coś: mianowicie, że bez jego organizatorskiej zdolności i przedsiębiorczości nie mielibyśmy fabryk. Ale skoro robotnicy są stroną upośledzoną, nie mającą nic, prócz rąk swoich, i na obniżenie wartości ich siły roboczej wpływa konkurencja całej armii robotniczej — nie możemy im odmówić prawa zrzeszania się i umawiania się o płacę, że tak powiem, gromadnego. Robotnicy z tej zasady zyskują w prawodawstwach zachodnich prawo do strejków, jak kapitaliści mają prawo, jako strona przeciwna, do organizacyi lokautowej. Bez prawa związków robotniczych umowa pomiędzy fabrykantem a robotnikiem ma tylko pozór dobrowolności, bo robotnik działa pod naciskiem głodu. Zastępuje on tem bardziej na opiekę prawa, że właściwie maszyna wyrzuca go na bruk, a wyższa technika sprowadza go na niski poziom kółka przy maszynie.

Tu dotarliśmy do rdzenia sprawy ekonomicznej. Za ekonomiczną sprawą ukazała się prawna — umowa między fabrykantem a robotnikiem, za prawną — moralna: okoliczności tej umowy.

Ekonomicznie dla warunków dzisiejszych nie daje się dowieść, że zysk przypada li tylko na pracę robotniczą; że fabrykant jest poprostu łupieżcą. Niechaj środków czynników produkcyi praca fizyczna robotnika wskazywaną będzie przez marksistów, jako jedyny czynnik szczerze twórczy (z pominięciem idei, jako stojącej poza szrankami sporu klasowego), niech kapitał wyda się poprostu warunkiem dzisiejszego sposobu produkcyi: warunek *sine quo non*, przynajmniej dopókiśmy nie stworzyli i nie wykazali sprawności innego ustroju, ma pra-

wo sięgać po część zysku bez pomówienia o zwyczajną kradzież. Ponieważ udział w zysku jest kwestją umowy prawnej, nie może być z góry mowy, o tem, że robotnik w każdym wypadku jest źle zapłacony, że zawsze jest wyzyskany, nawet przy minimalnych zyskach kapitału. Niema bowiem w strukturze społecznej, która opiera się na faktach natury historycznej, na ewolucyi obyczajów, pojęć moralnych, stosunków prawnych—niema, powiadam, takiego Archimedesowego punktu, z którego w jednym momencie dałby się podźwignąć i przewrócić cały systemat myśli społecznej, cały porządek prawno-ekonomiczny. Może on podlegać przeróbkom ewolucyjnym i przerzutom rewolucyjnym, ale zawsze—w imię nowych pojęć moralnych, w imię leczenia chorób socjalnych, nigdy zaś w imię pseudo-logicznego odkrycia błędu w całej dotychczasowej strukturze, w imię pojęć porządku teorjopoznawczego, w imię abstrakcyj nauki ekonomicznej. Niema w strukturze społecznej punktu, na którym możnaby wygłosić: „wszystko, co stwarza fabryka, *jest* własnością robotnika“, albo „wszystko to było własnością robotnika, a zabrane mu było przez oszustwo“, bowiem sama własność jest kategorią historyczną, jest konsolidacją pewnych pojęć obyczajowo-prawnych. Umowa, według której nie cały produkt pracy należy do robotnika, nie może nosić teoretycznie znamienia zasadniczo niemoralnej, bo niepodobna wyobrazić sobie umowy, na mocy której robotnik wziąłby wszystko zgoła, co dał, nie można dowieść, że osiem godzin pracy ofiarowanej musi się równać pełnemu zyskowi z tych ośmiu godzin. Nie można tego dowieść, bo umowa, na mocy której jedna strona—kapitalista nie miałby żadnych praw—nie mogła być powstać w strukturze społecznej, gdyż kapitał—a jego organizacyjne znaczenie w ewolucyi gospodarczej jest uznane przez sam socjalizm za konieczność

dobroczynną dla rozwoju życia — nie miałby żadnego interesu w organizowaniu produkcji.

Umowa co do zysku obustronnego nie jest faktem niemoralnym, co najwyżej może być uważana za fakt amoralny. Charakter niemoralny wyciśnięty został na niej jeno przez historyczne warunki, które, ograniczając prawo robotników do solidarnego umawiania się o pracę dla przeciwważenia szans szczęśliwych posiadaczy kapitału, uczyniły jej dobrowolność próżnym dźwiękiem. Jakkolwiek nisko stawialibyśmy pracę fizyczną ze względu na łatwość zamiany osobników,—nie możemy powiedzieć: „wara!“ skupionej masie tych osobników, gdy powiada nam ona: „my damy wam naszą pracę tylko na takich a takich warunkach, bez nas nic nie wytworzycie“—bo protest nasz możliwy jest tylko przy użyciu siły fizycznej, t. j. na drodze gwałtu nad klasą robotniczą.

§ 38. Wreszcie dodajmy, że niema w strukturze społecznej również stanowiska, z którego wolnoby ogłosić hasło: „wszystko należeć *powinno* do robotników fabrycznych“, bo wszystko należeć może tylko do ogółu pracujących; nie można zwłaszcza twierdzić, że każda fabryka należeć winna do gromady pracujących w niej robotników.

Nie można tego twierdzić, ponieważ niema zasady z przygodnej gromady robotników danej fabryki czynić towarzystwa kapitalistów na miejsce obecnego kapitalisty-właściciela z pominięciem całej armii rezerwowej robotników mniej szczęśliwych, którzy przypadkowo w danej chwili pozostali bez pracy. Boć jeżeli wolno, celem ugruntowania praw pracy do pełnego zysku, metodą socjalistyczną, sprowadzać każdy szczegół inwentarza fabrycznego do pracy, przemieniać w wyobraźni maszyny i surowce na pracę dawniejszą, na pracę po za murami danej fabryki — to właśnie z tej samej przy-

czynny wypada odmówić przygodnemu zbiorowisku robotników prawa własności do całego majątku fabrycznego. Kapitał fabryczny — zakładowy: maszyny, i obrotowy: surowce — jeżeli pominąć wszelkie okoliczności, które przemawiają na rzecz właściciela, co go zebrał i utrzymał, nie może być uważany za własność robotników danego zakładu, bo pracowali nań inni, pracowały pokolenia, pracował ogół warunków społecznych i politycznych danego kraju. Ztąd zjawić się może idea zawłaszczenia fabryk przez *społeczność* — nie wchodzimy tu w kwestję, czy z wykupem, czy bez wykupu, jako dalszą i bardzo skomplikowaną — ale nie powinna pokutować w mózgach robotniczych myśl o tem, że dana fabryka stanowi, z punktu moralności i ekonomii, ich własność. Ani moralność społeczna, ani ekonomia polityczna nigdy takiej herezyi nie twierdziły; rodzi się ona wśród ludzi słabo uświadomionych, w warunkach agitacji politycznej, wyłączającej możliwość naukowego oświeclenia kwestyi ekonomicznych (wyłączającej nie z winy agitatorów), a jak pokazuje życie, błędna idea ta doprowadza tu i owdzie grupki robotnicze do samowoli, a nawet do zbrodni. Ztąd konieczność właściwego oświeclenia założeń nauki socjalistycznej staje się palącą. Co prawda, hasło: „wszystko jest wasze“ — łatwiej trafia do zgorączkowanych głów prostych ludzi, niż postulaty naukowe, niż twierdzenia prawdziwego, nieprzerobionego na użytek ciemnoty, Marksa.

§ 39. Idea Marksa, że robotnik, jakkolwiek ilość godzin pracuje, zawsze jest stroną poszkodowaną, nie zapłaconą dostatecznie, dostarczającą fabrykantowi bez kompensaty nadwartość, opiera się na hypotetycznej konstrukcyi matematycznej, wspartej z kolei na hypotetycznej konstrukcyi historycznej. Słuchacz, uwiedziony prostotą założeń teoretycznych, idzie już wraz z Marksem do końca po zawitych szlakach dialektyki, a po

drodze nie napotyając błędów, lub odczuwając trudność krytyki w miarę komplikacyi argumentów — zapomina, doszedłszy do wniosków ostatecznych, że wyprowadzono go z założeń hypotetycznych, a przeto i wnioski, choćby najlogiczniejsze, muszą być przyjęte *cum grano salis*—jako hipotezy.

Przedewszystkiem oto konstrukcja matematyczna: rozdział przypuszczalny czasu pracy na czas, odpowiedni czasowi wypracowania środków utrzymania i na czas wytwarzania nadwartości na rzecz fabrykanta. W 8-godzinnym dniu roboczym będą to przypuszczalne 4 godziny, kiedy robotnik odrabia swoją płacę roboczą, wynagradza fabrykanta za nią w formie produktów, które pozwolą kapitaliście odbić sobie wydatek na siłę roboczą, oraz przypuszczalne następne 4 godziny, kiedy robotnik wytwarza produkty, stanowiące czysty zysk kapitalisty, ową nadwartość. Oczywiście w praktyce nic temu podziałowi odpowiadać nie może; jest on zupełnie domyślny, trafia jednak do przekonania odrazu, boć jasną jest rzeczą, iż fabrykant na pracy robotnika przedewszystkiem odbija sobie jej koszt, a następnie liczy zysk. Wszelko nim przystąpimy do krytycznego zbadania tego podziału, godzi się wskazać, że stosunek pomiędzy ilością godzin pracy na siebie i na fabrykanta nie daje się żadną miarą wymierzyć, dopóki nie znajdziemy sposobu obliczania przeciętnej ilości godzin, potrzebnych do wyprodukowania środków utrzymania, boć sam teoretyczny podział na pół ($4 + 4 = 8$)—stanowi tylko przykład hypotetyczny w celach unaocznienia obliczeń. Tym sposobem Marks z góry zrywa z możliwością uznania za podstawę jakiegokolwiek teoryi ekonomicznej umowy prawnej, stanowiącej o sprzedaży całego dnia roboczego za środki utrzymania, choćby dzień roboczy wynosił 8 godzin, a płaca zadawalniała wymagania wysokiej stopy życiowej kulturalnego robotnika; nie

uznaje on w tej umowie racjonalnej wymiany równoważników ekonomicznych — dnia pracy uzyskanej dla fabrykanta za dzień dobrego zarobku dla robotnika. To postawienie kwestyi z góry znosi równość między czasem pracy, a wszelką płacą zarobną, jako nierównoważną jej w każdym razie, bo inaczej — według Marksa — nie miałyby z ką wytrysnąć zysk fabrykanta, nadwyżka po nad płacę zarobną, nadwartość w formie produktów pracy.

Tym sposobem przecie powstaje jakieś x wartości pracy, które domaga się określenia. Rozkładając je na dwie części—pracę, pokrytą przez płacę zarobną, i pracę niepokrytą (nadwartościową), których stosunek przypuszczalny przy 8-godzinnym dniu roboczym jest jak $4 : 4$, Marks przyrównywa pierwszą część pod względem czasu do pracy, wymagalnej dla zdobycia odnośnej ilości pożywienia, wyrażonej w kwocie płacy zarobkowej. Część druga — czy to będzie *istotna* połowa, czy mniej lub więcej,—z ilości godzin dnia roboczego ma się określić, jeżeli tamta część wymierzona będzie właściwie. Niestety, jest to właściwie zamiana x na y , bo niema sposobu zmierzyć, ile godzin przeciętnie potrzeba na wyprodukowanie odnośnej ilości środków pożywnych. Praca na roli, z jej zmianami funkcyi, z przerwami w pewnych porach roku, pełna niespodzianek atmosferycznych, wpływających na lepszy lub gorszy urodzaj, pewnieć mniej nadaje się do wyobrażenia sobie przeciętnej jednostki czasu, niż jednostajniejsza i normalniejsza co do wyników praca fabryczna.

Nawiązując stosunek równowagi ekonomicznej pomiędzy ilością godzin pracy opłaconej w dniu roboczym, a ilością godzin produkcji środków dziennego utrzymania i równając domyślnie oba te czasy z czasem, potrzebnym do wydobycia odnośnej ilości złota, odpowiadającej zarobkowej płacy za cały dzień—Mars wyobra-

za siebie oczywiście, jako podstawę tego równania, stosunki pierwotnej wymiany, nasamprzód naturalnej, następnie pieniężnej. To właśnie nazywam hypotetyczną konstrukcją historyczną. Gdyby bowiem stanąć na tem stanowisku teoretycznym, że oba czasy — produkcji przemysłowej i rolnej, nie porównywały się ze sobą nigdy, a następnie, że porównanie ich z trzecim żywiołem ekonomicznym, z miernikiem pieniężnym, nie było przekładem owego dawnego równania w naturze na język pieniężny, to nie byłoby zasady do powoływania tych równań w okresie bieżącym, jako tkwiących domyślnie z najdalszych czasów pod zawilemi formami wymian bieżących.

Otóż spróbujmy poddać bliższej analizie tak ową konstrukcję matematyczną, jak i historyczną, aby określić wartość teoretyczną obu hipotez.

§ 40. Błądność konstrukcyi „nadwartości“ ujawni się natychmiast, gdy przyjmiemy pod uwagę strukturę kapitału w przedsiębiorstwie. Zaledwie Marks tknął bliżej tej sprawy w III tomie „Kapitału“, a już iść musiał ku określeniu wartości wymiennej (ceny) w niezgodzie z wartością pracy. Lecz nie wyprowadził wszystkich wniosków ze źródła, do którego się zbliżył. Mnie mał, że bądź co bądź pomiędzy ceną, jako procentowym wynikiem ilości kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo, a wartością pracy istnieje jakiś związek proporcyci — tajemniczej, bo go nie wykazał. Była to iluzja, którą rozwiać należy w imię prawdy naukowej. Wyprowadzimy za Marksa wszystkie te wnioski, których sam nie wyprowadził — ściśle trzymając się jego metody, jego hipotez — i obaczmy, jak teoria wartości, jako pracy wymiernej jeno przez czas, sama sprowadza się *ad absurdum*.

Na cenę godziny roboczej w charakterze źródła nadwartości — gdyby teorię Marksa uznać za słuszną —

w olbrzymim stopniu wpływać będzie stosunek kapitału, włożonego w płacę robotnika, do całego pozostałego kapitału, włożonego w surowce i maszyny.

Zupełnie inną będzie owa nadwartość, której źródłem ma być jeno praca danej ilości robotników w danej fabryce *)—tam, gdzie kapitał włożony w narzędzia, t. j. stały + obrotowy, poświęcony na surowce jest znacznie *większy*, niż kapitał zmienny (obrotowy), poświęcony na płacę robotnicze, a inną, tam, gdzie ten stosunek jest odwrotny.

Przypuśćmy, że w jednym interesie, tam, gdzie drogie techniczne urządzenia i wielka wartość surowców pochłania znaczne kapitały, stosunek ten wyrazi się, jak 1,000 rubli zużywanego dziennie kapitału w maszynach i surowcach do 100 rubli dziennej wypłaty robotnikom.

Przypuśćmy, że odwrotnie w innym wypadku, tam, gdzie narzędzia i surowce są stosunkowo tanie, a wypada użyć wielkiej ilości robotnika,—stosunek kapitału, zużywanego przez pracę w danym okresie czasu—przypuśćmy, dziennym, ma się do pracy robotniczej w tymże okresie, jak 100 do 1,000.

Czyli: w pierwszym wypadku personel robotniczy dostaje 100 rubli, w drugim — 1,000 rubli. Przypuśćmy, że mamy do czynienia z robotnikami o słabych kwalifikacjach, otrzymującymi za jednakową ilość godzin pracy zarobek jednakowy (przeciwnie twierdzenie samo przez się wypadałoby na niekorzyść Marksa) — i że każdy otrzymuje dziennie po rublu. Zatem w pierwszym wypadku robotników będzie 100, w drugim 1,000.

*) Boć praca, zawarta w surowcach i maszynach, jako wedle wskazań Marksa opłacona uprzednio i w zwrocie dochodu brutto równa kosztom wydatkowanym, nie jest przez teorię wciągnięta w rachubę.

Przypuśćmy, że jedna i druga fabryka — zgodnie z założeniem Marksa—przynosi jednakowy procentowy rezultat w stosunku do kapitału. Dla uproszczenia rachuby, wobec założonych z góry drobnych sum kapitałnych, aby uniknąć w dalszym wywodzie drobnych ułamków, wyobraźmy sobie, że jest to 100% czystego zysku na okres dzienny.

Przeto w jednym i w drugim wypadku za wyłożone na robotników, surowce i na amortyzację maszyn po 1100 rubli (bo $1000 + 100 = 100 + 1000$) otrzymamy drugie 1100 rubli.

Kapitalista rachuje, że w tej sumie każdą setkę czystego zysku przyniosła mu setka wyłożonego kapitału, że w jednym wypadku na 100 rubli, wyłożonych na robotnika, otrzymał 100 rubli, w drugim — jeżeli jest właścicielem obu interesów—na wyłożonych na robotnika 1000 rublach zyskał 1000 rubli.

Nie!—powiada Marks—w jednym i w drugim wypadku cały zysk przypada na pracę robotników w obrębie danej fabryki *).

Zgódźmy się na to! Ależ w takim razie w jednym wypadku 100 robotników, których wynajem kosztował 100 rubli przyniosło kapitaliście 1100 rubli, w drugim te same 1100 rubli przyniosło 1000 robotników, na których wydano 1000 rubli.

Obaczymy, co ztąd, wypada, w świetle 8-godzinnego dnia roboczego, podzielonego w hypotetycznych

*) Przerzutu na pracę robotników około sporządzania maszyn i na pracę około zbioru surowców Marks nie czyni, bo to nadawałoby przewagę pretensjom pracy skryształizowanej już w formie kapitału przeciw pretensjom bieżącej pracy personelu fabrycznego—a zarazem otwierałoby perspektywy nieskończonego cofania się w głąb czasu, gdzie wszelkie pretensje pracy zdawna wygasły.

obliczeniach Kautsky'ego na 4 godziny pracy robotnika na siebie i 4 godziny produkowania nadwartości.

Skoro robotnik otrzymuje za 8-godzinny dzień roboczy 1 rubla, który pokrywa się produkcją pierwszych 4 godzin, to wartość produkcyjna każdej godziny równa się ($1 : 4 =$) 25 kopiejkom. Gdyby praca ograniczyła się temi 4 godzinami — rozumuje Marks — nie byłoby wyzysku: robotnik wziął by kompensatę za cały swój produkt, przyniósłby kompensatę za całą swą płacę.

Ponieważ jednak każdy następnie pracuje jeszcze pół dnia na fabrykanta darmo, ponieważ wytwarza nadwartość, zatem cena jego godziny dzięki wyzyskowi maleje do $12\frac{1}{2}$ kopiejek. Fabrykant ocenia godzinę pracy robotniczej i spłaca po $12\frac{1}{2}$ kopiejek, poczem zabiera w celach sprzedaży skryształizowane w produktach 25-kopiejkowe godziny.

Obaczmy, jak je sprzedaje na rynku.

Z pierwszej fabryki, gdzie pracuje 100 robotników po 8 godzin zebrał 800 godzin pracy, w drugiej, gdzie pracuje 1000 robotników po 8 godzin zebrał 8000 godzin pracy.

W pierwszej fabryce po pokryciu wszystkich kosztów zarobił na 800 godzinach 1100 rubli, t. j. sprzedał każdą godzinę pracy, którą opłacił był po kop. $12\frac{1}{2}$, z nadwyżką ($1100 : 800 =$) 1 rb. $37\frac{1}{2}$ kop.

W drugiej fabryce zarobił na 8000 godzin również 1100 rubli, t. j. sprzedał każdą godzinę tegoż kosztu, z nadwyżką ($1100 : 8000 =$) $0.13\frac{3}{4}$ kopiejek.

Wypada z tego wniosek niesłychanej wagi, który wstrząsa w posadach wszystkie poglądy na „nadwartość.“ Abstrakcyjna wartość godziny rzekomo po kop. 25 nigdzie nie okazuje się w realnych obrotach handlowych i ukazać się nie może; nigdzie nie pojawia się owa nadwartość wydarta robotnikowi w ilości 25 kop. $\times 4$ t. j. połowy jego pracy, niewynagrodzonej przez fabrykanta.

W świetle obrotów na rynku, gdzie realnie określić się daje norma wyzysku, okazuje się rzecz niespodziewana:

W jednym wypadku kapitał zdeprecjonował pracę o różnicę 1 rb. 37¹/₂ kop., w drugim o różnicę 13³/₄ kop. Wyciągnął jakoby olbrzymi zysk z pracy robotniczej tam właśnie, gdzie włożył ogromne kapitały na maszyny i surowce, a korzystał z usługi tylko 100 robotników; osiągnął jakoby o wiele drobniejszy tam właśnie, gdziełożył większy kapitał na robotników, a korzystał z usługi 1000 ludzi.

§ 41. Jakże ten wniosek godzi się z rzeczywistością—z tem, że w jednym i drugim wypadku właściwie kapitalista wyłożył tą samą ilość kapitału i otrzymał ten sam zysk czysty?

Zachwiewa się legenda o zysku, równym wyzyskowi pracy ludzkiej—przynajmniej tej bieżącej, zawartej w produkcji, o którą właśnie Marksowi chodzi. Upada legenda o niezależności zysku od kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo, a zwłaszcza o przewadze w formowaniu nadwartości tego kapitału, który idzie na płace robotnicze. Nadwartość zmienia się, idąc w ślad nie za wartością pracy, ale za całą strukturą kapitału.

Jeżeli odrzucić wpływ struktury kapitału—dawniejszej skryształizowanej pracy, która znajduje się w rękach kapitalisty, jeżeli cały charakter zysku przypisać produkcji bieżącej, to z powyższego przykładu wypada, iż w jednym wypadku robotnik ma prawo powiedzieć do fabrykanta: „wyzyskałeś mnie, boś wziął za moją godzinę 1 rb. 37 kop. nadwyżki,“ w drugim: „wyzyskałeś mnie, boś wziął za moją godzinę 0,13 kop. nadwyżki.“ Nadmiar im większą będzie liczba ludzi, tem mniej każdy rościć będzie praw do fabrykanta, bo wyzysk okaże się malejącym w miarę zwiększania się ludzkiej ciżby!

Zasadnicze twierdzenie o równości pracy zachwie-
wa się—bo godzina zwyczajnej pracy w jednej fabryce
okazuje się znacznie więcej wartą na rynku, niż godzina
takiej samej pracy w innej. Modyfikują ją konjunktury
handlowe. Nadwartość, którą gromadzi w rękach swoich
kapitał dzięki pracy ludzkiej, miast rosnać ze wzrostem
ilości robotników, spada. Pretensje personelu fabrycz-
nego do kapitalisty stają się mniejsze w miarę zmniej-
szenia się ilości rąk, ilości godzin pracy. Te wnioski
z założeń Marksa—w świetle cyfrowego przykładu—sta-
ją się zabójczymi dla samych założeń.

W dodatku okazuje się, że kapitalista sprzedaje
ową godzinę, której wartość normalną—w stosunku do
środków pożywienia — „zniżył“ do kop. $12\frac{1}{2}$ bądź za
Rs. $1.37\frac{1}{2} + 0.12\frac{1}{2} = \text{Rs. } 1.50$, bądź za Rs. $0.13\frac{3}{4} + 0.12\frac{1}{2} =$
 $0.25\frac{1}{4}$ kop., A uwzględniając rekompensatę kapitałów na
maszyny i surowce, zużywanych na godzinę pracy
($1000 : 800 = \text{Rb. } 1.25$ i $100 : 8000 = 1\frac{1}{4}$ kop.), właści-
wie cena godziny w sprzedaży wyniesie tam Rs. $1.50 +$
 $1.25 = \text{Rs. } 2.75$, tu $0,26\frac{3}{4} + 1\frac{1}{4} = 27\frac{1}{4}$ kop. Jeżeli
zaś przypuścimy spadek procentu od kapitału do poło-
wy (50%), to i ceny 800 i 8000 godzin w różnych gałę-
ziach przemysłu spadną do $\frac{3}{4}$, tam do Rs. $2.06\frac{1}{4}$, tu do
 $20\frac{5}{8}$ kop. t. j. że w pewnych wypadkach godzina pracy
robotniczej w rękach kapitalisty, zmuszonego słuchać
nakazów rynku, niższą jest od jej rzekomej wartości
normalnej (25 kop.), która w żadnych stosunkach real-
nych nie występuje nigdy. Zachodzi pytanie, na jakiej
zasadzie oblicza się ona w teorii, wbrew płacy robo-
czej $0,12\frac{1}{2}$ kop. i cenie handlowej, to niższej, to wyższej
od kop. 25—w tej ostatniej sumie? Oczywiście, jest to
cena wyobrażona, otrzymana przez proces abstrakcyi
i prowadząca do.. abstrakcyjnie obliczonej, idealnej nad-
wartości.

§ 42. A nie można naszemu przykładowi zarzucić,

że jest hypotetyczny, że korzysta z cyfr fantastycznych, przypuszcza 100% zysk w okresie dziennym. Bo nie o to tu chodzi, czy różnica między ceną godzin pracy fabrycznej na rynku jest tak wielką, jak w naszym przykładzie, ale że *istnieje* i między innymi znajduje się w zależności od struktury kapitału, od proporcji kapitału stałego i obrotowego, oraz części tego ostatniego, wydanych na surowce i na płacę robotniczą. Podstawicie cyfry prawdziwe, próbując rozmaitych form struktury kapitałów fabrycznych, a otrzymacie w rezultacie zawsze różnice normy wyzysku dla zupełnie jednorodnych godzin pracy robotniczej; te same wartości czasu, jednakowo opłacane przez kapitalistę i nie roszcujące sobie pretensji do indywidualnej zasługi, do specjalnych energii, okażą swoją twarz Proteuszową na rynkach zbytu. Taksatorem ich wartości okaże się rynek handlowy posłuszny falowaniom kapitałów—wbrew jedności czasów. Może to być źle, ale tak jest—a wiara robotnika w to, że ilość jego czasu roboczego jest proporcjonalną do nadwartości w wymianie, do stopnia wyzysku i bogacenia się fabrykanta w świetle cyfr nie wytrzyma krytyki.

Nawiasem mówiąc, przykładom naszym zarzucano by niesłusznie hypotetyczność, bo wszystkie niemal przykłady liczebne Marksa są również hypotetyczne, poczynając od owych słynnych 20 łokci płótna, równych „jednemu surdutowi”—przedstawiającemu wytwór „abstrakcyjnej siły roboczej w abstrakcyjnie przeciętnym czasie,” jakgdyby można było sobie wyobrazić taki abstrakcyjny surdut, jakgdyby kwalifikacje roboty krawieckiej nie odgrywały tutaj głównej roli. Surdut nie jest równy surdutowi, choćby uszyty był w dwu wypadkach w jednakowym czasie, albo może być równym co do wartości mimo różnic czasu roboczego, zależnie od jakości

roboty t. j. specyficznej energii krawieckiej, „talentu,“ zastosowania się do mody i t. p.

§ 43. Wynik, do którego doszliśmy przez nasz przykład, nie powinien wydawać się dziwnym temu, kto nie dziwił się nigdy, że skryształizowana praca mularska—dom, który stanowił kapitał nieruchomy właściciela, przynosi dochód, rentę, t. j. pewne odsetki w formie płacy za lokale w ciągu całego szeregu lat.

Gdybyśmy nie znajdowali się pod sugestją nadwartości, kształtującej się w procesie produkcyjnym, ocenilibyśmy mimo różnic formy — spokoju, w którym pozostaje stale *dom*, i ruchu, w którym muszą znajdować się maszyny, że kapitał w *maszynach* rentuje w pewnej części tak samo, jak *dom*, bowiem idea ekonomiczna w strukturze społecznej jest tu i tam jedna i ta sama.

Tą ideą jest istnienie dóbr, które uważają się za pokryte co do kosztu w momencie ukończenia konstrukcji pod warunkiem zapłaty doraźnych pracowników — a przeznaczone są w użyciu przy obsłudze ludzkiej przynosić zyski tytułem tkwiącej w nich wartości, niezużywalnej w jednym momencie czasu i amortyzującej się powoli przy niszczeniu w użytkowaniu. Ta obsługa przy domu jest nieliczna—stróż stały i robotnicy, przygodnie najmowani do poprawek; jest liczna i faktycznie czynniejsza w przemianie wartości przy fabryce. Proporcja statycznego i dynamicznego żywiołu jest tu i tam inna—różnica jest olbrzymia, ale „forma wartości,“ jak wyraziłby się Marks w pewnej części jest jednakowa.

Ztąd usuwanie procentu od kapitału nie daje się pomyśleć w marzonym ustroju społecznym bez usunięcia renty od domów i gruntów, socjalizm, wywłaszczający fabryki, bez nacjonalizacji ziemi—gdyż nowy układ sił ekonomicznych musiałby osiąść nową równowagę i usunąć wszystkie przywileje własności naraz, jeżeli próbowałby nowej konstrukcji sprawiedliwości.

Uwaga do str. 88 § 40 (wiersz 11).

Błędnosc konstrukcyi nadwartosci, ujawniona za pomoca obliczen w konsekwencjach teoryi (§ 40—41) daje sie ujac podobniez w matematyczny sposob juz u samego zrodla:

Nastepujace obliczenie nasze unaoczni w formule algebraicznej roznicę pomiedzy ceną, opartą na hipotezie o stosunku zysku do czasu roboczego (*wartosci pracownej*), a ceną opartą na hipotezie o stosunku zysku do kapitału, wlozonego w przedsiębiorstwo (*wartosci kosztów*)—i tuszymy, *dowiedzie niezbitcie błędności tak częstego u Marksa i u Engelsa identyfikowania rezultatów obu hipotez.*

Niechaj $m + s + r$ oznaczają kapitał k , odpowiadający zużyciu maszyn, surowców, płacy robotniczej na pewną ilość fabrykatów, wytworzonych w ciągu jednego dnia w czasie t godzin:

$$m + s + r = k.$$

i niechaj ten kapitał przynosi zysk procentowy z .

Formuła ceny wówczas wyrazi się tak:

$$c = m + s + r + z.$$

Przypuśćmy, że:

$$m + s = \frac{k}{2}; \quad r = \frac{k}{2}$$

$$\text{oraz } z = \frac{k}{10}.$$

A zatem z podstawienia wypadnie, że

$$c = \frac{21}{20} k.$$

Teraz wyobraźmy sobie, że fabrykant podwaja ilość godzin roboczych (zamiast $t—2t$), nie dopłacając nic za to robotnikowi (r niezmiennie), jakkolwiek obecnie otrzyma w dzień podwójną ilość produktów oczywiście przy zużyciu podwójnej ilości kapitału w maszynach i surowcach (zam. $m + s = \frac{k}{2}$ wyjdzie teraz $2m + 2s = k$).

Jeżeli przypuścimy:

I) że zysk znajduje się w stałym stosunku procentowym do kapitału, to przy wkładzie obecnie

$$2 m + 2 s + r = k + \frac{k}{2} = \frac{3}{2} k$$

zysk dzienny urośnie do $\frac{3}{2} z$, a cena całej ilości otrzymanej wyrazi się tak:

$$c' = 2 m + 2 s + r + \frac{3}{2} z$$

czyli po podstawieniu:

$$c' = \frac{63}{40} k.$$

a połowa tej ilości towaru (t. j. taka sama ilość, jak w pierwszym przykładzie) cenić się będzie na rynku:

$$x = \frac{63}{80} k.$$

Znaczy to, że aczkolwiek sprzedaż całodziejnej produkcji obecnie przyniesie o $\frac{21}{40} k$ więcej ($\frac{63}{40} k - \frac{21}{20} k$),

to przecie cena spadła o $\frac{21}{80} k$ na teje ilości produktów

(mianowicie $\frac{21}{20} k - \frac{63}{80} k$).

Stosunek spadku:

$$\frac{21}{20} : \frac{63}{80} = 4 : 3 = 1 : \frac{3}{4},$$

co odpowiada zupełnie hypotetycznemu zyskowi na teje ilości fabrykatów ($z : \frac{3}{4} z$).

Jeżeli natomiast przypuścimy

II) że zysk rośnie w stosunku do zwiększenia czasu pracy, to przy wkładzie w podwojonym czasie (2 t!)

$$2 m + 2 s + r = k + \frac{k}{2} = \frac{3}{2} k$$

Zysk dzienny winien wzrosnąć do 2 z, a cena całej ilości otrzymanej wyrazi się tak:

$$c^2 = 2m + 2s + r + 2z,$$

czyli po przedstawieniu

$$c^2 = \frac{32}{20} k,$$

a połowa tej ilości towaru (t. j. taka sama ilość, jak w pierwszym przykładzie) cenić się będzie na rynku

$$y = \frac{32}{40} k.$$

Znaczy, że obecnie sprzedaż całodziennej produkcji przyniesie fabrykantowi o $\frac{11}{20} k = \frac{22}{40} k$ więcej ($\frac{32}{20} k - \frac{21}{20} k$), a spadek ceny wyniesie $\frac{1}{4} k = \frac{20}{80} k$ na tej-że ilości, (a mianowicie $\frac{21}{20} k - \frac{32}{40} k$).

Stosunek spadku w cenie tej-że ilości fabrykatów:

$$\frac{21}{20} : \frac{32}{40} = 42 : 32 = 21 : 16 = 1 : \frac{16}{21}$$

odpowiada zdwojonemu zyskowi (z : 2 z)

Zestawiając ceny tej samej ilości produktów we wszystkich trzech wypadkach otrzymamy:

$$\text{Cena produktów } c = \frac{21}{20} k = \frac{84}{80} k.$$

w czasie t

$$\text{Cena produktów}$$

w czasie 2t

$$\text{hip. I: } x = \dots \frac{63}{80} k$$

$$\text{hip. II: } y = \frac{32}{40} k = \frac{64}{80} k.$$

Stosunek cen równych ilości będzie następujący:

$$c : x : y = 84 : 63 : 64,$$

a przy zestawieniu cen ze sprzedaży produkcji całodziennej

$$c : c' : c'' = 84 : 126 : 128,$$

co odpowiada ustosunkowaniu zysków w tych trzech wypadkach, zgodnie z założeniami naszymi:

$$z : \frac{3}{2} z : 2 z,$$

jak potwierdza następujący rachunek

$$1) \frac{84}{80} k = \frac{80}{80} k + \frac{4}{80} k = k + z \text{ (bo } z = \frac{1}{20} k \text{)}.$$

$$2) \frac{126}{80} k = \frac{120}{80} k + \frac{6}{80} k = \frac{3}{2} k + \frac{3}{2} z$$

$$3) \frac{128}{80} k = \frac{120}{80} k + \frac{8}{80} k = \frac{3}{2} k + 2z \text{ *)}.$$

Jasną jest rzeczą, że rezultaty obu hipotez narastania zysku nie są jednakowe, że ekonomista musi wybrać bądź jedną, bądź drugą, że skoro wybór logicznie i ekonomicznie, zgodnie z zasadami III tomu „Kapitału,”

*) Pragnącym unaocznic sobie wykład algebraiczny przykładem arytmetycznym proponujemy wyobrazić sobie $k = 80$ rublom (co uprości podstawienie cyfr pod znaki algebraiczne).

Wówczas przy wkładach kapitału:

W dniu normalnym

Rs. 80

k

W dniu zdwojonym

i przy zdwojonej produkcji

Rs. 120

Rs. 120

$\frac{3}{2} k$

$\frac{3}{2} k$

ceny dziennej produkcji wyrażą się w cyfrach odnośnych:

Rs. 84

Rs. 126

Rs. 128

(Hyp. I)

(Hyp. II)

a zyski dzienne odpowiednio wyniosą

Rs. 4

Rs. 6

Rs. 8

z

$\frac{3}{2} z$

2 z.

Oczywiście, przy dziesięćkroć większym kapitale wszystkie liczby przykładu należy pomnożyć przez dziesięć i t. p.

pada na szalę hipotezy, która stosunkuje wzrost zysku ze wzrostem kapitału:

$$k : z = \frac{3}{2} k : \frac{3}{2} z \text{ (a nie } \frac{3}{2} k : 2 z \text{!)}$$

to i nadwartość, która jest sumą zysków podąża proporcjonalnie w ślad za zwiększeniami kapitału, a nie czasu roboczego. Czyli: teoria, konstruująca nadwartość na stosunku proporcjonalnym zysku i czasu pracy — upada.

Widać to już stąd, że w żadnym wypadku (I czy II) zdwojenie czasu roboczego, acz zwiększa dzienne zyski fabrykanta, nie może wpływać zdwajająco na ceny. Skutkiem zwiększenia podaży przy podwójnej produkcji dziennej i wpływów konkurencyi, ta sama ilość produktów, która dawniej kosztowała Rs. 84 (por. przypisek), kosztować będzie, *ceteris paribus*, przy hypot I — Rs. $\frac{126}{2} = 63$ r, przy hypot. II — Rs. $\frac{128}{2} = 64$ r.,

t. j. mniej, niż poprzednio. Podniesie się dopiero wraz z korzystnymi dla sprzedawcy zmianami na rynku, podnoszącymi procent od kapitału przemysłowego przez wzrost popytu na produkty.

W przedmowie do „Nędzy filozofii,“ w której wielki socjalista niemiecki Marks rozdziera nielitościwie na drobne kawałeczki wielkiego socjalistę francuzkiego Proudhonne'a za sprzeczności i błędy, podobne kubek w kubek do tych, które sam następnie uczynił w I i II tomie „Kapitału“ — wielki komentator i współpracownik Marksa, Engels, deprecjonując też wielkiego myśliciela — ekonomistę Rodbertusa, który jeszcze przed Marksem konstruował teorię socjalistyczną wartości na podstawach pracy — odzywa się z przekąsem pod adresem socjalistów — nie Marksistów.

„Kto pragnie w społeczności towarotwórców, wymieniających wzajem swoje produkty *ustalić określenie*

wartości za pomocą czasu roboczego, a równocześnie nie pozwala konkurencyi urzeczywistnić to określenie jedyną drogą, na której to się dziać może, mianowicie naciskiem na ceny — ten dowodzi, że przyswoił sobie, przynajmniej w danym razie, zwykle u *utopistów* mylne pojmowanie praw ekonomicznych.“

Nasz algebraiczny wykład wykazuje wszelako, że tej jedynej drogi urzeczywistniania określeń przez czas roboczy — nie masz; przeciwnie drogi konkurencyi i pracy w określeniu wartości rozchodzą się, a jeno... *utopiści* (Marksowskiej marki) wierzą, że... w rezultacie „nacisku“ konkurencyi, zdążającej w ocenie towarów za proporcjami kapitału i posłusznej wahaniom podaży i popytu na rynku, rodzi się cudownie, jak *Deus ex machina*, cena w proporecyi z ilościami przeciętnego czasu roboczego!...

Nie dowodzą tylko, jak to się dzieje!..

Uwaga 2-ga: Do str. 92 w. 29 i str. 93 w. 20.

Właściwie cała misterna teoria wartości Marksa, spleciona z tysiącami scholastycznych nici cienkości pajęczyny — daje się sprowadzić do następującej tezy, zawartej przez nas w jednym zdaniu:

Na burżuazyjno-kapitalistycznym rynku odbywa się stale *wymiana towarów po cenie, sprowadzanej przez siły konkurencyi (podaż i popyt) do wartości przeciętnego, społecznie — niezbędnego dla ich wyprodukowania czasu pracy*; przytem cały zysk z nadwyżki wartości towarów po nad wartość środków produkcji (maszyn, surowców, płacy zarobnej) dostaje się do kieszeni kapitalistów (przemysłowców i kupców), którzy zajmują się jedynie *sprzedawaniem nadwartości* t. j. nieopłaconego czasu pracy, wydartego przez gwałt warunków społecznych robotnikom; ci ostatni bowiem są jedyną klasą, której towar — *dzienna siła robocza*,

oceniony jest, jako jedyny wyjątek z reguły ogólnej, niżej czasu, potrzebnego na jej wyprodukowanie, t. j. niżej wartości czasu społecznie-niezbędnego dla wyprodukowania środków utrzymania: nadwartość nagromadza się ztąd, że fabrykant co dnia zabiera robotnikowi więcej godzin pracy, niż zwraca mu ich pod postacią środków utrzymania, stanowiących niesłusznie cenę wynajmu na cały dzień.

Pomińmy kwestję, że skoro dzień roboczy ulega ocenie konkurencyjnej w tej samej mierze, co i wszystkie inne towary, odchylane na rynku od istotnej wartości czasu do „abstrakcyjnej“ — to-ć ostatecznie w Marksofskiej teorii wartości na podstawach pracy otrzymamy „harmonię“, niedaleką od wydrwionej przezeń klasycznej „harmonii“ ekonomistów burżuazyjnych!

Wyobraźmy sobie, że ta teoria jest trafną od początku do końca—i spróbujmy w jej obliczu zastosować ową wymarzoną przez socjalistów zasadę: „każdemu cały produkt jego pracy“ na tle podanego przez nas cyfrowego przykładu, który wypadkowo może tak dobrze odbijać rzeczywistość, jak każdy inny, wzięty wprost z życia.

Albowiem przy pewnych warunkach podaży i popytu, struktury kapitału i płacy zarobnej (jak w naszym przykładzie) istotnie przeciętna cena godziny pracy w jednej gałęzi przemysłu może wypaść na rynku w sumie rub. 2.75 kop., a w drugiej — być równą $27\frac{1}{4}$ kop.

Jeżeli tedy robotnicy jednej i drugiej fabryki, opłacani jednakowo w 8-godzinnym dniu roboczym po $12\frac{1}{2}$ kop. za godzinę (rubla dziennie), zażądadają całego „swojego“ produktu — to 100 robotnikom z jednej fabryki wypadnie dodać, tytułem zwrotu, po 1 rb. 37 kop. za godzinę, t. j. po rb. 11 na głowę, a 1,000-owi robotników z drugiej fabryki wypadnie „zwrócić“ za całodzienną pracę tylko po 1 rb. 10 kop. na głowę.

Jedni dostaną tedy za roboczy dzień *takiej samej*, niewykwalifikowanej pracy (jak to było w założeniu), po 12 rubli — drudzy tylko po 2 rb. 10 kop.

Taki jest wywód z założeń „Kapitału“.

A i gdzież się podzieje upragniona równość w ocenie równej pracy?!

.

Kiedy Proudhon, tak nielitościwie smagany zjadliwym językiem Marksa — chwytany przezeń co krok na istotnie dziecinnych błędach rozumowania, na pomyłkach w rachubie, na pozerstwie „filozoficznym“ — oświadcza, że zamierza poszukiwać „konstytuującej wartości“, opartej na wymiarze pracy czasem, dla wcielenia jej w przyszłość drogami rewolucyi ekonomicznej — to przecie Proudhon w danym wypadku jest konsekwentniejszy od swojego nieubłaganego krytyka: bo przynajmniej nie głosi on, że w dzisiejszej strukturze społecznej dzieje się *już* to, co *powinno* być, według niego, zasadą *przyszłej* sprawiedliwości, nie miesza dogmatów obserwacyi z postulatami wyobraźni.

Natomiast poprostu zrozumieć niepodobna, jak mógł Marks jednocześnie domagać się dla przyszłości oceny pracy miarą czasu i pisać w „Nędzy Filozofii“ niedługo przed wydaniem „Kapitału“:

„*A zatem wymierzanie wartości wymiennej czasem roboczym okazuje się formułą współczesnego ucisku robotnika, a nie rewolucyjną teorią emancypacji proletariatu, jak chce Proudhon*“ (!)

Konsekwencje dwu sprzecznych założeń teorii Marksowskiej, mieszającej fakty z dezyderatami, dał nam poznać powyższy przykład: gdy przypuściliśmy jedno, że ceny towarów odpowiadają na rynku zasadom pomiaru przez czas i zapragnęliśmy wprowadzić rzeko-

mo „ten sam“ system pomiaru w ocenie pracy robotniczej dla naprawy krzywdy, wyrządzonej przez kapitalizm — przy przeniesieniu, miast scharmonizowania całej budowy i dostosowania jej ostatecznego do wymagań sprawiedliwości, ujrzeliśmy piętzące się nowe nierówności socjalne!...

* * *

Dziwacznie brzmiący zarzut Marksa pod adresem Proudhon'a daje się wyrozumieć tylko w jeden sposób: gdybyśmy wbrew uprzedniemu sformułowaniu teorii Marksa (na str. 102) uznali, że praca robotnicza nie stanowi wyjątku z ustalonych przez Marksa zasad oceny, i wraz z nim rzekli tak: *dzienna siła robocza, podobnie jak każdy inny towar, ceni się na równi z czasem, potrzebnym na jej wyprodukowanie* (więc nie niżej!).

Tak właśnie patrzy na towar-siłę roboczą fabrykant, przekonany o słuszności swojej oceny, kiedy *zabiera robotnikowi cały, jak najdłuższy dzień pracy, ponieważ dostarczył mu środków na utrzymanie siły roboczej przez cały dzień*. I przy takim postawieniu kwestyi mierzenie wymiennej wartości siły roboczej czasem roboczym (potrzebnym na jej wyprodukowanie!), można uznać w istocie za „formułę współczesnego ucisku robotnika“.

Jeno wówczas zachodzi pytanie, jak umotywić twierdzenie o *wyjatkowem* zdeprecjonowaniu siły roboczej i nawoływanie do oceny jej wedle... już obecnie istniejącej miary — czasu pracy?! *)

*) Socjalizm próbuje wywikłać się z tej trudności, kładąc w teorii reform nacisk po 1) na uregulowanie produkcji, mające zapobiedz obniżaniu w konkurencyjnej grze na tle hyperprodukcji wartości czasu, po 2) na bezpośredni podział produktów, mający usunąć wymianę, ten kardynalny grzech gospodarki kapitalistycznej.

ROZDZIAŁ V.

Ewolucja wymiany.

§ 44. Zatrzymajmy się teraz nad ideą wymiany wartości u Marksa, która, jak to wyjaśniliśmy, przybiera postać pewnej konstrukcyi historycznej, bo pod stosunkami dzisiejszej wymiany tkwią domyślnie wcześniejsze, starsze stosunki wymian pierwotnych, naturalnych, a następnie pieniężnych, będące źródłem dzisiejszych zjawisk ekonomicznych.

Według Marksa przy wymianie mierzą się wzajem dwa wysiłki pracy—dwa czasy, poświęcone na otrzymanie przedmiotu—szukają punktu równowagi i oddają się sobie lub raczej wzamian siebie z zadowoleniem pod warunkiem równości.

Otóż wolno postawić pytanie: dlaczego A gotów jest oddać swoją rzecz za rzecz B. tylko pod warunkiem że tamta rzecz kosztowała tyleż pracy, a zwłaszcza tyleż czasu pracy, bo element energii nie daje się wymierzyć, dlaczego, oddając większą pracę co do czasu czułby się pokrzywdzonym, a oddaniu mniejszej przeciwdziałać będzie podobnież poczucie krzywdy z drugiej strony?

Marks nie cofa się przed tem pytaniem. Odpowiada na nie napół domyślnie, napół wyraźnie: bo gdyby B. dał A. wytwór wymagający mniejszego czasu pra-

cy, to A. wolałby sam zrobić sobie rzecz pożądaną, niż pracować dłużej w celach niedogodnej wymiany. Tak samo postąpiłby B., gdyby wypadło mu produkować ciężiej t. j. dłużej, dla wytworzenia pewnej nadwyżki przedmiotów, obiecującej wymianę niedogodną.

W myśli Marksa powstaje jakgdyby wyobrażenie pierwotnego stanu produkcji, wyprzedzającego wymianę. Każdy człowiek produkuje wszystko, czego potrzebuje, dla samego siebie, na potrzeby własne—nic nie wymienia. Dopiero doświadczenie gospodarcze poucza go, że produkcja staje się bardziej płodną przy podziale pracy. Wówczas spostrzega każdy, że produkcja jednorodna, zaostrzając zdolności, oszczędzając czas, wytwarza znacznie więcej. Powstaje jakoby myśl o tem, aby A, zajął się jednym rodzajem produkcji, B.—innym, C.—jeszcze innym: wtedy każdy z nich wytworzy produktów znacznie więcej niż przez pracę różnorodną, a wymieniając nadmiar własnej produkcji na nadmiary cudzej, otrzyma z każdego szeregu rzeczy więcej, niż gdyby sam produkował. Bo teraz osobisty czas przynosi każdemu więcej t. j. przyniesie wszystkim w sumie więcej dóbr.

Wyjaśnijmy to za pomocą formuły algebraicznej. Przypuśćmy, że ktoś wyrabia $a + b + c + d + e$, że to wszystko równa się $5a$, to przy przypuszczalnem zdwojeniu produktyjności pracy przez jej podział wśród różnych osóbników, gdy jeden wyrabia tylko a , drugi tylko b , trzeci tylko c i t. d.—Każdy pracownik wytworzy $10a$, lub $10b$, lub $10c$ i t. p. Pozostawiając sobie teraz dla potrzeby własnej $2a$, miast jednego, wymieni pozostałe $8a$ na $2b + 2c + 2d + 2e$, czyli że każdy będzie miał dwa razy tyle, ile miał uprzednio, gdy sam na wszystkie swoje potrzeby pracował.

Domyślnem jest na mocy teorii Marksa, że podział ekonomiczny w tym sensie odbyć się musiał na-

samprzód pomiędzy rolnikiem a rzemieślnikiem, że jeżeli obaj, zanim podzielili swoje role gospodarcze, pracowali po 8 godzin dziennie—przez 4 godziny na roli i przez 4 godziny około rzemiosła — wystarczając wszystkim swoim potrzebom, to teraz, pracując po przypuszczalnie tyleż godzin, rzemieślnik odstąpi rolnikowi owoc swojej 4-godzinnej pracy i naodwrot, zachowując jednocześnie rezultat pozostałych 4 godzin dla siebie. Zysk z wprowadzeniem podziału pracy i wynikłej zeń wymiany wyrazi się w tem, że teraz każdy w ciągu 8 godzin wytworzy więcej jednorodnych produktów, zachowa sobie ich więcej i więcej otrzyma od kontrahenta, lecz w każdym razie za rezultat 4 godzin swojej pracy otrzyma rezultat 4 godzin cudzej. Ten idylliczny schemat, mający wyobrażać stosunki pierwotnej wymiany naturalnej, ponieważ napozór do wymiany na innych warunkach, jako niedogodnej, dojsć by nie mogło, przenosi Marks przez swoje wyobrażenia i abstrakcje ekonomiczne w dziedzinę naszego świata gospodarczego. Słynne z wykładów Kautskyego hipotetyczne pierwsze 4 godziny w przykładowym 8-godzinym dniu roboczym, opłacone przez fabrykanta, kiedy to robotnik pracuje na siebie, mają równać się przypuszczalnie takiej ilości środków utrzymania, w pierwszym rzędzie żywności, która daje się wytworzyć również w ciągu hipotetycznych 4 godzin pracy rolniczej—a obie te ilości pracy w czasie równają się płacy roboczej, czyli, jak wypadaloby przypuścić, ilości czasu potrzebnej przeciętnie dla wydobywania i przekucia na pieniądź odnośnej ilości metalu.

§ 45. Niestety, cała matematyczno-historyczna idylla odbywa się tylko w budującej abstrakcji wyobraźni uczonego, nie ma i nie miała nigdy odpowiednika w życiu rzeczywistym.

To przypuszczenie, że kiedyś ocena produktów pracy przy wymianie rozpoczęła się od porównywania zu-

żytych wysiłków trudu, albo potrzebnego do produkcji czasu nie wytrzymuje krytyki historycznej.

Wymiana — jak słusznie zauważył Simmel — była „wielkim odkryciem w dziejach ludzkości.“ Upłynęły wieki całe, zanim człowiek spostrzegł, że miast odebrać komuś to, co mu się podoba — narażając życie własne, gdy pożądany przedmiot trzeba było wydrzeć siłą, bądź zabić innego, bądź być zabitym, bądź nie zabiwszy narażać się w przyszłości na zemstę z rąk pokrzywdzonego — dogodniej jest oddać innemu coś w zamian z tego, co posiada w nadmiarze, a co tamtemu podobać się może, lub być potrzebnem.

Ale ta pierwotna wymiana zachodziła odrazu na gruncie kapryśnej oceny — której błędność szerzyła się we wszystkich kierunkach w nieokreślonym zakresie.

Człowiek pierwotny, starodawny rolnik lub starodawny rzemieślnik nie był Marksistą, nie znał teorii pracy, nie obliczał swojej i cudzej ofiary w stosunkach wymiennych w jednostkach czasu, miał o czasie, o stopniu własnego trudu, a zwłaszcza o stopniu cudzego trudu bardzo słabe pojęcie, chociażby sam przechodził przez liczne zawody — albowiem nieuregulowana praca pierwotna zawierała najrozmaitsze napięcia czasu i energii.

Na pierwotnej wymianie ciąży najczęściej okrutny mus egoizmów gwałtownych, bądź zrzadka barwi ją łagodny blask altruizmu starodawnej komuny z jej narastającą solidarnością wśród grup pokrewnych. Już zachodzi akt wymiany, ale długo jeszcze brzmi w niej akcent od strony mocniejszego fizycznie kontrahenta: „musisz wziąć, co ci dają“ — i odpowiednie poczucie słabszego: „muszę wziąć, co mi ofiarują, bo inaczej nic nie dostanę.“ W stosunki wymienne wciska się groźba gwałtu, schowanych pazurów drapieżcy, które lada chwilę odłonić się mogą. Do gwałtu dołącza się pierwotne naiwne oszustwo, chytryść ludzi dzikich, której ulega

mniej rozwinięty umysłowo. Z drugiej strony w stosunkach wymiennych wśród grupy widnieje solidaryzm wspólnej pracy wszystkich dla wszystkich, wzajemnej pomocy dla celów zbiorowiska, z kąd w późniejsze akty właściwej wymiany przedostaje się wspaniałomyślna nieobliczalność: „daję ci tak wiele, bo znalazłem lub zebrałem lub zrobiłem tego bardzo wiele, a sam tego nie potrzebuję, natomiast pilno potrzeba mi tego, co ty masz, znalazłeś, zebrałeś lub zrobiłeś.“ Tu ludzie oszukują nie tylko innych, częstokroć oszukują samych siebie, ponieważ nie posiadają zdolności przewidywania swoich potrzeb, nie cenią tego, czego nie potrzebują na razie, co zbywa na jutro.

Natarczywa pilność potrzeby, jaskrawe apetyty dzielnego człowieka, namiętność pożądania chwilowego — wszystko to odbija się na akcie wymiany. Mocniej zainteresowany nie jest w stanie ocenić swojej i cudzej ofiary; to, co sam ma, a czego nie potrzebuje na razie błędnie w jego poczuciu wartościowym; to, co może otrzymać od drugiego, co go mocno pociąga, nabiera dlań wysokiej wartości, nie budzi pytania, z jakim trudem, w jakim czasie ów drugi doszedł do posiadania pociągającej go rzeczy. Podobnież dziki w stosunkach z ludami cywilizowanymi jest zupełnie w porządku ze sobą, gdy znosi bryły złota, lub skóry zwierząt, upolowanych z niebezpieczeństwem życia, za baryłkę wódki, lub za garść szklanych paciorków. Nie wie, czy jest oszukany — i prosto nie jest zdolny postawić pytania, czy mogą go oszukać. Wie, że czegoś chce mocno, i że gotów jest za to dać to, co inni żądają, gdy nie ma chęci lub śmiałości przemocą wydrzeć pożądany przedmiot, gdy brak mu po temu sił, lub nie chce ich ryzykować w walce bez dostatecznej po temu potrzeby.

§ 46. Jednym słowem, pierwotna wymiana zachodzi w warunkach naturalnej nierówności. Błądność

wyobrażenia Marksowskiego polega na tem, że w jego konstrukcyi ekonomicznej domyślnikiem jest, iż każdy wszystko mógłby sam mieć dzięki własnej pracy, że każdy sam potrafiłby wszystko zrobić, że pierwotne warsztaty pracy—jeżeli tak wolno wyrazić się—są równe dla wszystkich, że jakgdyby osobniki odstępują od nich w celach wzmożenia bogactw przez podział, zachowując dla siebie tylko jeden warsztat, jeden zawód — rolniczy, lub rzemieślniczy, ten lub inny gatunek tego ostatniego. Tę konstrukcję, zgoła fałszywą, niebywałą w historii—bo pierwotna wymiana handlowa rozpoczyna się właściwie między różnymi grupami, opartymi na odmiennych warunkach naturalnych — Marks przenosi dowolnie na nasze stosunki. Nie odpowiada ona przeszłości, ponieważ grupy, które mają to samo podłoże naturalne i te same uzdolnienia pracownicze, nie miałyby powodu wchodzić ze sobą w stosunki wymienne: z góry założyć trzeba, że jedna grupa ma zapas dóbr w naturze odmienny od innej i inne rzeczy wydobywa i wyrabia, skoro uczuwa potrzebę skorzystania z wymiany. Nie odpowiada ta konstrukcja i terażniejszości, bo wyobrażać sobie, że robotnik, gdyby nie był wynajęty do pracy fabrycznej, mógłby sam wypracować dla siebie żywność pracą rolniczą — jest to przeczyć faktom oczywistym, przeczyć pozycyi historycznej człowieka, który znalazł się na bruku miejskim, nie oglądając nigdy roli, zawłaszczonej przez inne ręce. A jak w pierwotnych warunkach grupa przystępuje do wymiany z drugą grupą, ponieważ tamta w razie gwałtu obroniła by swój stan posiadania, i sama gotowa jest siłą bronić tego, co posiadała, tak nad naszymi stosunkami ekonomicznymi ciąży historyczne stosunki prawne, oparte na sile fizycznej, na podboju ziemi przez silniejszych, wydziedziczeniu słabszych, wykluczeniu ich z posiadania dóbr naturalnych, na zapewnionej przez państwo pozycyi

klasowej, na wyrobionych w pewnym kierunku pojęciach moralnych o własności prawnej, na całym systemacie politycznym, ochraniającym stosunki ustalone i t. p.

Abstrahująca myśl, w imię nowych ideałów moralnych, może porównywać nadmierną długość dnia roboczego z małą ilością żywności, którą otrzymuje się za dzienny zarobek i odgadywać, że czas pracy na zdobycie jej jest o wiele mniejszy — ale będzie to tylko fantazja, która nie dokonała ani pomiarów, ani obliczeń statystycznych, która nie liczy się zupełnie z warunkami realnymi, z ceną żywności, z ceną dnia roboczego, z wartością złota, z tem wszystkim, co wytworzyło się w stosunkach historycznych. Realnie biorąc rzeczy, możemy stwierdzić jeno to, co nam brutalnie powiada głos rzeczywistości: „za taką a taką sumę można dostać tyle a tyle żywności — i za taką a taką sumę wezmę od ciebie cały twój dzień roboczy“. Może to być za mało, może to być uczuwane, jako krzywda, może tu być punkt odbicia dla wszelkich reform, wszelkich żądań skrócenia dnia roboczego, wszelkich zmian umowy między fabrykantem a robotnikiem, ale niema tu żadnej ściśle naukowej zasady — jeżeli chodzi nie o abstrakcje idealistyczne, lecz o zgodność z ewolucją historyczną pojęć ekonomiczno-prawnych — do powoływania się na niewiadomy, nieobliczalny i nie stosowany nigdy w życiu stosunek godzin pracy na wytworzenie pewnej części produktów fabrycznych i pewnej ilości środków żywnościowych. Jest to niemożliwem zwłaszcza z tego względu, że ogniwo pośrednie — metal, który jest wyrazem środków dziennego utrzymania i pracy roboczej dnia fabrycznego, również nie działa i nie działał nigdy na obie strony jednostajnie, nie pytał i nie pyta o stosunek czasowy, a według przyznania samego Marksa, uchyla się od określeń w czasie. Bowiem, jak powiada

Marks, „złoto bodaj nigdy nie było należycie opłacone“, t. j. wedle czasu i trudu poszukiwaczy.

Z tego wszystkiego wyprowadzamy wniosek niezmierniej wagi: nasza cena jest niesprawiedliwą—ale jest ona niesprawiedliwością historyczną, jest dziedzictwem miliarda błędów nagromadzonych w ocenie przez wieki gwałtu, oszustw, lekkomyślności, kaprysów, żądz, natarczywej potrzeby jednych i szczęśliwej pozycyi drugich, fałszywych wyobrażeń moralnych, błędnych pojęć prawnych, twardych stosunków społecznych, przywilejów i uposędzeń i t. d. i t. d.

Taką jest cena ewolucyjna. Pojęcie pracy, jako energii, i jej wykładni w funkcjach czasu—oddziaływało tu ukośnie, ale nie było nigdy jedynym regulatorem oceny, bo nie zajmowało nigdy całego pola psychiki indywidualnej i socjalnej.

§ 47. Zaprawdę, niepodobna wyobrazić sobie nic mniej sprawiedliwego, jak wymiana pierwotna. Prawo pierworodztwa oddane za miskę soczewicy — oto jej słaby jeszcze symbol. Nie mogło tam być żadnej idei sprawiedliwości — bo zdolność oceny cudzego wysiłku, cudzej pracy, cudzego czasu rodziła się powolnie w ciągu całych wieków i dziś jeszcze jest w fazie kształtowania.

Najwyższą rolę w aktach wymiennych grała idea: on to ma, a ja tego chcę. A owo coś w obcych rękach nabierało wagi, bez względu na to, jak znalazło się w nich, przez jaki nakład energii, czasu, przez pracę, czy przez gwałt nad osobą trzecią. Tam, gdzie tak wiele zależy od szczęśliwego wypadku, od udatnego polowania, od zwycięskiej bitwy, gdzie dobra tylekroć przychodzą nie po drogach pracy—idei cudzej pracy niema i nie może być w formie wyraźnej, a przykład jej na możliwość własnej pracy nie odbywa się, gdyż nie każdy osobnik ma sposobność i zdolność zdobywać wszyst-

ko. Siła pożądania zabije ocenę swojej własnej ofiary, jeżeli tylko ofiarujący posiada pewien nadmiar, a nawet gdy go niema—bo rozwagi człowiek nabiera dopiero na drodze gorzkich doświadczeń i dopiero w długim rozwoju uczy się poskramiać żądze chwili i nie sprzedawać za ich zaspokojenie ciężkich trudów przeszłości i ostrożnych nadziei przyszłości. Zawód z wymiany otwiera z czasem oczy na oszustwo świadome lub nieświadome drugiej strony, która działa w wymianie pod wpływem takich samych motywów psychicznych, w tej samej atmosferze społecznej.

Kto pragnąłby zdać sobie sprawę z tego, jak daleko sięga błąd w ocenie pierwotnej, niech przypomni sobie te dzikie ludy, co za monetę używają ryb i muszli. Zdarza się, że ilość muszli pewnego kształtu i wielkości uważają za równoważną z ilością wszelkiego rodzaju rzeczy pewnych rozmiarów. Zdarza się, że przedmioty nabywane układają wzdłuż ryby, uznając długość szeregu za równoważną długości ryby i nie myśląc ani na chwilę o tem, że ani długość nie może być miarą wartości wogóle, ani sama długość bez szerokości nie może dać miary wartości ryby — jeżeli pominąć nawet różnorodność smaku każdego gatunku ryb.

Ta przypadkowość przebija się i w naszych stosunkach—tam, gdzie jeden i ten sam towar w sprzedaży detalicznej mierzy się dowolnie, ówdzie objętością (na kwarty), ówdzie wagą (na funty), aczkolwiek stałego stosunku pomiędzy objętością a wagą niema.

Ogrom błędnych ocen przeszłości ukrywa się pod strukturą ekonomiczną naszego czasu — dając folę kaprysom cen monopolowych, chciwości indywidualnej, wspaniałomyślnym przysypkom, losowym dodatkom, cenom rabatowym, różnicom cen *en gros* i *en detail*, nawet bezczelnemu oszustwu, które bezwartościowe maście sprzedaje po drogich cenach, albo—jak opowiada aneg-

dość bliska rzeczywistości — segreguje jeden i ten sam gatunek kawioru dla rozmaitych rang klienteli, bowiem zamożniejszy chętnie opłaci droższą etykietę.

Niesprawiedliwa cena naszych czasów jest dzieckiem niesprawiedliwszej ceny dawnych i stanowi rdzeń niesprawiedliwości naszego ustroju, otwierając jednym szlaki wzbogacenia się i użycia, innym ciężkich trudów i szarego bytu.

§ 48. Świadomość ekonomiczna wartości człowieka, jako siły roboczej, jako energii, która ma większe prawa prócz podsyceń w celach dalszej pracy na cudzą korzyść, jako czasu, który nie może być poświęcony w całości cudzej prywacie — ta świadomość jest dopiero w zaraniu swego moralnego rozwoju.

Albowiem świadomość wartości pracy ludzkiej wogóle urodziła się przedewszystkiem w nieszlachetnej ryczałtowej formie — jako siły *niewolnika*. W formie ryczałtowej — bo nie jako ilość siły, zużytej przez niewolnika do danej pracy, lub jako ilość czasu, zużytego przezeń w danym kierunku, lecz jako pełnia roboczej siły człowieka na cały szereg lat, do końca życia, tak długo, jak pracować będzie w stanie...

A skoro wartość niewolnika konstruowała się w zależności od trudów wojny, nie pracy, na podstawie większej lub mniejszej łatwości dokonania gwałtu nad cudzem życiem, na gruncie szczęścia wojennego — to i produkty pracy niewolniczej nie mogły znajdować się w żadnym prawidłowym stosunku do czasu lub energii, wydatkowanych przez niewolnika, nie branych nigdy w ścisłą rachubę. Epoka gwałtów nad człowiekiem musiała być zarazem epoką rozrzutną. Siła robocza niewolnika musiała nie być cenioną wysoko, skoro za byle co katowało się go na śmierć, lub rzucało dla fantazyi patrycjuszowskiej pokrajanego na pożarcie muronom. A stosunki te panowały nie tylko w greckiej

i rzymskiej epoce. Europa średniowieczna i Ameryka nowożytna dała nam obrazy podobne, krwawym batem wypisane na skórach białych i czarnych murzynów. Niezbyt oddaliły się też od nich stosunki poddaństwa chłopskiego przed uwłaszczeniem, i dziedziczny ich ciężar dźwiga na sobie praca najemna okresu kapitalistycznej produkcji. Jakże to wszystko jest dalekie od idylli porównania pomiędzy czasem pracy przemysłowej, a czasem pracy rolnika, na której do niedawna leżało piętno niewoli!

§ 49. Dodajmy jeszcze dla wzmocnienia charakterystyki, że świadomość wartości życia ludzkiego w charakterze pracy niewolniczej również nie jest pierwotną, że i ona, jakkolwiek jest niską, ujętą została dopiero przez rozwój, na stosunkowo wyższych szczeblach kultury.

Kiedy król Dawid wycinał w pień ludność pobitego miasta, to dla tego, że ówczesny Izrael nie domyślił się jeszcze, że pobitych można zaprzęgnąć do pluga, nałożyć do niewolniczej pracy. Okoliczne ludy, które tępił, stały oczywiście na wyższej stopie kultury, bo, mszcząc się na Dawidzie, królowie ich zabierali najczęściej pobitych Izraelczyków do niewoli. Później Dawid nie trwonil już tak mocno ewentualnego majątku w sile roboczej pobitych, bo nauczył się ją cenić. Tak większa łagodność w obęjsciu z pobitymi szła w parze z większym wyrachowaniem ekonomicznem; kultura moralna rozwijała się wraz z gospodarczą. Podobnie Izrael przestał podrzynać żyły tysiącom zabranych na wojnie koni, jak to był czynił za Saula, kiedy już nauczył się zaprzęgać konie i powozić.

§ 50. Stosunek ekonomiczny pomiędzy wartością pracy rolnej, która niedawno dopiero wyszła z okresu poddaństwa, a wartością pracy przemysłowej, która

niedawno weszła w żelazne karby burżuazyjnego wynajmu — jeszcze oczekuje swojego badacza.

Niezmiernie trudno jest ocenić, jak podziałł na obie strony wdzierający się klinem pomiędzy pracę na roli i pracę przy warsztacie zwycięzki, kapiący złotem, wyzyskujący potrzebę środków wymiennych handlowy kapitał — nagromadzony pieniądz. Czy był jednakowo srogi dla obu stron, czy sroższy dla jednej? czy mocniej ulegał potrzebie żywności, boć złotem sam najeść się nie mógł, czy raczej dyktował dumnie prawa nadmiarowi chleba, poszukującemu dogodnych środków dla wymiany na produkty przemysłu? czy zdeprecjonował mocniej wartości rolne, czy rzemieślnicze, w ich niepewnym, po krętych liniach utrudnionej wymiany naturalnej wyrabiającym się stosunku? Na te pytania nikt jeszcze wystarczająco nie odpowiedział; większość ekonomistów nie postawiła ich jeszcze. A przecież posiadają one wagę niesłychaną. Gdyby były rozwiązane na mocy badań nad faktami rzeczywistości historycznej, abstrakcyjna wiotkość konstrukcyi Marksa, równającej część czasu fabrycznego z częścią czasu rolniczego w tyglu płacy zarobnej, stała by się widoczną oczom wszystkich.

Zróbmy bowiem następujące przypuszczenie: niechaj rolnik pracuje na wyjątkowo odpornej roli 16 godzin dziennie, niechaj robotnik pracuje w fabryce tylko 8, niech fabrykant za pracę całodzienną ofiaruje robotnikowi kwotę, równą 8 godzinom pracy rolnika, niech ta ilość odpowie tylko utrzymaniu robotnika, niechaj fabrykant, sprzedając wytwory robotnika, otrzyma ilość pieniądza podwójną, potrójną, poczwórną w stosunku do płacy zarobnej — z punktu widzenia Marksa nie będzie nadwartości, nie będzie eksploatacyi, nie będzie wyzysku, gdy przecie z punktu widzenia moralności, przed oczyma naszego zdrowego sądu, naszej dzisiejszej

zdolności do oceny faktów ekonomicznych, niewątpliwie robotnik ów został skrzywdzony przez fabrykanta, choć otrzymał za 8 godzin pracy swojej 8 godzin pracy cudzej—został skrzywdzony, bo zyskał na nim niezmiernie wiele próżnujący kapitał, bo wyzyskał tę okoliczność, że trud rolnika wedle warunków naszego przykładu okazał się jeszcze mocniej zdeprecjowany, niż trud fabryczny.

Jeżeli trudno sobie wyobrazić tak wielką deprecjację środków żywności i przeciw naszemu przykładowi łatwo byłoby powołać się na to, że przeciętny, społecznie-niezbędny czas nie może wytwarzać tak niewielką ilość żywności (8 godzin na utrzymanie jednego człowieka), to przecie godzi się zwrócić uwagę i na to, że względna taniość środków żywności nie stoi i nigdy nie stała w stosunku prostym do czasu pracy na roli, a konstruuje się na podstawie niezmiernie skomplikowanych historycznie stosunków własności ziemskiej i na podłożu renty gruntowej, której proporcje w swoich tysiącznych wahaniach nie podążają bynajmniej po nieokreślonych śladach czasu, poświęconego na sianie, kośbę, żniwo i t. p. A skoro ów miernik-czas kruszy się pod produkcją rolną, opartą na stosunkach renty z własności gruntowej, to zapada się na przeciwległym, przemysłowym biegunie cała misterna konstrukcja Marksa, zbudowana według planu równowagi czasów — fabrycznej pracy robotnika na siebie i rolniczej pracy, dostarczającej mu chleb w wymianie na rynku.

§ 51. Nieodpowiedniość całej tej budowy teoretycznej rzucić się musi w oczy zwłaszcza wówczas, gdy postawimy ją w ponurem oświetleniu, padającym z kart historii złota. Nie podobna czytać bez zgrozy opowieści o tem, na jakiej drodze rzucone zostały na rynki Europy pierwsze wielkie masy złota. Przypomnijmy sobie, że hiszpańscy awanturnicy, w rodzaju Cortezów

i Pizzarów, zawdzięczali olbrzymią zdobycz swoją nie tylko energii i wytrwałości, trudom długich podróży po oceanach i lądach, ale w znacznej mierze środkom ohydne go gwałtu i ohydnej zdrady. Przypomnijmy sobie Gwatemozina, króla Inkasów, w chwili, gdy, uwięziony przez gwałt zdradziecki, podnosi rękę i przyrzeka chciwym swoim dozorcóm napelnić do wysokości palców swoich cały pokój złotemi blaszkami i naczyniami ze złota w nagrodę za wolność; przypomnijmy, że napelnia go po kilkakroć złotem, a chciwi hiszpanie nie dotrzymują słowa.

Czy to złoto było zdobyte łatwo, czy z trudem? Niewątpliwie z trudem, bo wymagało nieustraszonej energii; niewątpliwie łatwo, jeżeli to, co zyskuje się ostatecznie przez gwałt i podstęp, fałsz i zdradę, uważać za łatwy sposób zarobkowania. Tak, lub inaczej, w tym złotym deszczu niepodobna odłączyć i zważyć oddzielnie elementów uczciwej pracy i zbójckiej grabieży. A już najmniej daje się ta zdobycz ustosunkować w jakikolwiek sposób do czasu podróży po morzu i przez gąszcz lasów dziewiczych, do czasu — pozwólmy sobie na żart właściwy — więzienia króla Peruańczyków.

Pomyślmy na chwilę o tem, jak posuwa się gzyzgakami wartość złota, jak spada nagle w chwilach przypadkowych odkryć kopalni, jak podnosi się naraz w momentach wzmożonej cyrkulacji handlowej, jak w nieokreślonem tempie wdziera się w stosunki ekonomiczne różnych krajów, jak waha się, trafiając na rynki w środowiskach o gęstem zaludnieniu, jak mocno zależną jest od zmian podaży i popytu we własnej sferze i w sferze całego obrotu handlowego, jak wreszcie daleką jest od proporcjonalnego stosowania się do przeciętnego czasu pracy wydobywania — pomyślmy o tem wszystkim, a potem zapytajmy: kto uwierzyć zechce, że istnieje jakakolwiek równowaga pomiędzy czasem,

tkwiącym w pracy-towarze, a czasem, tkwiącym w pracy-pieniądzu. Gdzie jest racja po temu, aby w poszukiwaniu istotnych praw, rządzących gospodarstwem społecznym, rozrywać związek pomiędzy każdym towarem a pieniądzem i nawiązywać go pomiędzy wszystkimi towarami, przywracając myślą stosunki wymiany naturalnej? Jeżeli proporcja czasów pracy, co się rzuca w oczy, co przyznaje sam Marks, nie gra roli w stosunku towarów i pieniądza—to cena, to wartość wymienna, która jest tym stosunkiem, nie opiera się na pracy, na jej czasie. Jeżeli przypuścić dalej, że ta proporcja grała kiedykolwiek rolę w stosunkach towarów pomiędzy sobą, co przeczy zresztą całej historii wymiany — to i w tym wypadku już od tego momentu, gdy stosunki towarowe przełożone zostały na pieniężne, wypadłoby liczyć usunięcie z gospodarczego ustroju ocen wartości wedle czasu pracy. Czas pracy nie był miernikiem przed wtargnięciem pieniądza, nie jest nim tem bardziej od chwili, gdy na rynku zjawił się pieniądz i jął dyktować ceny w rozgwarze i zgiełku popytu i podaży wszystkich towarów, włączając w to i sam metal, z którego pieniądz powstaje *).

*) Wysoce anormalny stosunek złota do naszych towarów na rynkach, zwłaszcza na rynkach europejskich w początkach VI wieku, nie jest czemś jedynym. Taką samą anomalję pod wielu względami stanowią towary kolonialne, stanowią do dziś, jeśli zważyć warunki, w jakich są zdobywane, choćby na mocy opisów Multatuli.

Kto zechce na serjo twierdzić, że ta praca i jej czas—praca nieszczęśliwych tubylców na Jawie — równoważy się w jakibądź sposób z pracą angielskiego lub amerykańskiego robotnika w naszych ocenach wartościowych. Gdyby tak było, towary nasze byłyby znacznie droższe, bo surowce poszłyby w górę. Socjalizm nasz myśli miłośnie tylko o robotniku krajów kulturalnych, a proletarjat fabryczny Europy w rachubach swoich wciąga na *conto* swojej domyślnej własności nieopłacony należycie czas robotnika kolonialnego!

ROZDZIAŁ VI.

Założenia „Kapitału“.

§ 52. Dopiero po tak szerokim rozbiorze i oświe-
tleniu głównych podstaw teorii Marksa możemy poka-
zać czytelnikowi na kilku szczegółach, jakim sposobem
Marks przyszedł do zbudowania tak widomie opacznej
teorii. Teraz możemy już liczyć na ufność czytelnika,
teraz będzie on w stanie — jeżeli nie my błądzimy
w zbytnej względem siebie ufności — przyjrzeć się
zbliska, jak poczyną się i rośnie błąd Marksowskiej
teorii.

Dość zwrócić się do pierwszych kart „Kapitału“,
aby potem, cośmy rzekli, ocenić dogmatyzm twierdzeń
Marksa, apodyktyczność jego zasad, przyjmowanie w za-
łożeniu tego, co być dowiedzionem powinno.

Jasnym jest, że na każdą rzecz patrzeć można
z wielu punktów widzenia, bądź ze względu na jej
cechy materialności, bądź na rys użyteczności, bądź na
jej charakter — rezultatu pracy, bądź na jej zdolność
wchodzenia w stosunki wymienne. Nie ulega wątpli-
wości, że woino jest abstrahować myślą każdy rys
i że Marks ma zupełne prawo wyłączać z pojęcia rze-
czy wszystkie cechy i zatrzymywać w rezultacie pro-
cesu abstrahującego tę cechę, którą jest treść pracy.

Ale wyłączwszy tę cechę, jako pozostałość po odłączeniu cech materialności i użyteczności, Marks przyjmuje zupełnie samowolnie, że właśnie ta cecha, t. j. wyjście z rąk pracy stanowi o wartości wymiennej przedmiotów. Toć tak samo klasyczna ekonomja wyosabniała cechę użyteczności i z jednakowem prawem uznawała ją za podstawę wartości.

Marks pisze: „prócz użytkowej wartości towaru pozostaje w nim jedna tylko właściwość, mianowicie właściwość jego, jako produktu pracy“. Nie wystarcza mu ta jedna abstrakcja; pragnąc jaknajmocniej odbarwić rzecz z jej cech istotnych, nawet z cech różnogatunkowości pracy, która napomykałaby o niebezpiecznych różnicach energii i zdolności, Marks abstrahuje dalej: „Jest coś wspólnego pomiędzy wszystkimi robotami; wszystkie one jednakowo wymagają ludzkiej pracy, abstrakcyjnej pracy ludzkiej, wymagają zużycia siły roboczej“.

I tu naraz wyczytujemy podany bez żadnej argumentacji wniosek: „wartość użytkowa lub rzecz posiada przeto (?) wartość jeno dlatego, że w niej skrystalizowany został abstrakcyjny trud ludzki“.

A przecie z równem prawem, dokonywując abstrahowania w innej kolej, moglibyśmy rzec: „produkt ludzkiej pracy posiada wartość jeno dlatego, że skrystalizowana w nim jest idea użyteczności“.

Mielibyśmy prawo zupełne na takie przekształcenie, albowiem powyższej formule Marksa wolno przeciwstawić zaprzeczenie: użytkowa wartość posiada wartość (wymyenną) chociażby nie była produktem ludzkiej pracy, boć posiada ją każda rzecz, którą bez trudu jednym ręką daje natura, gdy nie mają jej drugie, równie pożądlive: ma wartość muł rodzajny, przybity falami do brzegu i ziemia rodzajna, ustępująca z pod wyschłej rzeki.

•

A tuż zaraz po przytoczonej wyżej cytacie Marks dodaje: „mimowoli zjawia się pytanie, jak zmierzyć wielkość pracy? Na to odpowiadamy: ilością zawartej w niej wartości substancji twórczej, t. j. pracą. Ilość zaś samej pracy mierzy się jej trwaniem“. Jest to odpowiedź na pierwszych kartach „Kapitału“, odpowiedź przyjęta z góry, zadyktowana czytelnikowi bez żadnej argumentacji, jako coś, co się samo przez się rozumie.

„Możliwą jest rzeczą — pisze tuż zaraz Marks — że w Anglii po wprowadzeniu warsztatu tkackiego np. pokazało się, że wystarcza obecnie połowa pracy, którą wydawano wprzód na przemianę danej ilości przędzy w tkaninę.“

Otóż produkt obecny, zdaniem Marksa, obecnie przedstawiać jął jeno połowę społecznej godziny robotycznej (dawnego porządku), a dlatego (?) zniżył się o połowę poprzedniej wartości. Godzi się przecie wątpić, czy istotnie życie w swojej ocenie poszło drogą tak dokładnej proporcji, czy kapitał, korzystający z nowych maszyn, tak łącznie zniżył ceny do połowy, gdy mógł niewielką zniżką konkurować zwycięsko z ręcznym tkaczem, albo czy nie zniżył ceny więcej, niż o połowę, aby, zasypując rynek towarem, zarobić na większym obrocie. Jeżeli zaś cena mogła się zniżyć tak o $\frac{3}{4}$ jak i o $\frac{1}{4}$ w stosunku do obrachowań kapitalisty, jakkolwiek czas roboty zmniejszył się równo o połowę, to zachodzi pytanie, jaka to tajemnicza wartość zastosowała się do zmiany czasu, jeśli nie była nią wymienna. Odpowiadamy: żadna. Pod twierdzeniem Marksa, że „wartość zmalała do połowy, bo czas pracy zmniejszył się o połowę“ kryje się tautologja, gdyż właściwie ta „wartość.“ którą konstruuje Marks, nie oglądając się na zmiany faktyczne ceny — jest tylko symbolem jedynej funkcji — czasu, odbiciem jednej tylko zmiany — w czasie.

§ 53. Gdy tedy Marks na zasadzie swojej *hypotezy* o spadku wartości do połowy w danym wypadku wyrokuję: „a zatem (?) wielkość wartości towaru, czyli wartości użytkowej, określa się tylko (?) ilością społecznie niezbędnej pracy, lub społecznie—niezbędnego czasu roboczego“—to wszędzie tutaj mamy do czynienia z terminem „wartość“ w charakterze nowej konstrukcji teoretycznej, formułki abstrakcyjnej, której odpowiednikiem jest sam czas—ale która nie jest nam w stanie nic powiedzieć o faktycznej wartości wymiennej.

A kiedy Marks powiada zaraz na pierwszych kartach „Kapitału:“ „Wiemy teraz, co jest istotą wartości—to praca. Wiemy, co jest miarą jej wielkości: to czas roboczy“—choć przystępuje on do budowy gmachu na tej swojej wiedzy, my.. nic właściwie nie wiemy.

Wiemy tyle tylko, że zabierając się do owej budowy na chwiejnych podstawach dowolnej abstrakcji, ułatwia on sobie zadanie, wyrzucając poprostu za granice dzieła wszelkie przeszkody.

§ 54. Oto naprzód zapowiada: „Jeżeli rzecz nie jest pożyteczna, to praca zawarta w niej jest bezpożyteczna, nie uważa się za pracę, a przeto nie stwarza żadnej wartości“—gdy tu właśnie na drodze jego teorii leżał olbrzymi kamień, że może istnieć „praca, która nie uważa się za pracę,“ energia, nie mająca żadnej ceny na rynku, czas zmarnowany w pocie czoła, którego społeczność nie opłaca. Użyteczność, której wyznaczono skromne miejsce warunku wartości tłoczy się na scenę, jako potężny motyw w ocenie wartości na rynku, zagłuszający niemal pytanie, czy oraz ile pracy wymagała rzecz; dość, że jest użyteczna *).

*) „Praca nie jest jedynym źródłem użytkowych wartości—przyznaje Marks. Trud jest ojcem, ziemia—jego matką.“ Otóż to—dobra cenione są nieraz wedle zasług matki, a nie ojca.

§ 55. A oto druga zapowiedź z I rozdziału, jak i wszystkie powyższe cytaty:

„Rozmaite stosunki, w których różne formy pracy sprowadzają się do prostej pracy, jako do swojej jedności pomiaru, ustalają się na mocy jakiegoś (?) społecznego procesu, bez wiedzy producentów i zdają się im jakimś panującym zwyczajem. Ztąd wypada, że przy analizie wartości każdy rodzaj pracy należy (?) rozważać, jako pracę prostą; to nas uchroni od zbytecznej roboty sprowadzenia pracy złożonej do prostej.“

To było usunięcie sobie z drogi drugiego kamienia. Właśnie ów „jakiś“ proces, który niweluje znaczenie czasu przy porównaniu wartości domagał się wyjaśnienia. Robota sprowadzenia pracy złożonej do prostej nie była bynajmniej zbyteczną — musiałaby ona doprowadzić do szukania po za czasem innych regulatorów wartości. Nie było by wówczas śmiałych twierdzeń, że „praca, działająca w ciągu tegoż samego czasu, stwarza zawsze tę samą wartość, jakkolwiek zmieniłaby się jej siła twórcza“ — bo odczuta byłaby niezgodność tego twierdzenia z systematem, zmuszonym uznać różny charakter godzin wytwórczych — prosty i złożony.

§ 56. Może też nie przesunął by się Marks tak szybko wobec własnej swojej tezy: „każda praca jest... *fizjologicznym* wydatkiem ludzkiej siły roboczej i w tym charakterze stwarza wartość towaru“ — bo tu nasuwało mu się inne po za ideą czasu pojęcie pracy, mianowicie pojęcie *energii*, która wydatkowaną być może w równych czasach w nierównej ilości, raz stwarzać dzieła wiekopomnej wartości, innym razem — wydawać owoce których bezużyteczność odejmuje im nawet „prawo zwać się pracą!...“

§ 57. Olbrzymia suggestja systemu Marksa tkwi w tym punkcie, gdzie znakomity djalektyk tłumaczy

nam, że równanie, stanowiące każdy akt wymiany np. 20 łokci płótna = 1 surdutowi, nie daje się pomyśleć bez równości pewnego *tertium*, jakiejś jednakowej istoty w obu członkach równania po za cechami przygodnymi. Tak funt żelaza i jednofuntowa głowa cukru, mimo różnic materyi, dają się porównać na szalach wagi, ponieważ obu właściwą jest ciężkość. Ta konieczność dla naszego umysłu jedności jakiejś istoty w rzeczach, które porównujemy, jest tak kusząca, że naprędce zgadzamy się z Marksem, iż niepodobne do siebie pod względem jakości materyi i sposobu użytkowania 20 łokci płótna i 1 surdut dają się porównać na szalach wymiany na rynku jeno dzięki temu, że w obojgu tkwi jednakowo pewne *residuum* — abstrakcyjna ludzka praca, wymierna przez czas.

§ 58. A przecie, jeżeli abstrakcja dozwoloną jest w tak wielkim zakresie, że ogałaca pracę ze wszystkich cech specyficznej energii i stopni uzdolnień — to wolno byłoby z tej samej racyi możność równania ekonomicznego opierać na zawartej we wszystkich rzeczach abstrakcyjnej użyteczności, konsumowanej również w czasie, prostym i złożonym, prędzej lub później. Byłoby to nie mniej usprawiedliwione zwłaszcza wobec tego, że w równaniach ekonomicznych porównują się przedmioty wysokiej użyteczności a małej pracy i małego czasu produkcji (rzeczy znalezione przypadkiem, np. bryła złota, wartości duchowe, utwory błyskawicznego natchnienia, idee wynalazcze i t. p.) z przedmiotami, które kosztowały ogromną ilość wysiłków w długim czasie opracowania. Wstępują w stosunek równania ekonomicznego, ponieważ jednakowo są użyteczne—gdy praca bezużyteczna, wcielona w rzecz niedołączną, choćby najdłuższa, nie dostąpi tego honoru.

§ 59. Mielibyśmy także prawo za ową istotę, która służy za podstawę równań ekonomicznych, uważać

jednakową siłę pożądalności — w A. przedmiotu należącego do B., w B. przedmiotu należącego do A, co w samej rzeczy stanowi o tem, czy dany akt wymiany przyjdzie do skutku. Gdyby stopnie pożądań nie dorównywały sobie z ekonomicznego punktu widzenia, nie byłoby wymiany. Gdyby zrobiono nam zarzut, że jedna strona może znajdować się w pilniejszej, niż druga potrzebie, moglibyśmy odpowiedzieć, że chodzi nam o *minimum* pożądaną, że *maximum*, jako ukryte, nie obchodzi nas, bo nie przechodzi w stan dynamiczny, inaczej jedna ze stron winna by coś dodać. Akcja ekonomiczna równa jest reakcyi, jak w fizyce. Niepodobna też brać poważnie zarzutu, że pożądalność odmienną jest w każdym subiekcie i skierowaną właśnie na przedmiot cudzy, bo w społecznych aktach wymiany tkwi wiara w zdolność ekonomiczną do odwrotu w warunkach analogicznych: jeżeli płacę 10 groszy za szklanekę herbaty w cukierni, to przypuszczam, że i sam wziąłbym za szklanekę herbaty 10 groszy, że przeciętny cukiernik tyle ma prawo wymagać, a przeciętny konsument tyle gotów jest płacić.

§ 60. Przeciw wyjaśnieniom Marksa mówią własne jego przykłady. Dążność do przejścia od naturalnego gospodarstwa, w którym surdut równa się 20 łokciom płótna do pieniężnego—do miary w złocie pochodzi właśnie ztąd, że rzeczy są nieokreślone co do ilości zawartej w nich pracy: bywają takie i owakie surduty. Tymczasem złoto ma jednorodny skład chemiczny, jest zawsze tem samym. Wstępuje ono na rynek z prawami miernika nie dzięki swemu charakterowi zawartej w nim pracy, ale dzięki swoim materialnym własnościom. Staje się pośrednikiem wymian, ponieważ nie jest zbyt rzadkie i zbyt częste w naturze—t. j. w ilości wystarczającej pełni ważne swoje funkcje i nie jest zagrożone strasznym spadkiem. Jest środkiem tezauryza-

cyi, ponieważ wypuszcza je z rąk musowo każdy, kto ma pilniejsze pierwszorzędne potrzeby, gromadzi je chętnie każdy, kto wszystkie pierwsze potrzeby swoje zaspokoił.

§ 61. Wreszcie Marksowi można postawić dwa zarzuty zasadnicze:

po 1-e: ekonomiczne równanie: „ a kosztuje b “ nie jest analogiczne z matematycznym równaniem: „ $a = b$ “, przeto nie wymaga może lub nie dopuszcza poszukiwania owej trzeciej równościowej substancji, którą Marks chce znaleźć w pracy.

po 2-e: jeżeli powiadam „ a ma ciężar b “ (a waży tyle, co c), zadawałniam się skonstatowaniem, że oba przedmioty posiadają w sobie element jednakowej ciężkości, ale samej ciężkości nie rozbieram, gdyż to przechodzi moją zdolność poznawczą. Otóż jeżeli przypomnimy sobie, że wartość jest równie nierozkładalną kategorią, jak byt (por. § 1), to bardzo być może, iż musimy zadowolnić się skonstatowaniem, że a warte jest b i za element jednakowej istoty uważać poprostu jednakową wartość obu przedmiotów, nie poszukując za nią innego *Ding an sich*. Oczywiście, że to prawo „ciężkości“ świata ekonomicznego, prawo zawierania się wartości w każdym towarze, który uczestniczy w ruchach wymiennych, należy uznać za bardziej zawile, jako należne do zmiennego świata ekonomicznego, i samą wartość odczuwać, jako podległą wahaniom w nieskonsolidowanym nigdy świecie umownych zjawisk ekonomicznych *).

§ 62. Wreszcie samobójczy cios wymierza sobie Marks w tem miejscu swojego dzieła **), gdzie powołuje się na Arystotelesa.

*) Właściwie i ciężkość jest względna. Toć ten sam przedmiot posiada inną wagę na wysokiej górze i na nizinie.

**) Por. Rozdział I. „3) Ekwiwalenta forma wartości.“ — Zakończenie.

„Zamiana — powiada genialny filozof — nie może istnieć bez równości, a równość nie może istnieć bez współmierności,“ a z tego zdania Marks skwapliwie korzysta.

„Ale — ciągnie Arystoteles, przypatrując się różnicom jakościowym wymienionych rzeczy — jest niemożliwym, aby tak różne rzeczy były współmierne. To porównywanie może przedstawiać jeno coś obcego istotnej naturze rzeczy, jest ono tylko zaspokojeniem naszej potrzeby praktycznej.“

A to zdanie kładzie słusznie tamę w poprzek wszelkim poszukiwaniom Marksa owej istoty współmiernej; i tu musimy stanąć całkiem po stronie największego filozofa świata starożytnego.

Ale Marks nie chce się poddać temu nieubłaganemu wyrokowi.

Powiada on:

„A więc sam Arystoteles powiada nam, czemu nie udaje mu się dalsza analiza; mianowicie wskutek braku wszelkiego wyobrażenia o wartości. Ale Arystoteles nie był w stanie zauważyć w formie wartości tej cechy, że w niej wszystkie gatunki pracy uważane są za jeden i ten sam trud ludzki i dla tego wyrażają się jako równowarte, — nie mógł jedynie dlatego, że społeczność grecka korzystała z pracy niewolników, a przeto w jej zasadzie tkwiła nierówność ludzi i pracy. Można przeniknąć w tajnie wyrazu wartości — równość i równowartość wszystkich gatunków pracy o tyle, o ile są one produktem ludzkiego trudu wogóle, — dopiero wówczas kiedy idea równości ludzi posiada już moc ludowego obyczaju.“

Takie postawienie kwestji doprowadza nas do wniosków niezmiernej wagi.

Jedno z dwojga:

Albo musimy przyznać, że idea równości pracy nie

tkwiła zupełnie w podstawie wymiennych stosunków starożytności i pojawiła się dziś dopiero w naszym towarowo-kapitalistycznym układzie socjalnym. Albo musimy zgodzić się na to, że nie istniała ona wówczas i nie istnieje dotąd w charakterze regulatora wartości.

Bowiem że nie było jej *dawniej*, to na mocy słów Marksa nie ulega wątpliwości. Jeżeli „w zasadzie społecznej leżała *nierówność* ludzi i *pracy*”—to oczywiście nie mógł jej odkryć Arystoteles, bo jej nie było w rzeczywistości. Ale w takim razie zapada się cały gmach abstrakcyjnych formułek Marksa. Więc istniały akty wymiany, porównywały się rzeczy na rynkach handlowych, a nie było pomiędzy nimi owego tajemniczego *residuum*, owej równościowej substancji — abstrakcyjnej pracy ludzkiej i jej pomiaru w czasie.

Nie było tego, co teoretycznie *jakoby jest koniecznem*. A więc świat starożytny obchodził się bez tego, bez czego współczesny świat ekonomiczny rzekomo obejść się nie może? A więc nie było w klasycznym świecie wartości, jako pracy; nie było zatem nadwartości — może nie było wyzysku, jakkolwiek właściciel greckich kamieniołomów, chyba-ć wysysał dobrze krew ze swoich niewolników?

Lecz jeżeli nawet geniusz tak wielki jakim był Arystoteles nie był w stanie odkryć idei „równości pracy” pod strukturą społeczną „*ponieważ jej nie było*”—to fakt, że dziś tę ideę chwyta Marks, który może uczynić najwyżej tyle, ile potrafi uczynić geniusz, — ten fakt daje się wytłomaczyć tylko w ten sposób, że idea równości pracy tkwi w podstawie naszych socjalnych stosunków.—*już jest!* Tak wypada z rozumowań Marksa. A czyli ten wniosek nie dyszy ironią. Gdzież jest dziś owa równość pracy, gdzie daje się ona spostrzegać w stosunkach gospodarczych, w aktach wymiennych? Chyba tkwi tam w dole, w nizinach piekła fabryczne-

go—w jednakowem zdeprecjonowaniu pracy wszystkich, ale nie wychodzi na wierzch, nie ma jej właśnie w strukturze zjawisk wymiany, w tych formułach równań ekonomicznych, z których Marks zapragnął ją wyłuskać. I jeżeli *ona już jest*—jeżeli naprawdę wartość pracy stała się regulatorem życia ekonomicznego, to gdzież jest punkt oparcia dla żądań reformacyjnych na gruncie pogwałconej równości? A jeżeli *nie ma jej dotąd*, jak nie było w świecie starożytnym, to gdzież owo żelazne prawo wartości—pracy, odkryte rzekomo z badań nad strukturą gospodarczą. Może to właśnie dopiero *idea*, mająca „trwałość ludowego obyczaju“, której głosicielem stał się Marks w interesach ludu?..

§ 63. A w imię tej idei, nie odnalezionej nigdzie po za sercami prostego ludu i po za myślą szlachetnych marzycieli, Marks zniwelował wszystkie przestrzenie ekonomiczne, usunął z przed swoich oczu badawczych wszystkie obecne rynki handlowe, zamknął uszy na cały zgiełk rozkołysanych fal podaży i popytu, zarzucił dyskretną zasłonę na cały świat wartości duchowych, wstępujących na rynek ekonomiczny — a potem wysiłkiem abstrakującej myśli przysunął do siebie mury wszystkich fabryk, utworzył z nich jeden olbrzymi świat fabryczny, zapełnił go jedyną ludnością — *robotników, jednakowo wynagradzanych za jednakowo długie dni robocze* — i jął konstruować na tle tego towarowego świata swoje abstrakcyjne formułki wartości.

I dziś, kiedy wydaje się, że cały gmach jego myśli reformatorskiej może zapaść się, gdy się wałą założenia jego teorii—gdy sumienna krytyka zmuszona jest odwrócić się od jego założeń, powstaje pytanie, czy wraz z założeniami przepadają i wnioski, czy może raczej ta cała kwestja w świecie ideowym posiada, niby ziemia, wyobraźalny kształt kulisty — tak, że zawracając od Marksa z jego dróg ekonomicznych, może, sami nie wie-

dząc o tem, wrócimy doń z tamtej strony, inną drogą—moralną.

To pokażą nasze konkluzje.

§ 64. Zanim przejdę do tych konkluzji ostatecznych, winienem jedną uczynić uwagę.

Można przyjść do wniosku, że cały Marksizm paść musi pod ciosami analizy krytycznej; nie będzie to znaczyć wszelako, że upada zarazem cały ruch socjalny, podsycony myślą Marksa; nie znaczy to, że Marksizm odegrał w życiu i w nauce rolę ujemną, bo dla przeciwnego sądu dość jest zdać sobie sprawę z dziecinnie-pyszałkowatych błędów, które panowały w teoriach ekonomicznych przed Marksem, i z tych haniebnych zbrodni, które panowały jego czasu w gospodarce kapitalistycznej.

Marks, nawet zdegradowany przez krytykę, jako apostoł prawdy naukowej, nie przestanie być kolosem—apostolem poszukiwanego ideału sprawiedliwości, który pchnął życie potężnie naprzód—nie przestanie po odnalezieniu wszystkich jego błędów być człowiekiem genialnym, umysłem, zdumiewającym potęgą dyalektyki; mózgiem cudownym, który ocenić można tylko wówczas, gdy się wie, ile błędów potrafił on swego czasu zniszczyć, jaki gmach teorii dźwignął własną myślą twórczą, przez jaki gąszcz faktów historii i ekonomii, statystyki i przyrody przedarł się ostrzem swojej analizy... i dlaczego musiała powstać i utrzymywać się dotąd iluzja, że on jeden znalazł trafną drogę tam, gdzie nikt dotąd drogi nie znalazł.

Umarł niedawno w Ameryce murzyn — uczony filolog — ba, profesor jakiegoś uniwersytetu, o którym opowiadają, że składał głęboki hołd kulturze białych, nie mogąc pogodzić się z nimi tylko na jednym punkcie: nie mógł w żaden sposób zrozumieć, jak dojść zdołali „do błędnego i śmiesznego poglądu, że... ziemia krę-

ci się naokoło słońca.“ Przez szereg lat odbywał podróże po Ameryce i miewał prelekcje, w których zbijał ten „zabawny błąd,“ a miał zawsze sporo słuchaczy, ciekawych jego wywodów, jako pewnego *curiosum*.

Nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby ci, co usłyszają przelotnie, że zamierzyłem wyrzucić całą teorię Marksa, — przypuścili, iż występuję w roli takiego murzyna.

Niestety! piastuję głębokie przekonanie, że czytelnikom uważnym, zdolnym do myślenia ekonomicznego, przyjmującym teorię Marksa, nie jako dogmat wiary, lecz właśnie jako wynik pewnej argumentacji — wykazały karty tej książki, że Marks nie jest bynajmniej Kopernikiem w ekonomii politycznej, że jego teoria wartości, która zaczepia się zresztą o myśl Smitha, Rodbertusa, Riccarda, nie stoi w równym rzędzie z twórczą teorią Kopernika, acz i ta — mówiąc nawiasem wymagała prostowań i dopełnień wedle idei Keplera i Newtona.

W obliczu umysłów niekrytycznych teoria wartości Marksa uchodzi za coś w rodzaju teorii ciężenia Newtona. Jak Newton znalazł zasadę ruchów astronomicznych w prawie ciężkości, tak Marks odnalazł rzekomo zasadę podobną dla świata ekonomicznego — w pracy.

Niestety, świat zjawisk społecznych (*resp.* ekonomicznych) jako ewolucyjnie najpóźniejszych, — jest bardziej złożony, niż świat martwej natury, w którym umysł nasz chwytą prawa najogólniejsze, a proste. Zresztą w gruncie rzeczy jeno fałszywa wiedza, spopularyzowana dla laików, przyzwyczaiła nas do wyobrażania sobie praw przyrody, jako przedziwnie prostych, — gdy prawdziwym uczonym zjawiska natury ujawniają swoją mocno złożoną fizjonomję; prawdziwi uczeni wiedzą, że świat zjawisk natury nie wyczerpuje się i nie określa

przez prawa ostateczne i uproszczone formuły, które przeszły do podręczników.

Tylko dla laika księżyc zatacza okrąg w okół ziemi w kształcie zamkniętej elipsy; ale już i laik wiedzieć powinien, że droga księżyca tworzy nader zawiłą krzywą, gdyż obrót jego odbywa się wokół ziemi nie nieruchomej, ale puszczonej w obrotowy ruch naokoło słońca:—jakżeż zawiłą musi być ta linja, jeżeli zważyć, że i droga ziemi nie jest zamkniętą elipsą, gdyż i słońce nie stoi nieruchome, ale wiruje wokół jakiegoś centralnego słońca.

Wreszcie i Newton nie sprowadził ruchów astronomicznych do jedyne go prawa ciężkości — wskazuje on takich praw trzy—a i sam ruch ziemi wokół słońca, lub księżyca wokół ziemi, objaśnia równowagą dwóch sił — dośrodkowej i odśrodkowej. Omyłka Marksa polegała właśnie na tem, iż wyobraził on sobie, że skomplikowane ruchy ekonomiczne sprowadzić się dają do jednej tylko siły — pracy, do jednego czynnika — czasu jej trwania.

ROZDZIAŁ VII.

Na szlakach myśli Marksa.

§ 65. Aby zrozumieć stosunek myśli Marksowskiej do rzeczywistości, skorzystamy z następującego porównania.

Wyobraźmy sobie gromadę dzieci, bawiących się przy stole rozmaitemi figurkami. Grają w „figury“. Gra jest mniej więcej bezmyślna — według prawideł zmiennych, a bodaj bez prawideł. Dzieci są zbyt mało rozwinięte, aby wymyśliły grę rozumną. Co chwila silniejsze wrywają figurki słabszym. Zręczniejsi oszukują mniej zdolnych, zabierają im najładniejsze figurki, a oddają najgorsze. Częstokroć najślabsi odpędzani są od stołu po zabranii im wszystkiego. Słowem, gra prowadzona jest bardzo... niegrzecznie.

Wtem zjawia się wśród grających człowiek dojrzały i szlachetny. Powiada im: przestańcie dzieci, bo się źle bawicie. Ja wam pokażę, jak grać należy. Wybiera z masy figur 32 figury, 16 czarnych, 16 białych — są tu 4 figurki z głowami koni, 4 przypominające słonie z wieżami na grzbiecie, 4 — przedstawiające dwie pary królewskie, czarną i białą i t. d. Potem rysuje na stole szachownicę — i uczy dzieci porządnej, prawidłowej gry szachowej.

A gdy niektóre dzieci, mające poczucie piękna, symetrii i ładu są zachwycone, inne natomiast powątpiewają, czy taka zabawa wystarczy—oglądają się bowiem na mnóstwo figur, odrzuconych przez nauczyciela gry szachowej—zapytując, co zrobić z temi figurami. Mistrz powiada do tych ostatnich surowo:

„Tylko tak grać można, bo takie są prawidła gry. Tak grały zawsze przed wami mędrsze i grzeczniejsze dzieci. To nie ja wymyśliłem tę grę. Te figury, które mają odnośne kształty, dowodzą, że zrobiono je właśnie dla gry szachowej. Tylko potem niegrzeczne dzieci zatarły szachownice, pomieszały figury szachowe z innymi, niepotrzebnymi, albo popsuły je do niepoznania—bo były tu figury dla kilku szachownic. Nastrugały mnóstwo niepotrzebnych. Tak, tak, dawne mądre dzieci zabawiały się zawsze tylko grą szachową. A to wy urządziłyście taką głupią i ohydną grę. Ja uczę was żelaznych praw gry, tkwiących w samej naturze tych figur. Powróćcie do gry prawidłowej,—a będziecie zadowoleni wszyscy z tak ślicznej zabawy. Trzeba się tylko nauczyć prawdziwych zasad“.

Tym stołem jest rynek. Dzieci silne i słabe — to kapitaliści i proletariusze. Figury — to wszelkie dobra ekonomiczne. Nauczycielem „szachowej“ gry—jest Marks. Szachową grą—jego konstrukcja ekonomiczna. Ideą gry jest wartość w pojęciu Marksa. Jej cugami jest wymiana. Zasadami gry są obliczenia wszystkiego według ilości czasu, potrzebnego na wytworzenie dóbr i zrównanie wytworów wedle równości czasu. Mądra i grzeczna dzieciarnia — to rzekomo przeszłość, odbywająca wymianę na tych zasadach. Niegrzeczne dzieci — to burżuazja, która wprowadziła grę wartościami bez zasad; głupie dzieci — to proletarijat, który przyjął tę grę na własną niekorzyść. Socjalizm — to rzekomo powrót do dawnych, naturalnych zasad gry wartościami.

Niestety! genialność gry szachowej w porównaniu z nieprawidłową grą dzieci, wśród których jedne są krzywdzicielami, drugie ofiarami — może budzić najwyższy podziw dla umysłu, który grę tę wymyślił; ale twierdzenie, że dawniejsze, mędrze i lepsze dzieci grały figurami owemi w szachy, t. j. dokonywały wymiany na mocy prawidłowych obliczeń przeciętnego czasu wytwarzania wartości, upada w świetle krytyki historycznej, a sprawa zastosowania całej gry ludzkiej do prawideł jednej gry szachowej — wymiany na zasadach Marksa — jest niezmiernie zawilem zagadnieniem przyszłości. Marks nie jest odkrywcą dawnej, zaniechanej w okresie kapitalistycznym, czy ukrytej pod jej niekształtnymi formami gry naturalnej, jest on twórcą zasad nowej gry, jest *par excellence* wynalazcą nowych zasad, jest tym, który czyni propozycję, podobnie, jak przyszłość jest drugą stroną, która może tę propozycję odrzucić lub przyjąć, jeżeli przyjdzie do wniosku, że lepszej gry, nad proponowaną przez Marksa, nie wynajdzie, że to właściwie będzie najmędrsza i najsprawiedliwsza gra, zapewniająca najwyższy postęp i dobro ludzkości.

Na korzyść Marksa przemawia ta okoliczność, że wśród mnóstwa figur znalazł między innymi i takie, które wybornie nadają się do gry w „szachy“ — że wynalazł zasadę wymierności, bo podczas gdy wszystkie inne czynniki, jak np. użyteczność przedmiotów, albo energia pracy, są niewymierne, mają nieokreślony charakter jakościowy, jedynie czas jest czynnikiem, podlegającym obliczeniu.

Lecz zawilność zagadnienia polega na pytaniu, czy cały ów stół — rynek ekonomiczny, daje się podzielić na prawidłowe szachownice, czy pola gry nie zależą tu i tam owe niekształtne i nadliczebne figury, które nie dają się obrócić na partje po 34 odnośnie ukształtowanych i odnośnie zabarwionych figur, i jaki będzie ich

stosunek do reszty, jeżeli siłą rzeczy owe rzucane będą nieprawidłową ręką losu na pole szachownicy, a psychologja grających, niepodległa psychologii Marksa, będzie po nie sięgała z całą zaciętością, odwracając się od suchych prawideł trudnej gry, do których nie dorasta ani umysł, ani uczuciowość mnóstwa grających, przekładających szaleństwa wypadków losu — narażające na większe straty, lecz obiecujące natomiast wyższe zyski szczęśliwsiemu jednostkom.

Dla nas nie ulega wątpliwości, że ludzkość grała dotąd zawsze w nieprawidłową grę ekonomiczną, dającą jednym zyski nadmierne, drugim gotującą okropne straty — że w grze tej powoli przewija się nic jakiejś idei prawidłowej, ale nie gotowej jeszcze — jeno narastającej w ciągu wieków — że cień idei nowej w stylu Marksowskim mieści się w tej grze i o tyle trafnie jest chwytany przez genialnego twórcę „Kapitału“ — ale czy jest to cień przyszłej *całości* zasad, mających ogarnąć *całe* pole produkcji wraz z wymianą i konsumcją — to właśnie jest zagadką.

Tymczasem widocznem jest, że Marks dla celów swojej gry prawidłowej pozostawia za polem swojej idealnej szachownicy wszystko to, co do gry, wedle jego konstrukcyi, nie pasuje — wyrzuca figury, reprezentujące dobra, osiągnięte bez pracy, jako zasadniczo sprzeciwiające się jego idei wartości, chociażby były użyteczne; oraz figury, reprezentujące dobra, osiągnięte, że tak powiem, w czasie skoncentrowanym, w momencie natchnienia — dobra duchowe, które nie posiadają kształtów towarowych, acz posiadają olbrzymią wartość użytkową, niewymierną w czasie prostym bezindywidualnej roboty fizycznej; wreszcie przekreśla wszystkie wysiłki pracownicze, choćby na niełożono wiele czasu, o ile nie wydały wartości użytkowej. Innemi słowy, wszystko to, co przeszkadza wcieleniu się jego teorii,

wyrzuca za nawias — jakgdyby mógł zmusić rzeczywistość do milczenia, kiedy woła: „oto jest bryła złota znaleziona; kto jej odmówi wartości, dlatego, że znalazca nie pracował?“, albo: „oto jest dzieło geniuszu, które powstało w godzinie błyskawicznego natchnienia! kto ośmieli się ofiarować za nie wynagrodzenie takie, jak za godzinę zamiatania ulicy?“ albo: „oto jest przedmiot, nad którym niedołęga i głupiec trzymał się dwa miesiące i stworzył rzecz bezużyteczną; czy jest ktoś, gotowy opłacić go po cenie dwumiesięcznej pracy użytecznej?“ albo: „oto jest rzecz, która kosztowała rok czasu pracy, ale wytworzono ją po nad normę potrzeby, nikt jej nie potrzebuje, nie znajduje ona pożądaną; czy społeczeństwo wynagrodzi pracownika wedle normy straconego przezeń niepotrzebnie roku?“ albo wreszcie: „oto jest przedmiot, który użyteczność swoją przejawia częstkami, zwolna, w eksploatacyi w ciągu lat pięćdziesięciu — ale ten przedmiot jest już gotów; kto zapłaci zań pracownikom z góry całą wartość 50 lat, gdy nie może tej wartości wyeksploatować inaczej, jak w całym szeregu lat?“... *).

§ 66. Przypatrzmy się, jak sam Marks rozbija sobie co chwila głowę o te szkopyły przy wprowadzeniu swojej teorii — jak przeczy sobie, zapewniając raz, że jego teoria stosowaną jest już dzisiaj, tylko ukrywa się pod osłoną zjawisk ekonomicznych, zaciemniających jej istotę, drugi raz, że stosowaną była w przeszłości, ale wypaczył ją do niepoznania okres kapitalistyczny, złamał żelazne prawo natury, wreszcie trzeci raz, że jest to konstrukcja przyszłości, która musi być zastosowaną i może być zastosowaną, a wejdzie z konieczności, jako prawo naturalne, w życie, w konsekwencyi walki klasowej proletariatu z kapitalizmem.

*) Np. dom, kanał, tunel i t. p.

Wobec znanej nam już nieokreśloności pojęcia *wartość*, zrozumiałą jest rzeczą, że od woli każdego teoretyka zależeć będzie, jaki rys tego pojęcia, jaki czynnik zaakcentuje najmocniej, uzna za podstawowy, byleby tylko natrafił na taki, który bierze udział w kształtowaniu się tego pojęcia. Każda konstrukcja wartości, polegająca na wyosobnieniu takiego jednego rysu, może doskonale posłużyć do budowania na niej gmachu zjawisk ekonomicznych. Ale ponieważ każda z nich będzie wciągnięciem w rachubę tylko jednego czynnika i przesadną jego wbrew życiu akcentacją, więc każda zmuszoną będzie wyrzucić za nawias pewną ilość materiałów z rzeczywistości ekonomicznej, niby kamieni nieociosanych i nie nadających się przez to do budowy i każda taka teoria zmuszoną będzie ograniczyć zabudowania tylko do pewnej ilości terenu, wymijając grunty nierówne z jej punktu widzenia.

A zawilość zjawisk ekonomicznych, bodaj sięgająca złożoności nieskończonej, jest tak wielka, że ze względu na praktyczną niesprawdzalność stosunku teorii do rzeczywistości, przez niemożność uczynienia dokładnych pomiarów i obliczeń, — każda taka teoria, zwłaszcza im genialniejszy będzie jej konstruktor, hardo urągać będzie zarzutom krytycznym.

Dlatego zrozumiałą jest rzeczą, że Marks, wydobyszy dla swojej budowy materiał abstrakcyjnej pracy społecznie koniecznej, oparłszy ją na fundamencie abstrakcyjnie niezbędnego czasu społecznego, mógł zbudować gmach sam w sobie konsekwentny; mógł na jednej hipotezie dźwigać całe piętra innych hipotez i wprowadzać ludzi w podziw nad misternością swojej budowy. A na każdy zarzut ze strony krytyki, zwolennicy jego posiadają jakoby domyslną odpowiedź: wylizcie ów czas przeciętny abstrakcyjnie niezbędnej pracy społecznej, a przekonacie się sami, że mamy słusz-

ność. Mogli tak mówić bez obawy, bo dokonać obliczeń, które zdmuchnęłyby gmach, jak bańkę, praktycznie niepodobna.

Jeżeli zaś zwraca się uwagę na to, że pominięte zostały przez teorię pewne wartości ekonomiczne, np. dobra duchowe, albo te, których użyteczność raczej zawdzięcza się matce-naturze, niż ojcu-trudowi, wedle obrazu Wiliama Petri, zacytowanego z uznaniem przez samego Marksa, jeżeli zwraca się uwagę na zgiełkliwy teren rynku handlowego, który lekceważy sobie miary abstrakcyjne autora „Kapitału”,—to, zdaje się, słyszymy znowu odpowiedź, która wprowadzać nas ma w stan zażenowania: jakże żądać śmiecie, ażeby abstrakcja wyrażała się w kształtach rzeczywistości; rzeczywistość jest właśnie nierówną, a teoria jest dokładnem ujęciem przeciętnej, która niweluje wszystkie nierówności.

To prawo teorii do abstrakcyi, do tego właśnie, aby była teorią, zdaje się być najmocniejszym pancierzem wszystkich obrońców dogmatyzmu Marksowskiego — bodaj nawet wbrew Markswi, który ongi rosyjskiemu marksistcie, oświadczającemu mu, że „wszyscy marksiści tak myślą“, odpowiedział gniewnie: „ale ja nie jestem marksistą!“.

I zdawałoby się, że krytyka, powołująca się na niezgodność teorii Marksa z życiem bieżącym i historycznym musi w uznaniu niemocy własnej tylko spuścić głowę, gdyby nie ta okoliczność, że w samym planie budowy tu i owdzie widać sprzeczności pomiędzy abstrakcjami, że budowa pęka tu i owdzie sama, wystawiona na wstrząśnienia ze strony logiki, że pomimo zdumiewającego geniuszu autora „Kapitału“, zbudowanie dedukcyi z materiałów abstrakcyjnych w obliczu faktów życia nie powiodło mu się w pełni. On sam nie jest w stanie trzymać się konsekwentnie swoich subtelnych

rozdzielenie pomiędzy wartością zasadniczą, leżącą w osnowie jego systemu, a wartością użytkową — z jednej, lub wartością wymienną — z drugiej strony.

On sam wpada raz po raz w niebezpieczne, trojaki scysje: pomiędzy czasem indywidualnym a przeciętnym, pomiędzy czasem prostym a złożonym, pomiędzy czasem niezbędnym społecznie z punktu widzenia techniki pracy a czasem niezbędnym społecznie z punktu widzenia potrzeb ogółu. A ta ostatnia, najważniejsza scysja, zda się, dotąd przez krytyków Marksa nie została uchwyconą i wytkniętą na zasadzie jego własnych sprzecznych twierdzeń.

§ 67. Na niezmiernej, nieokreślonej przestrzeni idei o wartości, poczynającej się w głębiach naszej istoty od niepewnego punktu subiektywnego oszacowania, aż do punktu najrealniejszego ceny, osiągniętej w momencie sprzedaży, jest cała skala miejsc, do których teoretyk powiązać może własne pojęcie o wartości.

Dlatego i Marks posiadał zupełną możność wyobrażenia sobie pod postacią wartości jeno pewnej liczby godzin pracy, a konstrukcja ta zdawała się kusić swoją prostotą i wymiernością, podczas gdy inne, jak np. konstrukcja użyteczności, odrazu kładą tamę budowaniu gmachu teoretycznego, gdyż stopnie użyteczności są niewymierne, zależą od subiektywnych i chwilowych nastrojów. Tymczasem konstrukcja matematyczna Marksa otwierała perspektywy jaknajszersze, pozwalała wprowadzać wszelkie obliczenia i mogła używać pełni swobody w stosunkach algebraicznych, ubrawszy się w szaty abstrakcyi — przeciętnego, t. j. hypotetycznego czasu, który nie dawał się skontrolować żadnem obliczeniem, jakkolwiek swój klejnot rodowy wyprowadzał właśnie z matematyki—z obliczalności czasu. Gdy Marks zawadzał o kwestję stosunku złożonego czasu do pro-

stego, usuwał poprostu czas złożony, oświadczając, że uważać będzie wszelki czas za prosty, jako łatwiejszy dla obliczeń, a nie podawał zasad dla unormowania stosunku pomiędzy czasem prostym, a złożonym *).

Wszystkie zatem rozważania Marksa są formułami, w które wchodzi wartość w pojęciu pracy abstrakcyjnej, dokonywanej w przeciętnej jednostce prostego czasu, i oczywiście taka wartość — godzina może służyć za materiały do mnóstwa nader interesujących i wymownych kombinacji wartości pod formą czasu, ale bynajmniej nie daje nici przewodniej do ujęcia zmiennej i pełnej fizjonomii życia gospodarczego. Praktyczna wartość takiej formuły *w czasie* dla wyjaśnienia ceny realnej i opartego na niej zysku, a stąd normy eksploatacji robotnika nie w teorii, ale w rzeczywistości, i sprawiedliwego dochodu przy podziale rezultatów pracy między przedsiębiorcą a robotnikiem — staje się więcej, niż wątpliwą.

§ 68. Dla obalenia konstrukcji Marksa posługiwaliśmy się pojęciem wartości, jako wartości wymiennej — ceny. Można byłoby nam zarzucić, że jest pewna różnica pomiędzy wartością wymienną a ceną, że cena praktyczna na rynku waha się w sposób nieokreślony w różnych miejscach i w różnym czasie, że to nazbyt wygórowuje, to nazbyt spada wbrew odczuwanej przez nas innej wartości rzeczy, że wartość wymienna jest to wartość, która ma pretensje do pewnej sprawiedliwej oceny na rynku, a cena jest realizacją owej wartości — okolicznościową. Właśnie na tego rodzaju poczuciu częstej nieodpowiedności pomiędzy tem, *co* się wymienia, a tem *jak* się wymieniło, zbudowany został świat wartości Marksa.

*) Wiemy, że dogmatycznie przypuszczał, iż mechanizm konkurencji sam słusznie reguluje ten stosunek. (Automatyczna sprawiedliwość, godna klasycznej harmonii Bastiata!)

Ale cały ten zarzut nie wytrzymuje krytyki, niepodobna określić, ile coś jest warte, nie biorąc pod uwagę ceny. Różnica pomiędzy daną ceną okolicznościową, a wartością wymienną, jest tylko różnicą pomiędzy ceną danej chwili i danego miejsca, a spodziewaną ceną powszechniejszą co do miejsca i trwalszą co do czasu.

Nie jest to różnica między wartością wymienną a ceną, treścią a formą — jak chce w scholastycznych rozróżnieniach Marks — ale pomiędzy wartością wymienną *in posse* a wartością wymienną *in re*, przyczem owo odmienne *in posse* zdarzało się *in re* i może zdarzać się jeszcze — wbrów danej okolicznościowej ocenie. Albo też owo „*in posse*“ było poprostu błędną oceną sprzedawcy, posiadającego zbyt różowe nadzieje, którym rzeczywistość zadała kłam. Wreszcie, jeżeli chodzi o poczucie zdeprecjowania wartości przy danej cenie bez porównywania jej z inną, na innym miejscu lub w innej chwili dla przedmiotu analogicznego, to owo poczucie opierać się może zarówno na odczuwanej subiektywnie wartości użytkowej przedmiotu, przewyższającej niższą ocenę nabywcy, jak i na odczuciu zawartej w nim pracy ludzkiej, lecz nietylko w sensie czasu — bo często w sensie energii, albo jeżeli czasu — to nie owego nieobliczalnego przeciętnego, lecz indywidualnego; w każdym razie jeżeli uraziłaby nas myśl o tem, że za marną według naszego poglądu cenę sprzedano rzecz, wymagającą długiej pracy — to ów hypotetyczny czas, który szacuje nasza wyobraźnia, nie ma nic wspólnego z nieoznaczonym dla nas przeciętnym czasem pracy, z przeciętnem zastosowaniem przeciętnych środków technicznych.

Różnica pomiędzy przypuszczalną wartością wymienną, a ceną realną, może być tak różnie ocenianą, że dla racjonalnej ekonomii musi się sprowadzać do

zera, jako teoretycznie niewymierna. Wartość wymienna, która zostawałaby zawsze *in posse*, nie była *in re* ani przedtem ani potem, t. j. nie istniała nigdy w stosunku do wymian indywidualnych, ani nawet nie była abstrakcyjną przeciętną wymian realnych, nie może posiadać żadnej praktycznej, ani poważnej teoretycznej... wartości! Wartość Marksa jest przeciętną z mnóstwa wartości *in posse* — nie *in re* — jest zatem tylko hipotezą.

Na każdym też kroku widać u Marksa, że on sam, pociągany potrzebą praktyczną, wymogiem ujawnienia zjawisk rzeczywistych, a nie wyobraźalnych—ową wartość swoją, wartość pracy, w charakterze wartości towaru, wartości do wymiany, sprowadza do wartości wymiennej i gubi po drodze swoich rozważań jej szkolarską różnicę z formą — ceną. Tu i owdzie wyraźnie przyznaje Marks, że to „cena jest wyrazem wartości pracy w czasie“.

Przeciwko musowemu utożsamianiu wartości, poszukiwanej przez Marksa, z wartością wymienną, a tej ostatniej z ceną, niepodobna powstawać na mocy błędnego zarzutu, że cena targowa jest zmienną, że można ją uważać jeno za zmienną etykietę istotnej wartości. Boć jeżeli dla usunięcia zmiennych proporcji czasu wolno mówić o przeciętnym czasie, to na mocy takiego samego abstrahowania wolno też pomyśleć sobie przeciętną wartość wymienną, przeciętną cenę. Przerażająca teoretyka niestałość cen nie daje prawa do budowania przed niemi *innej wartości* pod pozorem, że tylko etykiety liczbowe prejskurantów są niestałe, skoro i ta wartość ma być i może być tylko abstrakcją, tylko wartością przeciętną, t. j. wywodem matematycznym, niwelującym bieguny faktycznej niestałości.

Rozwiązanie zagadnienia ekonomicznego przez prostą i jednostronną koncepcję teoretyczną, która oddala się od ceny w nieokreślony sposób, aby raz po raz

zbliżać się do niej i mieszać z nią, bez określenia stosunku stałego lub zasady tego stosunku do ceny nie jest rozwiązaniem, które wyprowadza myśl naszą z zamętu zjawisk ekonomicznych.

Marks nauczył nas, jak moglibyśmy sobie wyobrazić stosunki dóbr ekonomicznych, gdyby ruch świata ekonomicznego odbywał się wedle rachuby prostego czasu — ale tym sposobem stworzył swój własny świat ekonomiczny, miast wyjaśnić świat rzeczywisty, do czego ma pretensję, mianując swój socjalizm „naukowym“ naprzekór dawnemu „utopijnemu“.

Zasługa Marksa pozostanie wiekopomną. Te karty „Kapitału“, na których w całej grozie odmalował walki kapitału z proletariatem o długość dnia roboczego, wstrząsają duszą do głębi. Może one to przyczyniły się mocniej do tej hypnozy, którą wywiera teoria Marksa, niżli rozkazodawczy dogmatyzm autora „Kapitału“, niż jego cięty dowcip pod adresem burżuazyjnych ekonomistów, niż ta ciemna mgła niemieckiej analizy filozoficznej, której umysł przeciętnego czytelnika nie jest w stanie przedrzeć. Zabójcze piętno rozpalonego żelaza, które przyłożył Marks do czoła „duszy“ kapitalistycznej, pozostanie na niem nazawsze na świadectwo chciwości bezczelnej, wyzysku nieludzkiego.

§ 69. Ale w ten sposób, godząc się z Marksem, nauczycielem moralności społecznej, w pełnym zakresie, nie możemy się zgodzić z Marksem — teoretykiem ekonomii politycznej, nawet stając w podziwieniu przed jego gruntowną wiedzą i potężną zdolnością analizy faktów ekonomicznych, — nie możemy, powiadam, zgodzić się, że norma wyzysku robotników przez kapitał daje się określić przez stosunek podzielonego na dwie części dnia roboczego: na czas pracy koniecznej i czas pracy dodatkowej.

Gotowiśmy pod natchnieniem autora „Kapitału“, a nawet idąc dalej od niego, budować teorie dochodu od kapitału, jako dochodu z lichwy, jako poboru i konsolidacyi procentów składanych, jako korzyści z ciężkiego położenia bliźnich, którzy zmuszeni są niekiedy pracować za minimum utrzymania, za pożyczkę na żywność, nadomiar udzielaną z dołu, w końcu tygodnia, po wcieleniu w wytwór całej siły roboczej i t. d. i t. d., ale nie możemy żadną miarą zgodzić się na to, że hypotetyczna połowa dwunastogodzinnego dnia roboczego odpowiada środkom, potrzebnym na wyprodukowanie dziennej siły roboczej, i że druga połowa hypotetycznie określi nadwartość, a wzajemny stosunek obu części wskaże normę wyzysku. Boć nie o to tu chodzi, że produkcja, że praca ludzka wytwarza pewną nadwyżkę wartości po nad istniejące już dobra w maszynach i surowcach; i nie o to tu chodzi, że normalnie fabrykant sprzedaje drożej to, co otrzymał od robotnika taniej; są to rzeczy zbyt proste i zbyt jasne, aby co do nich mógł istnieć jakikolwiek spór, jeśli chodzi o fakt, lecz nie oświecenie jego ekonomiczne i moralne. Chodzi tu o to, że obliczenie, które w każdej części swojej jest hypotetyczne, jest też w całości nic nie mówiącą hypotezą, bo nie daje ono zasady do twierdzenia, iż opłacona połowa dnia odpowiada tylko środkom utrzymania, a nic więcej ponad to, nie daje zasady do określenia, że na usługach przedsiębiorcy mogłaby być tylko taka ilość godzin, która odpowiada czasowi wyprodukowania siły roboczej na dzień cały, a nie ten dzień, choćby 8-io godzinny, czyli, że umowa nieeksploatatorska musiałaby być umową bez zysku dla przedsiębiorcy.

Chodzi tu o to wreszcie, że stosunek obu części dnia: pracy na siebie i pracy na fabrykanta daje się wyobrazić graficznie, ale nie da się obliczyć, a wszystkie

przykłady Marksa w tej mierze są konstrukcją z cyfr przypuszczalnych, z przyjęciem z góry hipotezy jego za udowodnioną.

§ 70. To wszystko nie jeszcze. Oto jest dowód większej wagi, zda się nam, dotąd jeszcze nie wskazany przez krytyków Marksa. Mianowicie, podział czasu roboczego według Marksa dokonany jest na mocy pojęcia o czasie prostym, zwyczajnym: dwanaście dzieli się na sześć + sześć. Ale obliczenia normy wyzysku mają dokonywać się rzekomo na mocy przeciętnego czasu, jednostki abstrakcyjnej. Wyzysk robotnika ma rzekomo polegać i norma tego wyzysku opierać się na tem, że robotnik udziela fabrykantowi wartości w formie przeciętnego czasu, a nie jest za nią odpowiednio nagrodzony. Otóż zachodzi pytanie, czy i robotnik powinien być zapłacony w stosunku do przeciętnego, społecznie niezbędnego czasu, czy może rzeczy wartościować się winny wedle prostego indywidualnego czasu. To ostatnie przypuszczenie zgoła nie wytrzymuje krytyki i nie ma chyba żadnych zwolenników w teorii. Regulacja wartości społecznych w stosunku do przypadkowej ilości czasu indywidualnego pracy byłaby herezją z punktu widzenia Marksa, doskonale zdającego sobie sprawę, że wartość jest i może być tylko wynikiem skrzyżowania się mnóstwa linii wymiany, że nie może ona podążać za czasem każdego robotnika w fabryce, a nawet za przeciętną z czasu pracy personelu danej fabryki, lecz musi być przeciętną, idącą w ślad całej produkcji fabrycznej w danym zakresie.

Teraz, gdyśmy ustalili, że robotnik opłacany jest za czas prosty — od godzin (o ile nie jest płatny od sztuki), a dobra na rynku mierzone są, zdaniem Marksa, wedle czasu przeciętnie niezbędnej pracy, — spytajmy, czem jest właściwie ta wartość przeciętna w formie niezbędnej społecznie pracy na rynku handlowym? Otóż

wedle orzeczeń Marksa okazuje się, że ustala się ona „za oczyma wytwórców“, na mocy jakiegoś społecznego procesu, który wydaje się mocą samego obyczaju,— a w określeniu tem łatwo poznać znane nam siły popytu i podaży, przez co owa tajemnicza wartość Marksa, wartość w czasie, sprowadzi się do zwyczajnej realnej ceny, a w ten sposób o wyzysku, o jego normie nie powiada nam żadna proporcja sześciu godzin do sześciu, czy jakakolwiek inna, wynikła z podziału dnia na proste części; o normie tej może zadecydować w każdym wypadku tylko sprzedaż realna, czyli wyzysk może być tam, gdzie okazał się w rezultacie, ale niepodobna wskazywać go teoretycznie, mrugając okiem na niesprzedane zapasy towarów.

Twierdzić na zasadzie podziałek graficznych dnia roboczego, że fabrykant zabrał nadwartość i wyzyskał robotnika nawet w tym wypadku, kiedy sprzedał wszystkie towary niżej wartości normalnej, ze stratą, nie zwróciwszy sobie nawet wydanej płacy robotniczej,—jest to nadużywać nieco orjentacyi czytelnika. A doprawdy czytelnik zgubić się może, słysząc raz po raz rzeczy różne: 1) to, że „wielkość wartości towaru wyraża konieczny stosunek procesu jego kształtowania do społecznego roboczego czasu, a z przemianą tej wielkości w cenę ów stosunek konieczny staje się przypadkowym stosunkiem wymiennym“; to znowu, że „cena jest wyrazem równoważności (Equivalenz) towaru z sumą pieniędzy, że jest to prosta tautologia“; 2) dowiadując się raz, że „cena przestaje być wyrazem wartości“, chociaż pieniądze są formą wartości towarów, że „cena bywa tylko fikcyjnym wyrazem wartości“; a innym razem, tuż blisko, że „pieniądze służą za wskaźnik wymiennego stosunku towarów do pieniędzy i że byłoby nonsensem uznawać, iż milion rubli pieniędzmi kosztuje więcej, niż równa wartość w towarze“; 3) wyczytując w jednym

miejscu, że „złoto jest miarą wartości“, w innym, że „my tylko przypuszczamy, iż w danym czasie produkcji określone ilości złota kosztują daną ilość pracy“.

Mamy prawo wymagać, żeby nadwartość była nadwartością istotną, a nie wyobraźną, gdy chcemy mówić o istotnym wyzysku ekonomicznym, a nie oderwanym stosunku dowolnie dzielonych dni roboczych. Mamy prawo powołać się przeciw Marksowi na Marksa, kiedy wyśmiewa właściciela żelaza, powołującego się na cenę niesprzedanego towaru i zapewniającego, że żelazo już jest pieniądzem. Podobnie nadwartość, która nie stała się nadwartością i wyzysk, który nie był wyzyskiem, wbrew wszelkim obliczeniom na papierze nie będą dla nas nadwartością, ani wyzyskiem.

Tu zwrócić musimy uwagę na punkt niezmiernie ważny. Niepodobna pragnąć, wbrew dzisiejszemu wynagradzaniu robotnika za czas realny (byleby dzień roboczy nie był zbyt długi i płaca zbyt niska) — aby robotnik nagradzany był raczej wedle czasu przeciętnego niezbędnej społecznie pracy. Albowiem odbiłyby się to wielokrotnie źle na robotnikach. Nagradzać robotników wedle abstrakcyjnego czasu znaczyłoby to przy dzisiejszych warunkach wciągać ich w koszty ryzyka, znaczyłoby to niekiedy niewynagradzać ich wcale, zmuszać do pokuty za nieopatrność przedsiębiorcy, znaczyłoby to dalej potępić zupełnie system akordowej pracy, dziś wymagany nieraz przez zdolniejszych robotników, znaczyłoby to gwoi abstrakcyi jednym umniejszać ich zarobek, innym pomnażać go nad miarę zasług. Tym sposobem okazuje się, że właśnie system płacy według przeciętnego czasu może okazać się niedogodnym i niesprawiedliwym, a w świetle tych rozmyślań występuje z bolesną mocą szalona zawilość kwestyi ekonomicznej. Bo właśnie to wszystko doprowadza nas do wniosku, że przy istniejących warunkach własności na kapitał

z jednej strony najsprawiedliwszem jest szacowanie czasu przeciętnych robotników (bez specjalnego wykształcenia i wyjątkowej sprawności) wedle realnego prostego czasu, z drugiej ze względu na mus mechanizmu rynkowego najsluszniejszem i najodpowiedniejszym dla ogółu przedsiębiorców i spóżywców jest szacowanie towarów wedle czasu przeciętnego, o ile istotnie przypuścić się daje, że sam mechanizm popytu i podaży prowadzi do tego w warunkach normalnych.

My pozwalamy sobie o tem ostatniem, jako o zasadzie żelaznej, powątpiewać i dostrzegamy nie wniosek logiczny, nie wywód naukowy, lecz niczem nieuzasadnioną wiarę w następującem twierdzeniu Marksa: że „jakkolwiek już w samej formie ceny istnieje możliwość ilościowej jej niezgodności z wielkością wartości i odchylenia od tej ostatniej, to niema w tem żadnej wady formy, bowiem prawidło staje się prawem tylko dzięki ślepej grze różnych nieprawidłowości, które przeciętnie równoważą się, paraliżują i neutralizują wzajemnie“.

§ 71. Widzieliśmy tedy scysję pomiędzy konkretnym czasem pracy robotnika, a czasem abstrakcyjnym niezbędnej pracy społecznej, z których pierwszy wyraża się pieniądze w płacy zarobnej, a drugi, wedle przypuszczenia samego Marksa, ostatecznie znajduje ujście w cenie rynku; i widzieliśmy, że ta scysja rozmaitych czasów, zwyczajnego i przeciętnego, niedostrzeżona przez Marksa i jego krytyków wywraca teorię nadwartości, o ile chodzi o ustalenie normy wyzysku, czyniąc z niej jeno dowcipną algebraiczną konstrukcję.

A oto jest druga scysja, nad którą zatrzymamy się krótko, bośmy ją już nieraz poruszali — sprzeczność pomiędzy czasem prostym i złożonym. Tylko napozór zatrzymać się można, jako na rezultacie ostatecznym, domniemanie najlepszym,—na systemacie wynagradzania wszystkich wedle zwyczajnego czasu. Boć nie ulega

wątpliwości, że są prace, wymagające tak znacznego nakładu energii w krótkim czasie, iż barbarzyństwem byłoby żądać, aby człowiek danego zawodu pracował absolutnie tyleż godzin, co każdy inny w lżejszym fachu, a niesprawiedliwością byłoby zwiększyć bardziej wyczerpanemu odpoczynek, nagradzać go wedle zmniejszonej ilości cięższych godzin pracy.

Stąd owa konieczność rachuby wedle godzin prostych i złożonych, którą Marks odczuwał, ale od rozbioru której usunął się celem uproszczenia swojego systemu i niepopsucia sobie teorii. Bowiem zachodzi kwestja, w czym znaleźć miernik dla określenia stosunku pomiędzy godziną prostą a złożoną. Marks daje nam tylko jedną wskazówkę w zgodzie z tem, co myślał już, krytykując nieokreślone w tej mierze poglądy Prudhon'a, mianowicie, że mechanizm popytu i podaży ustala ten stosunek. Ale wraz z takim postawieniem kwestyi godzina przestaje być godziną, czas przestaje być tylko czasem, występuje nowy a nieokreślony miernik—energia, zjawia się mimowolna apologja mechanizmu dzisiejszego rynku, Marks robi mimowoli honory tysiąckrotnie zwalczanemu Bastiatowi, rozum samorodny zjawisk ekonomicznych zdaje się urągać wszelkim próbom protestującej myśli, realna rachuba handlowa przeciwstawia się żądaniom reformy i protestom przeciw niesprawiedliwości chaosu ekonomicznego: cała misterna teoria wartości, oparta na czasie, rozsypuje się w gruzy.

Myśl o przymusowem uregulowaniu stosunku rozmaitych zawodowych godzin według jakiegoś widzi-mię — skoro wykładnik fizyczno-psychicznej energii znaleźć się nie daje—nie przychodzi żadnemu socjaliście do głowy; tchnęła by ona despotyzmem organizacyi gospodarczej. Ale i myśl autora „Socjalistycznego ustroju“ Renarda o zaczerpnięciu skali porównawczej do takiej tabeli ze stosunków bieżących, z obliczeń czasu niezbe-

dnego społecznie w warunkach burżuazyjnego okresu, jest pomieszaniem pojęć, jest mimowolnym hołdem pod adresem sprawiedliwości miar kapitalistycznych i przenoszeniem nienormalności chorego ustroju w wymarzony, przypuszczalnie zdrowszy.

Zawiłość kwestyi miar wartości według czasu staje się jasną dla wszystkich, którzy, głęboko pragnąc zmian ustroju gospodarczego nie zadawalniają się płytkim frazesem: „jakoś to będzie.“ Występuje świadomość o nieukładaniu się wprost w klamry rachunku mnóstwa zawodów liberalnych o czasie zajęcia nieregularnym, zastosowanym do momentu potrzebowego. Jawi się myśl o tem, że czynnik etyczny — tak w znaczeniu podniesienia poziomu moralności ogólnej, jak i rozwoju jednostek, pełniących obowiązki w miarę sił bez żadnej kontroli zzewnątrz—musi wejść w stopniu najwyższym w rozwiązanie problemu ekonomicznego. Wypada przypuścić rozwiązywanie problemu na dwójkiej drodze: jedną jest równość czasów konkretnych dla nierównych energii bez nagrody za nadwyżkę energii, jako daną od natury i wychowaną społecznie; drugą jest nierówność czasów konkretnych dla nierównie wyczerpujących energję zajęć z rekompensatą w czasie odpoczynkowym. W jednym wypadku mamy do czynienia z hipotezą narastającej potrzeby bezinteresownej pracy, w drugim z hipotezą ufności, iż pracownik zatrzymuje się tam, gdzie nastaje zmęczenie. Te dopełnienia od strony indywidualnej etyki przekradają się do wszystkich rozpraw ekonomicznych o przyszłym ustroju socjalnym; nie są jednak dostatecznie uświadamiane przez autorów, którzy uznają je za prosty i nagły wynik zmiany ustroju—gdy możliwą jest tutaj tylko ewolucja powolna, jak w całym zakresie moralności. Zwróćmy jeszcze uwagę na to, że istnienie zawodów liberalnych (medycyna), obsługujących wszystkich i utrzymy-

wanych kosztem państwa, samo przez się przeczy zasadzie: „każdemu cały jego produkt“ — bo z produktu każdego pracownika potrącaną musiałaby być część na utrzymanie wszystkich potrzebnych zawodów liberalnych, nie produkujących towarów, jeżeli przy ustroju socjalistycznym jeden nie ma stawać się nędzarzem, wydawszy wszystko na leczenie się z choroby, gdy drugi—szczęśliwszy używać będzie zbytkowych dóbr społecznych.

Każdemu zwrot całego jego czasu — jest to hasło tak samo niemożliwe na jutro, jak nie wciela się w ustrój dzisiejszy, bo deficyt społeczny, powstający przy wytwarzaniu wartości na jutro, a nie na dziś, musi być pokryty przez wszystkich. Różnice wartościowe czasów konkretnych oraz prostych przez przeciwstawność swoją z abstrakcyjną i złożoną wartością przeciętnego czasu na rynku handlowym komplikują zagadnienie podziału społecznego w sposób socjalistyczny (w stosunku do obiektywnej wartości czasu subiektywnego), popychając je w kierunku komunistycznym — gdyż nierówność wynagrodzenia stać się może albo podstawą nierówności używania, budzącą nową zazdrość socjalną, albo zarodkiem powrotu do dawnego stanu. Tamy znowu szukać należy nie tylko w zniesieniu własności kapitału, pieniądza i procenta—lecz w podniesieniu moralnem ogółu i jednostek.

§ 72. Wreszcie wszystkie powyższe sprzeczności potęgują się przez jedną jeszcze scysję, jak rzekłem, niedostrzeżoną przez krytyków. Jest to sprzeczność pomiędzy pojęciami niezbędnego społecznie czasu z punktu widzenia techniki i potrzeby społecznej. Marks nie spostrzegł, że zamienia dowolnie pojęcie o czasie społecznym produkcji na pojęcie czasu potrzebnego dla społeczeństwa. Wychodząc wszędzie tylko z punktu widzenia produkcji, jakkolwiek opierał się mocno, zna-

laż się na punkcie widzenia konsumpcji. Odrzuciwszy wartość użytkową, jako zrozumiałą samą przez się i nie wyjaśniającą zagadki ekonomicznej, mimowoli przez swoją wartość zawrócił do wartości użytkowej, jakkolwiek tego nie spostrzegł.

Posłuchajmy co mówi:

„Towar“ (dla przejścia w ekwiwalent pieniężny) „winien być przede wszystkim własnością użytkową dla posiadacza pieniędzy, t.j. wydatkowana nań robota winna okazać się społecznie pożyteczną formą, czyli ogniwem społecznego podziału pracy.“

„Jeżeli społeczna potrzeba płótna — bo i ona ma swoją miarę—już zadowolona jest przez konkurujących tkaczy, to produkt naszego przyjaciela“ (danego tkacza, przynoszącego na rynek 20 łokci płótna) „okaże się zbytecznym, a przeto i niepożytecznym.“

A dalej: „To, co wczoraj jeszcze było niewątpliwie społeczno-koniecznym czasem roboczym dla wyprodukowania jednego łokcia płótna, przestaje być tem samem dzisiaj, jak dowiedzie tego z przekonaniem właściciel pieniędzy na zasadzie cen, wystawionych przez konkurentów danego sprzedawcy.“

„Nakoniec, przypuśćmy nawet, że każdy kawałek płótna, będący na rynku, zabiera tylko społecznie niezbędny czas roboczy. Nie bacząc na to cała suma tych kawalców może zawierać zbytek straconego czasu roboczego. Jeżeli żołądek rynku nie może pochłonąć całej ilości płótna po cenie normalnej“ (odpowiedniej do czasu produkcji) „to dowodzi to, że zbyt wielka część całej sumy społecznego czasu roboczego wydatkowana była na tkanie przędzy.“ „Towar lubi pieniądze“ — przytacza Marks zimne angielskie przysłowie; i jeszcze zimniejsze, niemieckie, stosuje do sprzedawcy, który przyniósł na rynek całą partję niepotrzebnego już nikomu

plótna: — „i złapany i powieszony.“ „Jest to naturą rzeczy.“

Tu pęka cały gmach misternych rozumowań Marksa, pęka sam fundament. Poprzednio Marks wyrzucił był ze swojego teoretycznego okrętu wszelką pracę, kształtującą rzeczy niedołącznie, aby mu nie przeszkadzała w podróży. Teraz wyrzuca za pokład nawet pracę, która stwarza rzeczy użyteczne ponad miarę potrzeby społecznej. Użyteczne nie używane przestaje być użytecznym—na co zgodzi się teoria krańcowej użyteczności, ale co z teorią Marksa stanie w jaskrawej sprzeczności. Praca użyteczna, praca, która pochłonęła czas roboczy, praca odpowiednia przeciętnej technice, praca, zawierająca tylko ilość czasu technicznie konieczną, praca—wartość, staje się w obliczu rynku wedle przyznania Marksa bezwartościową, bo pochłonęła zbyt wiele czasu w stosunku do potrzeby społecznej.

Innym słowy okazuje się, że o wartości w charakterze niezbędnego czasu produkcji można rozprawić tylko w warunkach absolutnego uregulowania produkcji t. j. w przypuszczeniu, że nie stworzono ani atomu ponad potrzebę, ani atomu zasobów na przyszłość, że obliczono nieobliczalną z góry ilość zapotrzebowań rzeczy indywidualnego gustu, że wytwarzając tylko w mierze potrzebnej, narażano się na nieobliczalne nieszczęścia i braki na wypadek przepadnięcia jakiejś partii towaru.

W każdym razie niezrozumiałem jest, jak można brać w charakterze naturalnego prawa wartość produkcji w jednostce czasu w dzisiejszych warunkach bezplanowej i na ciągle kryzysy wystawionej produkcji. Wyobrazić sobie, że rynek, na którym co krok panuje zasada „mitgefangen—mitgehangen,“ na którym pokutuje każdy, co wyprodukował za wiele, że taki rynek wciela ostatecznie zasadę harmonii pomiędzy wartością—pracą

fizyczną, a wartością — ceną, jest to opowiadać rzeczy wiary, nie wiedzy, jest to pod postacią Marksizmu nucić Bastjatowski hymn na cześć harmonii, wytwarzanej przez chaos popytu i podaży. Staje się wówczas niezrozumiałem, gdzie jest punkt wyjścia do żądań reformy w tak harmonijnym układzie, boć z pewnością wobec składających tę harmonję dysharmonii, niema zasady żądać wprowadzenia owych dysharmonii w stosunki kapitału do pracy: owego „mitgefangen—mitgehangen“ dla robotnika, w konsekwencji każdego potknięcia się kapitalisty. Jasną jest rzeczą, że reforma ogarnąć musi jednakoż fabrykę, jak i rynek, że stać się to musi właśnie z powodu niestosowania się do idealnych praw Marksowskich tak samo rynku kapitału, jak i rynku pracy fabrycznej.

Widzimy, niestety, że owe idealne prawidła nie są jednak dość jasno sformułowane i że — jeśli wolno powrócić nam do metafory na początku tego rozdziału — ta szachowa gra, którą projektuje Marks dla przyszłości, nie jest przezeń obmyślona w pełni, a już zupełnie nie budzi w nas wiary zapewnienie raz o tem, że prawa tej gry stosują się już obecnie, to że stosowały się w przedburżuazyjnej przeszłości.

Myśl Marksa błąka się w labiryncie.

§ 73. Nie chcemy przez to zmniejszać zasług Marksa, nie twierdzimy, że cały geniusz jego polegał na tem, że genialnie błądził. Zasługi Marksa pozostaną niepożyte i ze względu na cudowny opis zjawisk ekonomicznych i ze względu na te prawdy, które tu i owdzie do był ostrzem swojej analizy, i z uwagi na usunięcie błędów dawnej ekonomii, do których po nim już nie wrócimy, i wreszcie z uwagi na to, że zaoszczędził nam błędzenia po trudnej swojej drodze, dotarłszy po niej tam, gdzie rozwierała się już przepaść logiczna. Jego próba odszukania źródeł wzrostu bogactwa społecznego w ży-

wej pracy ludzkiej, chociaż nie wyraziła się w ścisłych rzeczowo proporcjach, chociaż jest konstrukcją myśli, a nie żelaznem prawem minionego i obecnego gospodarstwa, zawsze-c stanowiąc będzie idealny drogowskaz dla naszych poszukiwań przyszłej harmonii gospodarczej. Tylko przez błędy Marksa dążyć możemy do prawdy i „Kapitał“ nie może być pominiętym przez żadnego myśliciela-ekonomistę.

Nawet próbując zupełnie nowej konstrukcyi wzrastania wartości w procesie produkcyi — wbrew Marksowi i wbrew jego krytykom z całą mocą rzuceni będziemy ponownie do ideałów Marksa. Ilekroć zastanowimy się nad tem, że nasza równowaga ekonomiczna wbrew zadowoleniu Bastiata „z najlepszego możliwie ze światów“ ekonomicznych i wbrew przypadkowym przyznanom Marksa o neutralizujących się dysharmonjach wartości i ceny—jest równowagą niestałą części dysharmonijnych, równowagą fałszywą, podtrzymywaną przez siłę pewnych warunków politycznych, tylekroć odczuwamy, że problematem ludzkości musi być stworzenie równowagi, opartej na dobrej woli i zgodzie wszystkich — tylekroć wsłuchamy się w proroczy głos Marksa.

Oto np. taka nowa konstrukcja, która przychodzi nam na myśl i której zarys pozwolimy sobie tutaj narzucić.

Wyobraźmy sobie, że z tysiąca fabryk, produkujących też same dobra i zajmujących po stu robotników, naraz w jednej dokonano czarodziejskiego wynalazku, który pozwala zadowolnić się obsługą tylko jednego człowieka, dozorującego skomplikowanych mechanizmów, wytwarzających tę samą, co uprzednio, ilość towarów.

Jeżeli potrzeby społeczne w stosunku do danego towaru pozostały stałe, cena ich spaść nie może: nie zmniejszył się napozór ani o atom przeciętny, niezbędny społecznie czas produkcyi. Przypuśćmy, że ten jeden

człowiek pozostały we fabryce, opłacany jest wedle wartości środków, wytwarzanych w ciągu godzin dwunastu i pracuje tylko godzin dwanaście. Oczywiście, że z punktu widzenia teorii Marksa nadwartości w tej fabryce nie będzie. A przecie nie ulega wątpliwości, że fabrykant zyskiwać będzie i nadal, że eksploatując wynalazek w ciągu lat całych i skwitowawszy szczęśliwie-tanio wynalazcę, oszczędzać będzie na usunięciu 99-ciu robotników, których opłacają inne fabryki. Nie można naszemu przykładowi, który tylko w fantastycznych kształtach przedstawia wyniki zwiększającej się wydajności maszyn, zarzucić, że pomija on pewną okoliczność. Mianowicie, że usunięcie siły roboczej—99-iu ludzi, pracujących po godzin 12-cie, wpływa na zmniejszenie się przeciętnego niezbędnego społecznie czasu pracy. Albowiem w warunkach jednakowej potrzeby społecznej nie zmieniła się nic a nic cena, a zatem nie poszła w ślad za wartością pracy ludzkiej w zmniejszonym czasie. Powtóre, pomijanie faktu, iż cena nie zmieniła się i faktu, że czas produkcji *in concreto* pozostał ten sam, konstruowanie rachuby nowej, rzekomo zmienionej wartości z odliczeniem czasu roboczego usuniętych 99 robotników, będzie niewątpliwie podstawianiem na miejsce poszukiwanego x —wartości żywej siły roboczej t. j. uznawaniem dogmatycznym za jedyny czynnik wpływu pracy robotnika — co właśnie wymagało dowodu. Nie sztuka bowiem znaleźć w rezultacie wywodów to, co założyło się z góry.

§ 74. Jakkolwiek kapitału nie uważamy za czynnik samoistnie twórczy, ale kapitał żywy, kapitał w ruchu, kapitał, przebijający się w formę maszyn okaże nam swoją wydajność na mocy powyższego przykładu—i to w dysproporcji z żywą siłą roboczą. Energia kapitału w charakterze energii maszyn nie wyda się nam czemś zupełnie nieważkiem wobec energii robotników

w okresie produkcyi. Nie narażamy się na śmieszność tego rodzaju twierdzeniem, boć mamy prawo upatrywać w ruchu kapitału taką samą zdolność do przyspieszenia, o jakiej mówi nam fizyka ustami Galileusza. Ten ostatni—jak wiadomo — „dla zmiennych zjawisk spadania ciał wykrył niezmiernej wagi niezmienną; przez przyłożenie stałej samej przez się siły ciężenia, której działanie bezustanku sumuje się, dał nam obraz całkowity tych spraw“ *). W kapitale, o ile wprawiony zostaje w ruch, możemy upatrywać taką zdolność przyspieszonego ruchu—sumowanie się jego siły stałej—wyrażonego we wzroście nadwartości.

Przecie przedstawiając w tak nowy sposób i w zgodzie z teorią energetyczną wzrost kapitału, dalecy jesteśmy od wyciągania z tego obrazu wniosków tak miłych sercu ekonomistów burżuazyjnych.

Głęboka różnica teoretyczna pomiędzy naszym obrazem wzrastania bogactwa a założeniami Marksa o kształtowaniu się nadwartości w okresie produkcyi, bynajmniej nie zmusza nas do różnienia się w konsekwencjach idealnych z Marksem.

Albowiem po: 1) mając na widoku całość produkcyi społecznej w jej rozwoju, mamy prawo uczynić przerzut od danego okresu produkcyi przy pomocy maszyn wstecz, a wówczas za kapitałem odnajdziemy *pracę* umysłową—ideę wynalazczą i *pracę* fizyczną — budującą maszyny, t. j. bądź co bądź zawsze pracę, pracę społeczną, do rezultatów której może pretendować społeczność w ogólnej rachubie dóbr.

2) Skoro bądź co bądź kapitał w postaci najdoskońszych maszyn nic dać nie może bez pracy ludzkiej, choćby tylko dozorującej ruchy maszyny, to owo prawo ciężkości kapitału z jego przyspieszonym ruchem

*) W. Ostwald. Krytyka materjalizmu naukowego.

powstaje na mocy przyciągania przez pracę ludzką, ni-
by kamień, co spada, zawdzięcza ruch swój matce-zie-
mi. Słowem, za kapitałem i przed kapitałem wszędzie
znajdziemy twórczą pracę ludzką.

3) Uznawszy tak wielką energję w kapitale, a przy-
szedłszy do wniosku, że jego ruch, który narasta sumo-
waniem się przyspieszeń, zależny jest bądź co bądź od
warunków społecznych, od praw, od umów prawnych,
od obyczajów moralnych, od idei społecznych, posiada-
my prawo stawiać przyszłości pytanie, czy tak potężna
i dobroczynna moc ma pozostać nadal uprywatnioną,
czy w istocie ideałem sprawiedliwości jest ułatwienie
jednym korzystania z tej energii, choćby to było zwią-
zane z niedolą i ciemnotą milionów.

A gdy serce drży czasami boleśnie i w mózgu bły-
ska gorzko-sceptyczna myśl, że idea równości jest tyl-
ko marzeniem upośledzonych, że ongi przebierała się
w szaty błękitne Ewangelicznych przypowieści o Kró-
lestwie niebieskiem, że gdy szaty te podarły się, w do-
bie energiczniejszego krzyku nędzarzy, pochwyił ją
Marks i przybrał w czerwone szaty naukowej teoryi, że
po rozdarciu tych szat pozostaje tylko nagie bezciele-
sne i niezdolne do życia marzenie — to przecie każdy,
kto wierzy w ludzkość, nie zechce się poddać wyroko-
wi, obalającemu ideał — choćby nieziszczalny w pełni.
Ideały wskazują życiu kierunek...

ROZDZIAŁ VIII.

Prawa moralne w gospodarstwie społecznem.

Do jakich wniosków doprowadza to wszystko?

Oto, jeżeli okiem rozumu etycznego, t. j. rozumu, który pragnie porządku i sprawiedliwości, spojrzymy na obraz naszego gospodarstwa--wypadnie nam wzdrygnąć się z przerażenia.

Na rynku panuje straszliwy chaos. Ekonomiczny świat zdaje się nie wyszedł jeszcze ze stanu mgławicy—nie wyłonił słońca sprawiedliwości, wokół którego po elipsach pracy toczyłyby się globy dobrobytu.

Cena okazuje się owocem miliona błędów niedojrzalej oceny, nagromadzonych przez wieki, owocem wszystkich dawniejszych niesprawiedliwości, gwałtu i przywileju, pomnożonych przez błędy i niesprawiedliwości czasu bieżącego. Sama przez się od urodzenia kapryśna—podlega ciągłym jeszcze wstrząśnieniom i kaprysom chwili.

Praca została zdeprecjonowana w najwyższym stopniu. Tak samo praca fizyczna, jak i umysłowa. Gdy nie może czekać, gdy nie ma nic, żadnego kapitału, musi sprzedawać się za cenę najniższą, zaledwie możliwą—byle tylko wyżyć. Oderwana od żywiącej piersi natury, od ziemi, rzucona na twardy bruk miejski, na kamienie,

z których pożywienia nie wykrzesać, odda najdłuższy dzień roboczy, odda całą siłę produkcyjną za najskromniejszy posiłek, który na dziś ją utrzyma—a odpędzona od progu pracodawców słowem: „niepotrzebna-s”, pójdzie chyba ręce wyciągać po jałmużnę; wyszana z sił żywotnych, będzie na starość przymierać głodem; wyczerpana do ostatka, skona przedwcześnie, w ostatnim wysiłku poruszając koło maszyny.

Zdeprecjonowaną jest praca fizyczna, bo coraz mniej wymaga kwalifikacji, nie tylko pod względem inteligencji i zręczności, ale i siły. Zda się, maszyna przyjęła na siebie całą inteligencję i całą moc pracy i zgrzytliwym śmiechem żeiaza rzekła robotnikowi: „możesz być ciemny i możesz być słaby — wezmę cię takim, jakim jesteś, i zużyję do usług”. A kapitał dorzucił: „tem lepiej, że tak mało od ciebie się wymaga, ty za to nic wymagać nie będziesz; tacy, jak ty, rodzą się przecie na bruku”. Tak jest, mniej wykwalifikowanych robotników dostać można wszędzie, a ztąd cena pracy upada. Olbrzymia rezerwowa armia robotników bez pracy, przyciśnięta głodem, obniża ciągle płacę zajętych robotników do minimum stopy życiowej, każdej chwili gotowa do konkurencji z niemi. Łatwość produkcji w warunkach tak taniej pracy, a ztąd hyperprodukcja w stosunku do kupnej siły ogółu, która nie jest w stanie podążyć za produkcją — czyni pracę jeszcze mniej potrzebną, a zatem mniej jeszcze cenioną.

§ 76. Zdeprecjonowana jest także praca umysłowa—nie jest bynajmniej ceniona w tej mierze, w jakiej przynosi zyski kapitalistom nowemi ideami, ucieleśniającemi się w maszynach. Genialni wynalazcy marli z głodu. Zresztą idei, pozbawionej środków do życia, kapitał dyktuje swoje warunki. Z twórczą myślą załatwia się szybko i bierze kwit od niej chwila bieżąca. A prawo reprodukcji staje się na całą przeszłość dar-

mem — i służy każdemu, kto ma środki do obleczenia idei w kształt materialny. Myśl wynalazcy przestaje kosztować cokolwiek — przechodząc na własność niby ogółu, w rzeczy samej na własność kapitałów prywatnych, t. j. tych, co z niej skorzystać mogą. Zdeprecjonowaną jest praca umysłowa, bo również musi szukać kapitału i wynajmować mu się w tysiącnych zawodach. Zdeprecjonowaną jest — bo w stosunku do ciemoty i nędzy mas, niedorosłych do potrzeby i możliwości korzystania z kultury duchowej, stosunkowo nagromadza się na ciasnych rynkach zbytu proletarjat inteligencji, obniżając wzajemną konkurencją wartość wykształcenia i pracy myśli.

Jeżeli nie jedynym, to w każdym razie wyrastającym nad wszystkie inne, najmocniejszym i najsprawniejszym regulatorem ceny okazuje się kapitał. Jest nim w charakterze sprzedawcy, bo określa cenę procentem, jaki sobie liczy za swoje usługi. Jest nim w charakterze nabywcy, bo określa cenę, jaką dać chce. W tej przeciwstawności dwóch ról zdaje się znajdować hamulec dla samego siebie: nie może wziąć więcej, niż mu dają. Ale tu właśnie, za tę granicę, mści się na wszystkim innym — przede wszystkim na pracy

Zagrożony od strony siły kupnej nabywców, nie mogąc świdrować cen bez końca, w strachu o swój zysk i w chęci powiększenia go, o ile się da, bez narażenia się nabywcom — próbuje on ciągle zmiejszyć wartość normalną, kosztu produkcji: starając się urwać na surowcach, pozostawia kapitaliście, dostarczającemu surowców, skompensowanie sobie straty przez obniżenie wartości najmniej odpornej ekonomicznie pracy; urywając na maszynach, podobnie deprecjonuje pośrednio pracę tych, co wymyślają maszyny i pracę tych, co je fabrykują własnymi rękoma. Wreszcie, nie mogąc urwać na surowcach i maszynach, gdy cena doszła do mini-

num, i ze względu na obręb niepodwładny sobie—urywa jaknajwięcej na płacy roboczej, albo przedłuża czas pracy, bo tu jest panem w swoim obrębie, a tem samem deprecjonuje pracę na swoją korzyść. A w małej tylko mierze wynagradza pracującym krzywdy taniością produktu, bo najmocniej wyeksploatowani najmniej kupować są w stanie.

§ 77. Ale oto druga strona tego obrazu, namalowana jakgdyby ręką Nemezydy ekonomicznej. Ociekając potem w tej ciągłej pogoni za zyskiem, wysysając krew z pracy, kapitał — kapitał nie wogóle, lecz kapitał prywatny, bo-ć ogólny kapitał jest abstrakcją, rzeczywisty rozdrobiony jest na mnóstwo kapitałów prywatnych — otóż kapitał sam nie czuje się dobrze, nie jest spokojny. Czasem, nażłopawszy się krwi pracy, w ryzykownej pogoni za coraz większym zyskiem, pęka. Naogół w konkurencyjnej walce z innemi, wyczerpuje się i pada. Zalewając rynek już zapełniony towarem, przechodzącym miarę potrzeby, a przedewszystkiem miarę siły kupnej, krzywdzi samego siebie. Zmuszony jest wyprzedawać się, aby zrealizować się w gotówce, aby nie zgnić w formie towarów, w próżnem oczekiwaniu dogodniejszych nabywców — i oto wyprzedaje się po coraz niższej cenie, zawodzi się w rachubach, sprzedając towar częstokroć niżej wartości realnej.

Utrzymują się na powierzchni tylko wielkie kapitały, które zarabiają dużo na masie obrotu nawet przy małym procencie — zarabiają, ponieważ mogą przetrwać złe czasy, przetrwać konkurencję kapitałów drobnych, mogą zabić tamte czasowem zmniejszeniem ceny, aby ostać się następnie na rynku i monopolizować ceny, mogą też doczekać się samobójstwa tamtych, zmuszonych realizować się ze stratą. Podobnie przetrzymują czasy wyjątkowej drożyzny tylko wielkie kapitały od strony konsumentów — małe wyczerpują się w nie-

uchronnem użyciu, wymagalnem przez życie. Ale i wielkim kapitałom grozi ruina od większych, albo od spekulacyjnej gorączki, która je trawi — a któryż przy ciągłym falowaniu życia ekonomicznego, przy wulkanicznych wstrząśnieniach giełdy — zabezpieczony jest od krachu?!...

§ 78. Kapitał niewątpliwie świadczy pewne usługi, organizując produkcję. Ale oto okazuje się, że liczy sobie za te usługi niezmiernie drogo, że przecenia je, że w imię swoich praw do zysku deprecjonuje wszystkie inne czynniki produkcji — myśl i pracę, geniusz i siłę fizyczną, życie ludzkie i kulturę duchową, deprecjonuje człowieka i ideały ludzkości. Brutalny i egoistyczny, chciwy i oślepiiony gorączką złota, dezorganizuje on tę samą produkcję, którą zorganizował — stwarza masy towarów, które gniją, nie znajdując nabywców o dostatecznej sile kupnej wśród olbrzymich, źle opłacanych za pracę mas ludności. Nie znajduje wśród nich nawet pożądaną dóbr, które stworzył, bo cena ich wymaga pewnego poziomu kultury, wyższej stopy życiowej — a nawet owoce ordynarnej pracy fabrycznej stoją nieraz powyżej potrzeb wynędzniałej ludności. W pogoni za zyskiem, kapitał wchodzi na drogę fałszowania towarów, byle zniżyć kosztą fabrykacji, albo stara się pochlebiać gustom wymyślnym, potrzebom niezdrowym, szukając nabywców tam, gdzie nadmiar zamożności, po zadowoleniu potrzeb nieodzownych, trawi się żądzą zbytku. Dezorganizacja produkcji staje się dezorganizacją życia — fałszując i zniżając wartość rzeczy, służących potrzebom najpilniejszym, i popierając potrzeby wymyślne, wyszukane, fałszywe warstw najbogatszych.

Kapitał chce zarobić — to zupełnie naturalne; ale on niczego więcej nie chce, *tylko* zarobić i ztąd powstaje to zwyrodnienie instynktu naturalnego, to wyrastanie

jego do rozmiarów potwornych, zagłuszających wszystkie inne instynkty życia..

Kapitał musi zyskać—domaga się słusznie swojego wzrostu, pragnąc zapewnić przyszłość swemu właścicielowi w społeczności, która o niczyją starość nie dba. Ale w tej trosce marzy o tem, aby nie zmalął nigdy, chce zabezpieczać życie, nie pochłaniając się użyciem, t. j. chce rosnać tak, aby starczył zeń sam tylko procent na utrzymanie; w obawie, że zużywany mógłby stopnieć przed kresem życia swego właściciela, chce być masą nienaruszalną, dającą obfitą rentę. Zwiększać się i pobierać jaknajwiększy procent — oto jedyna jego troska, a im mocniej obawia się zmniejszenia procentu w konkurencyi z innymi kapitałami, tem bardziej pragnie narastać w charakterze źródła odsetek. Tak przesadna troska o starość spokojną — rozdłużaną na lata zdolność do pracy przez pragnienie leniwego użycia — śrubuje żądze kapitału.

I oto kapitał nagromadza się w takiej mierze, że starczy na życie i użycie, że już rentuje, nie wymagając pracy od swojego właściciela, i przechodzi dziedzicznie, jak grzech, w ręce spadkobierców, a tak inna troska, zupełnie normalna, troska o zabezpieczenie dzieci w latach, gdy same nie mogą zarabiać, przetwarza się w prawo dzieci bogaczy—próżnowania przez całe życie, a przynajmniej, póki nie roztrwonią kapitałów w nadmiernem i nieostrożnem użyciu.

§ 79. A gdzież są ci, co, widząc to wszystko, odważą się powiedzieć: „wszystko, jak jest, jest dobrze i sprawiedliwie, a nic nie może i nie powinno być zmienione“? I jeżeli powiedzą, że to jest sprawiedliwe i dobre, a ostać się powinno, jak jest, to będą to albo ciemni, co nic nie rozumieją, a nadewszystko nie rozumieją cierpień milionów, albo będą to nikczemni, syci i wyjątkowo szczęśliwi, korzystający z cudzej krzywdy

i dbający tylko o siebie. A jeżeli powiedzą oni: „to co jest — ta straszliwa przepaść pomiędzy nędzą milionów, a zbytkiem niewielu — jest złem, jest niesprawiedliwością, ale to się zmienić nie da, nie może, bo życiem ekonomicznem żądzą siły fatalne“ — to będą oni pesymistami, którzy nie mają wiary w siłę ludzkości, w twórczość jej rozumu, w moc jej uczuć szlachetnych, w jej dążność do sprawiedliwości. Będą to w jednym i w drugim wypadku ludzie bez ideału...

Niechaj nie dziwią się jednak, że inni, mocniejsi duchem od nich, dalej patrzący w przyszłość, cierpiący za siebie i za innych, bardziej wierzący w twórcze siły ludzkości, stęsknieni za ideałem, pragną zmienić to wszystko i wierzą, że zmienić to trzeba i można, i w imię tej wiary pracują, oddając jej wszystkie siły swojego mózgu i serca.

A z pewnością ci, którzy nie są zwolennikami „dzisiaj“, t. j. ludźmi bez ideału, ci, którzy, wierząc w potrzebę i możliwość zmiany, sądzą, że może ona dokonać się tylko na drodze ewolucyi, jeżeli są szczerymi ewolucjonistami, nigdy nie znajdą słów bezwzględniego potępienia dla tych, co niecierpliwsi i namiętniejsi, a może bardziej zbolali i żywiej cierpiący, z większą nienawiścią występują przeciw „dzisiaj“, opowiadają się z większą miłością za najdalszemi hasłami „jutra“. Bo któż zmuszałby życie do ciągłej ewolucyi, gdyby nie było tej wielkiej nienawiści i tej wielkiej miłości marzycieli-idealistów? Gdyby nie ich groźny okrzyk, nie cofnęłaby się żadna krzywda dnia dzisiejszego; gdyby nie ich płomienne wołanie, nie ruszyłaby się ze swojego spokoju żadna inercja świńskiego zadowolenia lub pesymistycznej rezygnacyi.

§ 80. Czem-że wobec tego wszystkiego jest ruch socjalistyczny? Jest on samoobroną pracy przeciw zdeprecjonowaniu jej przez kapitał — jest instynktownem

żywiółowem drgnięciem spychanych w przepaść nędzy, aby utrzymać się na powierzchni. Organizacja ruchu socjalistycznego wynika z trafnego poczucia, że w zmaganiu się mechanicznem sił ekonomicznych tylko solidarność mas robotniczych może wytworzyć ze zrzeszonej pracy siłę, zdolną do dyktowania warunków kapitałowi. Jeżeli obraz, który namalowaliśmy powyżej, nie jest już w życiu tak czarny, jak był niegdyś, jeżeli nastąpiły pewne zmiany na korzyść mas robotniczych, jeżeli podniosła się stopa życiowa robotnika i utrzymuje się jako tako, jeżeli prawodawstwo położyło kres nieograniczonemu wydłużaniu dnia roboczego — to winniśmy to ruchowi socjalistycznemu i prowadzącej go myśli teoretycznej.

Socjalistyczna myśl jest próbą wprowadzenia idei porządku i poczucia sprawiedliwości w straszliwy chaos życia ekonomicznego. Nie dziwny się, że teoria socjalistyczna błądzi; oddajmy jej hołd, że podjęła to wielkie zadanie. Nie żądamy, aby przewidziała ona dokładnie przyszły porządek w dzisiejszym stanie mgławicowym. Z dobrą wolą i wielką powagą krytyczną oceńmy to, co ona widzi. Nie wymagajmy, aby wskazała nam odrazu systemat idealnej sprawiedliwości, który zadowolniłby wszystkich i rozstrzygnął wszelkie wątpliwości. Sprawiedliwość nie jest czemś, jak *Deus ex machina*, sprawiedliwość jest ideą, którą ludzkość tworzy w męce myśli, jest uczuciem, do którego dorasta w poświęceniach serca.

To, co zdawało się klątwą, leżącą na pojęciu wartości—jej pochodzenie psychologiczne, a ztąd kapryśna nieokreśloność, okazuje się w świetle głębszej rozwagi błogosławieństwem. Zadanie wartości z ekonomicznego gruntu powraca na grunt psychologiczny, ze wzburzonych fal popytu i podaży cofa się w głąb duszy ludzkiej—staje się zadaniem etycznym. Ordynarne pytanie:

„co *jest* wartością?”—przeradza się w stokroć szlachetniejsze zapytanie: „co *powinno* być wartością?”

A kiedy złoty cielec kapitału hardo zawoła: „ja jestem wartością! klękajcie przedemną!“, któż nie odpowie razem z Marksem: „praca powinna być wartością! tylko przed nią klękajcie!”

I oto nowa idea sprawiedliwości—idea oceny wartości, jako pracy, a pracy, jako czasu—powstaje z nizin społecznych, wydobyta przez myśl takich apostołów pracy, jak Marks, i narzuca się z olbrzymią potęgą światu w charakterze organizacyjnej idei chaosu ekonomicznego.

Wyrzucają ją przez pryzmat geniuszu Marksa same niziny społeczne—i przez pryzmat tén świeci ona i grzeje, choć wychodzi z ciemni życia, jak czarny węgiel, wydobyty z kopalni, świeci i grzeje w stosie maszyny elektrycznej.

§ 81. I dają nam tę ideę robotnicy nie dlatego, że są najsprawiedliwsi i najmędrsi, ale dlatego, że są najliczniejsi, a tylko liczba może być potęgą w walce z tą niesprawiedliwością, która dzisiaj utrzymuje się i broni—wsparta także na sile, ale nieświadomej jeszcze własnego interesu, a dlatego broniącej przywileju. I skoro ta idea jest żądaniem milionów musimy ją przyjąć, bo choćbyśmy nawet uznali, że nie zadowolni ona wszystkich, przypuszczalne zadowolenie większości musi być rozstrzygającym. A w każdym razie nie może być stawiany wyżej interes mniejszości kapitalistów, zwłaszcza gdy żadną miarą nie możemy uważać jej za najlepszą sól ziemi, za szczyty myśli i uczucia, które rzadko bywają złocone...

Dają nam tę ideę robotnicy i narzucają nam ją z nieodpartą potęgą, bo myśmy sami, bo kapitał narzucił ją robotnikom. Tak! jest to tylko zwrót — jest to mus przyjęcia przez mniejszość tego, co narzuciła ona

sama większości. Zniszczywszy indywidualność robotnika produkcją maszynową, zdyskwalifikowawszy go, uczyniwszy z robotnika tylko ordynarną maszynę roboczą, zniwelowawszy wszystkich robotników, przestając pytać o ich zdolności indywidualne, o większą lub mniejszą sprawność i inteligencję, o większy lub mniejszy zapas sił, o większą lub mniejszą wytwórczość, oceniwszy robotnika, jako towar bezgatunkowy, oceniwszy w jego pracy tylko *czas* — tylko długość dnia roboczego — przynajmniej postąpiwszy tak w stosunku do najliczniejszej warstwy robotników i w stosunku do wszystkich wyrobników, mamy-ż prawo zapytywać teraz: czemu oni chcą uznać za sprawiedliwe dla świata to, co myśmy uznali za sprawiedliwe względem nich?!

A jeżeli robotnicy nauczyli się — w tych wężkich granicach, w których rozwija się ich praca, wężkich dla naszego oka, ale dla nich stanowiących świat cały—jeżeli oni, powiadam, nauczyli się w imię solidarności z towarzyszami pracy znosić równość oceny swojego czasu, nie poczuwać się do krzywdy, iż niedołączniejsi i słabsi z natury otrzymują jednakową z nimi zapłatę za dzień, jeżeli nie wyrzucają mniej produktywnym, że stosunkowo są lepiej płatni za swoją robotę, jeżeli nie zniżają energii roboczej do miary najleniwszych, jeżeli nie zazdroszczą sobie wzajem i nie swarzą się około wspólnej miski, to pytanie, czy ta ich moralność nie może stać się moralnością całego świata w imię solidarności ludzi, jako towarzyszy w pracy społecznej, czy to, co jest możliwe w granicach świata fabrycznego, nie daje się powtórzyć na większą skalę, w świecie produkcji i podziału wszelkich dóbr społecznych.

§ 82. I czy naprawdę będzie to jakaś zupełnie nowa moralność? Czy raczej nie ma ona już zdawna korzeni w duszach ludzkich? Czy głos moralności nie nawołuje już zdawna w tym samym kierunku?—tylko spo-

teżniał dzisiaj, przebiwszy się przez sferę pracy proletarjackiej.

Z pewnością tak. Altruizm zdawna rozwija się w tym kierunku — rozwija się przez dwa uczucia: przez litość miękiego serca i wzniosłość twórczego umysłu. Litość powiada zdawna: dopomóż słabszemu. A czyż to nie znaczy: „poświęć mu kawałek ze swojego czasu. Nie licz się z tem, że mniej uczynił, niż ty, w tym samym czasie, albo zgoła nic nie uczynił, bo nie mógł — bo jest chory, lub stary, albo nie dopuszczono go do warsztatu wspólnej pracy. Nie jest winien, że nie zarobił — ty, szczęśliwszy, daj mu z twojego nadmiaru, z twojego zyskowniejszego czasu.“ A z drugiej strony, czy kiedykolwiek geniusz targował się o pełny dorobek z myśli swojej? Czy nie był szczęśliwy przede wszystkim z tego, że coś światu daje? Czy wspaniałomyślność twórcy nie była zawsze cudownie podsycana na drogach psychologicznych przez egoistyczne, ale niezmiernie wartościowe społecznie, pragnienie sławy? Czy twórcy nie cenili wyżej po nad powodzenie materialne pochwał tłumu, laurowych wieńców, oklasków publiczności, wdzięczności ziomków? Czy nieszkodliwa ich próżność nie przerastała najczęściej szkodliwej chciwości? Szlachetną ambicją geniusza było zawsze darować się ludzkości. Twórcza myśl szczęśliwa jest szybkością swoich natchnień, płodnością swojej chwili. Dumna z tego, że może dać stokroć więcej, niż przeciętna zdolność, w tym samym czasie — nigdy nie liczyła się brudno, nie swarzyła się o wartość swoich sekund i nie ustawała w naturalnej swojej prężności naprzód, dlatego że była źle opłacana materialnie. Geniusz i talent są szczęśliwymi darami natury; jak i natura, nie podają rachunków za dobra, które niosą.

§ 83. Można wątpić, czy system gospodarczy *w całości* oprze się kiedyś na ocenie pracy prostej, niewy-

kwalfikowanej, mierzonej przez jednostkę czasu — ale niewątpliwie tendencja moralna ciążyć będzie w tym kierunku na dwóch drogach: litości, która zamyka chętnie oczy na mniejszą płodność najmniej uzdolnionych z natury, ponieważ są nieszczęśliwi, i wspaniałomyślności, która zamyka własnowolnie oczy na większą płodność najzdolniejszych, ponieważ są tylko szczęśliwsi od innych, a przez to dość już szczęśliwi. A w tym samym kierunku oddziaływa tendencja całej kultury technicznej, coraz mniej wymagając od człowieka wysiłku fizycznego i umysłowego, coraz bardziej zastępując skomplikowaną pracę komplikacją maszyny, coraz więcej ujednostajniając pracę ludzką w obsłudze maszyn, coraz mocniej sprowadzając ją do momentu czasu, albo powiedzmy to w jednym wyrazie: coraz bardziej czyniąc produkcję przemysłową — reprodukcją. Szczęśliwa twórczość natchnionej myśli geniuszów, pracująca płodnie bez względu na czas, zyskuje własną, coraz węższą dziedzinę, w której społeczność nie gorzej potrafi ją ocenić materialnie, niż interesowany kapitalista, nabywający patent na wynalazek. Możliwe wreszcie wykazać, że wzrost kultury, nadając pracy umysłowej charakter zbiorowy, uprawiając poszukiwania wynalazcze na drogach indukcji, w długich studjach laboratoryjnych, wymagając w każdej dziedzinie wiedzy długiego specjalnego przygotowania — coraz mocniej podkreśla moment czasu i w pracy umysłowej.

§ 84. Spytajmy wreszcie, komu przeniesienie oceny na moment czasu przyniosłoby krzywdę? Nie masom. Czas ich właśnie został zdeprecjonowany. Nie tylko robotnik, ale subjekt w sklepie, ale urzędnik w banku opłacany jest dzisiaj przeważnie za czas. W stosunku do jego pracy nie masz pedantycznego rozbioru, ani wszelkich indywidualnych różnic zdolności, ani sumy rezultatów pracy, przypadającej na jego go-

dzinę. Ocena dzisiejsza nie używa aptekarskich wag, bo wie, że niepodobna ich znaleźć. Wyższa płaca staje się często nagrodą za lata wysługi, t. j. za dłuższy czas pracy. Jeżeli jest nagrodą za kwalifikacje, to w mnóstwie wypadków przypada ona w charakterze renty za dłuższy czas kształcenia się w danym zawodzie. Oczywiście jest często nagrodą za wyższe kwalifikacje zdolności przyrodzonych, ale czyż nie widzimy na każdym kroku, że wybijają się na lepsze miejsca raczej szczęśliwsi, niż istotnie zdolniejsi, zręczniejsi życiowo raczej, niż wykształceni, protegowani raczej, niż produktywniejsi? Czyż nie stało się to faktem powszednim, że wyższa praca umysłowa została zdeprecjonowana, że nie jest ceniony ani czas przygotowania, ani czas mozolnych poszukiwań, najdłuższy u najsumienniejszych pracowników, u tych, którzy dają twory najdojrzałej przemyślane, najdłuższych wymagające studjów? Zarabiają najwięcej ci, co mają największe kapitały, pracujące za nich i na nich, przynoszące procent stały w czasie, ale w czasie najkrótszym dla największych mas kapitału i w czasie lenistwa korzystających z renty. Przeniesienie momentu oceny na czas pracy wywołać może okrzyk pokrzywdzenia tylko u tej kategorii zarabiających—nie dotknie ani fizycznych, ani umysłowych pracowników, nie będzie zatem zwiększeniem istniejącej niesprawiedliwości, ale podniesieniem poziomu sprawiedliwości społecznej.

§ 85. Wyobraźcie sobie teraz, że społeczność daje wykształcenie za darmo każdemu, że daje tak samo niższe, jak i wyższe, że najzdolniejszym i najchciwszym wiedzy ułatwia to ostatnie, ogólne i specjalne — czy przystępujący po dłuższym okresie przygotowania później od innych do pracy produkcyjnej nie będą podwójnymi dłużnikami społeczeństwa, za samo wykształcenie i za to spóźnienie, czyż nie będą zobowiązani do

zwrotu, czy nie będą winni kontentować się tą samą, co inni zapłatą, acz więcej tworzyć będą, czy bowiem nadwyżka ich siły produkcyjnej nie będzie w znacznej części pożyczką od społeczeństwa w formie wykształcenia, czy zabezpieczeni w swoich potrzebach nie będą się czuli dostatecznie wynagrodzeni za *plus* swojej wartości wyższością stanowisk, które zajmą w organizacyi pracy, jako bardziej wykwalifikowani, czy psychologicznie nie wystarczy im w charakterze nadwyżki wynagrodzenia— dumne poczucie płodniejszych sił, szlachetna radość z większych darów natury, szczęśliwa możność utrzymania ich i podniesienia przez środki wykształcenia, otrzymanego bezpłatnie od społeczności?

I czyż ten, co produkuje znacznie więcej, niż sam potrzebuje, będzie szemrał, widząc, że nadmiar produkcji idzie — nie jak dziś, do kieszeni egoistycznych pasibrzuchów—lecz na wspomnienie każdej nędzy, na podniesienie oświaty narodowej, na przygotowanie dzieci do pracy produkcyjnej, na podtrzymanie chorego, aż wróca mu siły do pracy, na zabezpieczenie starości po szeregu lat, poświęconych produkcji dla dobra ogółu. Toć każdy pomyśli o tem, że sam może być chorym, że będzie kiedyś starym — że to, co oddaje z nadmiaru swojej pracy, ze swojego płodniejszego czasu, służąc ogółowi, służyć będzie i jemu — że może przeto pracować spokojniej, bez czarnej troski o dzień nieszczęścia, choroby, o lata starości!..

Ostatecznie, nie miał-że słuszności Szekspir, mówiąc, że „czas jest najdroższą materją życia“. Czy cała dbałość o siebie nie jest troską o przedłużenie życia? czy uparte marzenie człowieka o życiu pozagrobowym nie jest pragnieniem, aby *czas* istnienia dlań się nie skończył?..

§ 86. Bronić czasu — to bronić życia. Podnosić wartość czasu, to podnosić wartość człowieka. Szczęśli-

wi są ci, co mają pracę umiłowaną, szczęśliwi ci, których ich rodzaj pracy podnosi i rozwija. Ale jakże rzadką jest praca, która nie rozwijałaby jednostronnie. Jak częstą taką, która wyczerpuje i niszczy. I czy możliwą jest rzeczą, aby każdy miał pracę tylko według swego upodobania — bez rachuby na to, czy i ile jego praca potrzebną jest ogółowi. Jak często praca, musowa ze względu na potrzeby innych, sprzeczna z upodobaniami, stanowi hamulec rozwoju—gdy zabiera wszystek czas, gdy wysysa wszystkie siły, gdy nie daje odpoczynku—jak często zabijają w takich warunkach, a nawet upadła duszę...

Apostoł każdej pracy — obrońca najordynarniejszej pracy fizycznej — Marks, staje się obrońcą wartości duszy ludzkiej. Bo podnieść wartość czasu najordynarniejszej pracy, to skrócić ją i dać człowiekowi czas wolny do rozwoju indywidualnego, to rozwinąć w nim nowe potrzeby, to wyższem wynagrodzeniem stworzyć środki do zaspokojenia tych nowych potrzeb. Wyższa kultura duchowa, patrząca w gwiazdy, jest dzieckiem wolnego czasu, oderwanego od schyłania karku nad ziemią w twardej pracy powszedniej. Podniesienie wartości czasu, poświęconego najordynarniejszej, najmniej inteligentnej pracy jest słuszne ze względu na wartość tego czasu dla osobnika, jako materii jego życia, jest słusznem ze względu na to, co można uczynić z wolnym czasem — dla siebie, gdy niema konieczności poświęcać go w całości innym. Skrócenie czasu roboczego — to zabezpieczenie człowieka przez godziny odpoczynku od zbydlęcenia, to nadomiar otworzenie progów pracy dla niezajętych, umierających z nędzy, bo niepotrzebnych, gdy inni pracują do zbytku. Wolny czas robotnika — to pośrednie podniesienie wartości pracy umysłowej, która zyskuje całe szeregi nowych konsumentów. Nauczyciel pracuje, gdy robotnik może odpo-

czywać, słuchając go — bo zmiana pracy fizycznej na umysłową jest rodzajem odpoczynku. Pisarz przestaje tworzyć bezpłodnie, gdy są masy czytelnice, które mogą mu poświęcić swój czas wolny — a przez to wartość utworów umysłowych podnosi się, bo staje się pożądaną i użyteczną i spotyka się ze zwiększonym popytem. Zabezpieczony rolnik — to otwarcie rynków zbytu dla usług lekarza, adwokata, to podniesienie wartości tych usług, zdeprecjonowanych na zbyt wązkich rynkach miejskiej kultury.

§ 87. Jednem słowem okazuje się, że podniesienie wartości czasu pracy fizycznej równocześnie odbić się musi podniesieniem wartości pracy umysłowej, że to, co napozór służy najordynarniejszej kulturze materialnej, podsyca kulturę duchową. Dodajmy, że zniżka bogactwa w rękach prywatnych, sprowadzona przez położenie kresu urastaniu jego ze szkodą pracy, musi jeszcze uzdrowić kulturę, sprowadzając ją z dróg służenia kaprysom bogatych na drogi produkcji dla mas. Tu znowu umiarkowanie mas, zdyscyplinowanych przez nędzę, będzie nowem natchnieniem moralnem dla całej kultury. Niziny niosą nam naukę skromności. Oto jeden ze względów, zmniejszających kłopoty nasze co do obliczeń popytu w warunkach zrównania bogactwa. Wyobrażenie o szaleństwie produkcji, która winna będzie zadowolnić wszystkich, jest niesłuszne. Cierpliwi dotąd potrafią poczekać na zaspokojenie potrzeb dalszego rzędu — nie mają ich jeszcze; a wzmóżona produkcja w dziedzinie przedmiotów pierwszorzędnego użytku zniży ich cenę bez straty dla ogółu pracujących — bo celem jej będzie zaspokojenie potrzeb tego ogółu.

§ 88. Malujemy utopie?...

Tak, ale odpowiemy na to słowami Oskara Wilde'a:

„Mapa świata, na której nie byłaby oznaczoną kraina utopii, nie zasługiwałaby jednego spojrzenia, bo przepuściłaby

pewien brzeg, na którym ludzkość wiecznie wylądowywać będzie. A kiedy ludzkość tam dochodzi, to ogląda się ona za lepszą krainą i tam kieruje swoje żagle. Postęp jest wręczewistnieniem utopii.“

Zresztą nam w naszym wykładzie chodziło bynajmniej nie o to, aby wykazać, że ideał państwa socjalistycznego jest właściwem wyobrażeniem sobie przyszłego ustroju, że jest wzorem sprawiedliwości, że spełni się niechybnie. Nam chodziło o to, aby dowieść, że jest to ideał, który przeciwstawia się naszej okropnej rzeczywistości, że jako taki oddziałuje na nią twórczo, że — w całości niewyraźny i może niemożliwy do urzeczywistnienia, a może i niezupełnie słuszny — jest on przecie ideą organizacyi dzisiejszego chaosu na zasadach myśli logicznej, że w swoich natchnieniach niewątpliwie kryje jądro przyszłej moralności, że jest na drogach stworzenia sprawiedliwości społecznej przez podniesienie wartości pracy, przez uwartościowanie czasu pracy.

§ 89. Czy dojdziemy do państwa socjalistycznego i na jakiej drodze — któż to wie? Zresztą, kto wyobraził sobie właściwie ów ustrój socjalistyczny? Nauka socjalna zna tylko blade jego kontury — i te określa tylko hypotetycznie.

Ani mi przez myśl przychodzi rozważać w tej chwili, czy dojdziemy do państwa socjalistycznego w drodze ewolucyi, czy rewolucyi — czy nastąpi i jak nastąpi wywłaszczenie środków produkcyi — czy zniesienie własności prywatnej w pełni jest możliwem — czy obok oceny wartości przez czas pracy nie będzie istniała równocześnie inna ocena dla pracy wykwalifikowanej — czy ideał socjalistyczny nie ulegnie przeróbkom od strony potężniejszej nad marzenia rzeczywistości, lub mędr-

szej myśli teoretycznej w przyszłości — czy sprawiedliwość społeczna nie mieści się gdzieś w pośrodku pomiędzy stanem bieżącym, a marzeniem socjalistycznym — czy w miarę ewolucyjnego posuwania się od bieguna rzeczywistości do tego środka pod mocą nawoływań z przeciwnego bieguna, ideał socjalistyczny nie będzie tracił na wartości — czy powolność ewolucyi nie wywoła rewolucyjnego przeskoku do państwa socjalistycznego, którego nieidealność okaże się wówczas i wywoła cofanie się do środka przed jego despotyzmem biurokratyczno-ekonomicznym — czy nie okaże się, że ludzkość posuwa się raczej ku jakiemuś indywidualistycznemu środkowi na skrzyżowaniu dwóch dróg, idących od rzeczywistości ewolucyjnie i od ideału socjalistycznego rewolucyjnie...

§ 90. Wszystko to w tej chwili mnie nie obchodzi.
Niech socjalizm będzie utopią!

Jedno nie jest w nim dla mnie utopią — i być nią nie może.

Ludzkość uczynić musi tak, aby *każdy miał pracę i nikt nie umierał z głodu.*

Aby każdy zdolny do pracy miał pracę! — bo pracy nigdy nie może być za dużo przy normalnym rozwoju ludzkości, gdyż tylko pracą przekształca się materja i służy życiu ludzkiemu, a nie może być takiego momentu, aby człowiek rzekł: „już wszystko zrobione; nic więcej robić nie potrzeba“.

Aby nikt nie umierał z głodu! — bo ludzkość ma tylko dwa ideały: *prawdę* i *szczęście*, ale prawda zawsze czekać może, póki są głodni, których trzeba nasycić — i nawet zdobycie całej prawdy nie dałoby szczęścia ludzkości, gdyby rozbrzmiewał dokoła jęk głodnych. Niepodobna patrzeć spokojnie w oczy gwiazd —

gdy obok są głodni. Nasylenie głodu jest najpilniejszą potrzebą ludzkości — a do tego droga prowadzi przez pracę, której godność wyzwoloną będzie z dzisiejszego ucisku! A tylko wyzwolona praca może być umiłowana...

Obowiązkiem każdego prawdziwego człowieka jest pracować — aby ta „utopia“ stała się rzeczywistością!...

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| Wstęp | 1 |
| Rozdział I. Zagadnienie wartości | 9 |
| „ II. Prawa podaży i popytu | 35 |
| „ III. Praca a czas | 59 |
| „ IV. Konstrukcja nadwartości | 72 |
| „ V. Ewolucja wymiany | 105 |
| „ VI. Założenia „Kapitału“. | 120 |
| „ VII. Na szlakach myśli Marksa | 134 |
| „ VIII. Prawa moralne w gospodarstwie społecznym . | 161 |

Sprostowanie: Na str. 119 w przypisku wiersz 3 powinno być *XVI wieku*, zamiast *VI*.

„WOLNE SŁOWO“

Wychodziło od 1 Grudnia 1907 r., zawieszono 11 Czerwca 1908 r.
Wyszło 29 numerów. Redaktor: Leo Belmont.

Otrzytać można po niższej cenie w Administracyi w Warszawie
Marszałkowska № 77 (oraz w księgarniach).

Kwartalnik (13 numerów) — za 1 r. (zam. 1 r. 50 k.).

Półrocznik (26 „ — „ 2 r. (zam. 3 r. —).

Numery pojedyncze po 10 kop. (zam. 15 k.).

3 numery 25 kop. dla nabywających komplet.

Za przesyłkę pojedynczych numerów dopłata po 2 k.

Za przesyłkę kwartalnika lub kompletu dopłata 15 k.

Niektóre prace Leo Belmonta.

- „*Rymy i Rytm*“ — 3 tomy poezyi. Nakł. J. Fiszera, Nowy Świat 9. W Adm. „W. Śl.“ 2 r. 20 k. zam. 3 r. 20 k.
- „*W wieku Nerwowym*“ — Powieść. Wyd. II. Nakł. E. Wende i S-ka. W Adm. „W. Śl.“ 80 k zam. 1 r. 20 k.
- „*Tamten człowiek*“ — (z notatek warjata). Nakł. M. Lewińskiego.
- „*Eugieniusz Oniegin*“ — Puszkina (przekł. z ros.) Nakł. Gebethnera i S-ki. 1 r. 20 kop.
- „*Romantyczni*“ — Komedja Rostanda (przekł. z franc.)
- „*Lew Tolstoj*“ — Życie i dzieła. Skład E. Wende i S-ka.
- „*Filozofia Pieniądza*“ — Jerzego Simmla (przekł. z niem.) Nakł. tyg. „Prawda“.
- „*Zarys nauki handlu*“. Nakł. M. Arcta. Kop. 60.
- „*Najłatwiejsza metoda języka Esperanto*“ — (wierszem). Nakł. M. Arcta. Kop. 15.
- „*Sonaj esperantaj*“ — Przekłady z poetów polskich i innych na Esperanto (Nakł. M. Arcta). Kop. 30.
- „*Leonidas Andrejew*“ — Judasz Iskarjota i inni. Przekład. Nakł. ks. Powszechnej. Kop. 60.
- „*Jedna scena z tragedyi polskich czyli Polska nad przepaścią*“ Skład gł. u Gebethnera i Wolffa. Kop. 30.
- „*Judasz Iskarjota i inni*“ — Andrejewa (przekł. z ros.) Nakł. Księg. Powszechnej. Kop. 60.
- „*Różne pisma*“. Drży głos bolesny mój... (poemat filozoficzny). Wstęp do cyklu „Biblijnych opowieści“. Kop. 25.
- „*Nowele i Satyry*“. Skład gł. w księg. Centnerszvera, K. 80.
- „*Najłatwiejsza metoda buchalteryi (w obrazach i ideach)*“. Nakł. Arcta (w druku).